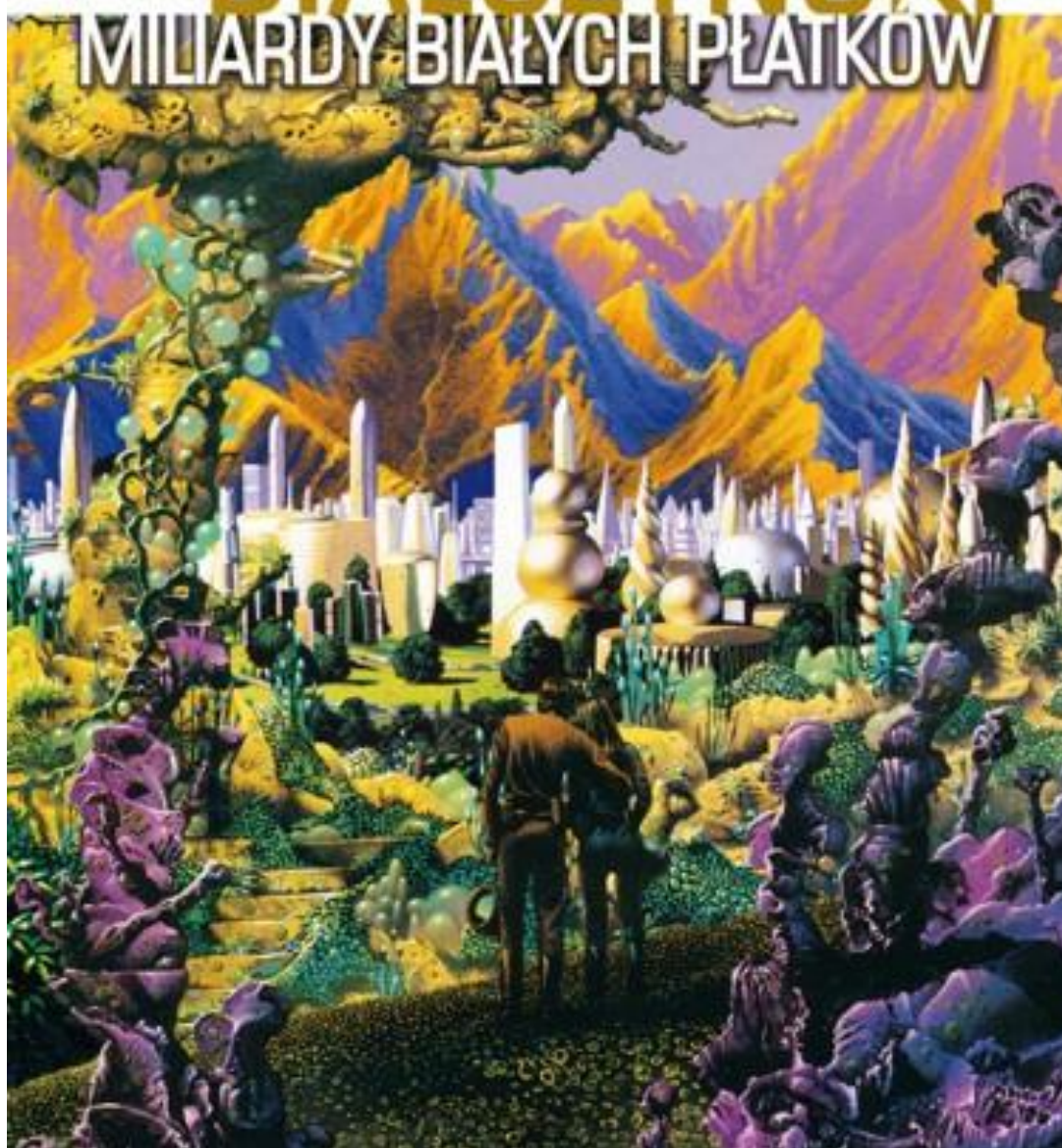


ARCHIWUM POLSKIEJ FANTASTYKI

Czesław

BIAŁCZYŃSKI

MILIARDY BIAŁYCH PŁATKÓW



Czesław Białczyński

Miliardy białych płatków

Okładka

Strona tytułowa

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

57.

58.

59.

60.

1.

Z czarnej otchłani unosił go ledwie wyczuwalny werbel tętna. Tykał pod skórą delikatnymi uderzeniami, z coraz większą częstotliwością. Jeszcze niczego nie widział, poza szarą klatką, papką zgęstniałą przez wiele miesięcy w betonową zaporę. Z upływem mijających kroplami dozymetru sekund rosła temperatura. Stopień po stopniu, poprzez każdy skurcz uruchomiony dźwigniami płuc, aż pobudziła dodatkowe igły, które włączały się kolejno w system. Leniwie, jakby od niechcenia, ruszały wewnętrzne płyny, drobina za drobiną, kropla w kroplę spadały bezwładnie, lecz z każdą chwilą nabierając więcej samodzielności. Nie można było tego stanu nazwać jeszcze normalnym życiem, ale... Pierwszy pojemnik zwisający na kablach jest już pusty Ciepło, coraz cieplej. Znowu o stopień w górę. Wreszcie dotarło do niego, że jest.

A więc jestem -- pomyślał i zaraz uświadomił sobie proces myślenia. Całe jego ciało przeszył gwałtowny skurcz. To było nieprzyjemne. Każdym mięśniem, każdym nerwem wstrząsały drobne drgania sięgające do głębi. Miał wrażenie, że nawet wątroba mu się kurczy Usłyszał dzwonięcie własnych zębów, które przypomniało mu łąki bladoliliowych kielichów dzwoniących deszczem. Trwało to długą chwilę, ale wiedział, że musi przejść. Znał dobrze ten stan z własnego doświadczenia i z obserwacji na zwierzętach. Szło dobrze. Zresztą nie było powodów, żeby miało iść źle. Wiek nie uprawniał jeszcze jego organizmu do odmawiania tak prostych powinności.

Po trzech godzinach zjawili się dyżurni Technicy. On tymczasem przypomniawszy sobie, kim jest. Jeszcze nie mógł ruszyć ręką ani nogą, ba nie mógł nawet zgiąć małego palca. Czuł jednak delikatne ssanie. Ślina ściekając do żołądka wywołała jego uaktywnienie. Zapachniało mu konfiturami i poczuł mdłości Przed oczami przewinęła mu się taśma z paterą pełną kolorowych owoców, lecz i to zaraz zniknęło. Na miejsce obrazu znów wróciły fioletowe kręgi na czarnym firmamencie. Technicy jak to oni, pamiętał ich stożkowate czepki przykrywają żółte czaszki, naciągnięte aż po oczy ochraniacze zasłaniają usta. Poszperali chwilę, zbadali podstawowe parametry, wstrzyknęli jakieś substancje i... odłączyli kable. Mask skurczył się gwałtownie i równie nagle wyprężył. Poczul ból i strach, i zaraz potem wściekłość. Odłączyli go za wcześniej od urządzeń wspomagających. Gdyby mógł, to wstałby natychmiast i pognął za tą parą żółtogłowych drani, żeby rozwalić ich zakute łby. Lecz nie mógł wstać, a oni tymczasem poszli dalej, trzaskając drzwiami, a Mask jeszcze długą chwilę łapał powietrze, pokonując wstrząsy. Wreszcie wszystko wróciło do normy. Otworzył oczy. Nie potrafiłby odwrócić głowy w bok, mięśnie skumulowały dopiero tyle siły, by unieść ciężkie jak stalowe wrota powieki. Wywracał oczami wpatrując się w sufit glazurowany polewą, z której sterczały macki punktowych lamp. Ruda poświata, nieco chwiejna i ciepła, napełniała powietrze miłym ogniem dREW płonących na kominku. Nieraz w chłodniejsze dni jesieni siadywali przy płomieniach okryci grubymi kocami i senni grzali się, sapiąc z rozkoszy. Taki był płomień sypialnych lamp. Kojarzył się z kominkiem i jesienią i wracał jakby ciągłość istnienia. Wszystko w spalni służyło tej ciągłości. Podkreślało ją i uwypuklało, czasem nawet bez udziału woli tłocząc przeszłość w świeżą pamięć. Rudoczerwony blask umknął zatrzaśnięty kurtyną powiek. Jeszcze za wcześniej -- uspokajał się. -- Jeszcze chwila. Żrenice znów ogarnęły sufit. Głowa drgnęła minimalnie.

Teraz już wszystko było jasne. Stał przed taflą lustra w boksie garderobianym. Na jednej ścianie zwierciadło od sufitu do podłogi. Po prawej stronie wieszak, na lewo wejście do łazienki tchnącej jeszcze wilgocią i leśną parą, za plecami drzwi do pomieszczenia, w którym leżał przed

chwilą. W boksie panuje żółty półmrok i światło za moment przejdzie następną metamorfozę ku soczystej zieleni kielkujących liściowników oznaczającej zakończenie procesu readaptacji, pełną sprawność i gotowość do wyjścia. Spojrzał przed siebie. W szkłe ujrzał smukłego, można powiedzieć nawet chudego młodzieńca o wielkich oczach, charakterystycznych dla ludów równikowych. Skóra zmacerowana ze zwyczajnej ultramaryny w jakiś siny odcień zieleni, zapadnięte policzki. Nagle błysnęły w jego umyśle świeżo przyswojone wiadomości. Równie gwałtownie zniknęły w następnym mgnieniu. Wiedział, że to powtórzy się jeszcze kilka razy, nim wiedza nabyta w czasie trwania s.nu na stałe utrwali się w pamięci. Ponownie spojrzął w lustro na swoją pomarszczoną twarz. Wzdrygnął się. I do tego te zapadnięte w fałdach zbędnej skóry zębra... -- Jakoś to będzie. Zjemy i przejdzie -- szepnął do siebie zachrypniętymi strunami. Poskrobał się po ciągle jeszcze karminowym szczycie czaszki i skierował się do wieszaka z ubraniami. Na pierwszym haku wisiało jesienne. Zdjął je i ułożywszy w kostkę wystawił przed kabinę. Kiedy skończy się ubierać, znajdzie je starannie zapakowane w paczuszkę ze swoim nazwiskiem i numerem. Wkładając spodnie zauważył brak paska poszerzającego i natychmiast zamknął się w jego głowie krąg zdarzeń. Brakujące ogniwo bez trudu odnalazło się we właściwym miejscu. Przypomniał sobie laboratorium i cały ten rozgardiasz, oficerów Oddziałów Ochrony Spokojnego Snu ponaglających do wyjścia, potem syreny i bieganinę. Znał dobrze ten dźwięk. Piekielny jazgot świdrujący gdzieś w głębi czaszki. OOSS pilnowały z dużą dokładnością, szansę na zagubienie się były minimalne, czasem jednak ktoś zostawał. Z drugiej strony to była przecież tylko jego wina; że nie zdążył na czas. Więc to właśnie wtedy drzwi eksperymentatora przytrzasnęły mu pasek poszerzający. Zatrząsk zegarowego zamka lodówki już nie puścił i oto są spodnie wiosenne bez poszerzacza. Zupełny absurd. Trzeba kupić nowe. Zapinał się starannie nucąc przy tym hymn stolicy "O Grin Krong, Grin Krong, witaj, witaj znów". Rzucił jeszcze raz okiem na swe nienadzwyczajne odbicie i wyszedł na korytarz. Otoczył go senny jeszcze, lecz momentami porywający rytm hymnu. Sączyl się z głośników, z grubych rur systemu chłodzącego, które oplatały korytarz, z każdego zakamarka. Mask szedł równym krokiem. Przez całą drogę, najpierw sektorowym, a potem rejonowym korytarzem stromo pod górę i w lewo aż do bloku wind terytorialnych, wywożących obudzonych do centralnego kolektora i na powierzchnię, towarzyszyły mu dźwięki tego hymnu, skomponowanego po niedawnym, którymś tam już z rzędu przewrocie. Musiał przyznać w duchu, że nowy hymn jest rzeczywiście udany i łatwo wpada w ucho, Wielka winda zaroila się ludźmi. Stali jeden przy drugim, sprasowani niczym ogórki w puszcze. Tłum gęstniał już od okręgowego korytarza i u progu windy stawał się jednolitą masą złożoną z ludzkich ciał. Narastał gwar i Mask pomyślał, że na szczęście podróż na powierzchnię trwa krótko i wreszcie uwolni się od tego motłochu, nie będzie zmuszony znosić tak bliskiego towarzystwa tych wszystkich typów. Wielokrotnie zastanawiał się, dlaczego ich nie lubi. Momentami czuł tylko nieznaczną niechęć, chwilami jednak wstręt niemalże fizyczny. Jego odczucia w stosunku do tej szarej technicznej masy nigdy nie wyszły poza granice, pobłażliwego politowania. Starał się na nich nie patrzeć. Z zamyślenia wyrwał go znajomy głos.

-- Jak się masz, Mask! -- drobna kobieta o równie czerwonym czubku głowy jak jego, machała ręką ponad tłumem. -- Dobrze się spało?!

-- O, Wlora! -- ucieszył się. -- Dobrze! A tobie?

Sunął, w jej stronę rozgarniając tłum na boki, aż zatrzymał się przy jej wychudłym ramieniu.

-- Trochę mnie plecy bołą -- powiedziała, uśmiechając się szeroko. Miała piękne, równe zęby i biolog natychmiast to zauważył.

-- Jesteś piękna -- powiedział bez żadnych wstępów.

Parsknęła śmiechem.

-- Jeszcze nie czas na Gody -- pogroziła mu palcem, ale w owym geście zawarła coś na kształt zachęty, odroczonej oczywiście do odpowiedniej pory. I Mask zapamiętał ten gest, choć przecież był już związany z Aspaz. Nie powinien zapamiętywać podobnych gestów, a jednak... Jak na Ultramarynkę Wlora okazywała niezwykłą odwagę, szczerą tak wielką, że przeradzającą się w wyzwanie. Zaimponowało to Maskowi i zaraz też skierował oczy na jej dłonie. Suknia Wlory dyskretnie przykrywała ich grzbiety. Kobieta złapała jego spojrzenie, lecz nie spieszyła się wcale.

-- Nie wyspałaś się? -- powrócił do poprzedniego tematu. -- Pozbawiono mnie jednej warstwy puchu. Jak wiesz, zgodnie z aktualną ideologią powinniśmy "zrezygnować z pewnych wygód, aby nasze ciała nabierały zdrowej, szczęśliwej krzepkości".

-- Zapomniałem -- zawołał, łapiąc się za głowę. -- Nawet nie odczułem tak bardzo straty tego puchu, ale myślę, że tym razem waga będzie ściśle przestrzegana.

-- O tak, zupełnie nie wiadomo, co dadzą nam jeść, ale mogę cię zapewnić, Mask, że nic dobrego, dzięki czemu będziemy mieli po jednym wyrzeczeniu na swoim koncie. Nie cieszy cię to?

Mask skrzywił się.

-- Budząc się czułem zapach smażonych powideł, ale teraz czuję, że skończy się na grysiku.

Winda szarpnęło i drzwi rozsunęły się z cichym piskiem nienaoliwionych łożysk. Przez moment poczuł mdłości, ale na szczęście minęły po kilku sekundach. W hali, do której wysypywał się tłum, płonęły całkiem białe lampy. Mask odruchowo szukał zmian, jakie powinny być zająć w wystroju sali. Rzucił mu się w oczy brak purpurowego kobierca wyścielającego całą posadzkę i wielkiego olejnego obrazu, wiszącego do tej pory nad wagami. Nie miał głowy do nazw, ale tytuł brzmiał chyba "Uczta dziewiczego lasu" czy jakoś tak. W tej chwili widniał tam szaro-granatowy sztych przedstawiający mnicha z oczami wzniesionymi ku niebu.

-- Zmiana dekoracji -- stwierdziła Wlora. Widać myślała o tym samym. Metalowe poręcze koryt dzieliły wylewający się z windy strumień ludzi w wąskie pasemka, kierując je pojedynczo w stronę zegarów kontrolnych z wagami. Szło to nawet dosyć sprawnie. Mask wsunął kartę tożsamości w paszczę wagi i stanął na podłodze mechanizmu. Krótki szum oznajmił działanie maszyny, po czym karta z kuponem żywnościowym wysunęła się z podajnika. Mask wziął ją z niechęcią i ruszył przed siebie. Za wagami biegnące czterechsetmetrowym szklanym ciągiem drzwi prowadziły wprost na zewnątrz. Jeszcze tylko wysłuchał krótkiego komunikatu o temperaturze i warunkach klimatycznych i ruszył szybkim krokiem do drzwi, gubiąc gdzieś po drodze swą przyjaciółkę. Nie przejmował się tym. Spotkają się i tak w stołowni, co roku dostawali bloczki do tej samej, w Satha Sabbi, gdzie oboje mieszkali. Wreszcie dotarł do szklanych płaszczyzn i pchnął je energicznie, postępując krok do przodu jak pływak, rzucający się w wodę. Zmrużył oczy i zaczerpnął pełne płuca chłodnego powietrza przesyconego zapachem liści. Ten pierwszy haust, a zwłaszcza zapach, przywracały mu zawsze połowę sił. Kochał kielkującą liśćmi ziemię i różowe wiosenne chmury zaścielające niebo aż po widnokrąg. Postąpił jeszcze krok do przodu pchnięty przez kogoś. Nie rozglądał się na boki, wiedział, że wszyscy wyglądają teraz tak, jak on. Setki ludzi stały wzdłuż monumentalnej ściany budowli wpatrzone w krajobraz oddychając zapomnianym już zapachem powietrza z zewnątrz. Mask usiadł na stopniach i patrzył w dół ogromnych schodów na niewielki z tej odległości plac Dobrego Snu, rysujący się u podnóża niebieskawymi liniami płyt.

Minęła dobra chwila, nim nabrał sił do przebycia tego dystansu. Poprzednio czynny był ruchomy chodnik, którego pasmo sunęło bokiem, ale teraz odkrył kartkę przyczepioną do

fotelików przy kole nawracającym "Nieczynne z powodu REMONTU". Znał te tabliczki nie od dziś. Wiadomo, Ultramar dostał się pod wpływ Nordseledii i zapewne znajdzie jeszcze wiele podobnych napisów, chodząc po mieście. Zmiana wpływów nastąpiła tuż przed zimą, jakieś sześć miesięcy temu i nie należało się spodziewać ponownego przewrotu w najbliższym czasie. Idąc wolnym krokiem wzdłuż szeregu nieruchomych krzesełek przypomniał sobie o kuponach żywnościowych, schowanych odruchowo do kieszeni. Wyciągnął pomięte karteczki i przejrzał zapis. ROZUMNY MASK -- 666457 -- Norma 62 kg -- Grupa 5. Dołączone pięć bonów na pierwszy po przebudzeniu posiłek miało nie wróżący nic dobrego niebieski kolor. Mimo wszystko głód skręcał mu kiszki, więc bez wahania ruszył na przystanek busu, który kończył swój bieg przed dzielnicową stołownią "Sabbidzki Melonik".

2.

-- Nie jestem Seledynem! Ani takim, ani siakim! -- Lort mówił tonem głębokiego oburzenia.

-- Wszyscy doskonale to rozumiemy -- Nanna współczująco kiwała głową -- ale na wszelki wypadek mów trochę ciszej -- poprosiła, nachylając się do jego ucha. Lort rozglądniętą się czujnie. Miał oczy koloru czerwonego barszczu i to najbardziej pociągało w nim kobiety. Siedzieli przy swoim ulubionym stoliku w zacisznym kącie, o ile to w ogóle było możliwe w dzielnicowej stołowni w pierwszy dzień wiosny. Zza okna patrzyły na nich szczyty Wschodnich Gór, granatowe w pełnym słońcu.

Wlora w milczeniu zuła długie patyki, które jej przydzielono w bufecie, niestety też miała nadwagę. Czekając na pojawienie się Maska. Wbrew powszechnej opinii, że Mask jest gburowatym obłudnikiem, jej niezwykle odpowiadał. Szkoda, że nie był już wolny, ale i tak lubiła z nim rozmawiać. Zwłaszcza jego sposób wyrażania myśli, precyzyjny i jasny odpowiadał jej dużo bardziej, niż rozwlekłe i powolne kombinacje Lorta. Momentami wydawało się, że Lort nie jest Ultramarczykiem, a stuprocentowym Soutseledynem.

-- Nie znoszę ani Soutów, ani Nordów -- wypowiedział się właśnie. Przez chwilę trwało milczenie, przerywane tylko jego siorbaniem. Pił gorącą zalewajkę. Nanna przyglądała mu się z zazdrością. Była znana z łakomstwa.

W sali panowała raczej cisza, delikatny szmer rozmów w niczym nie przypominał hałasu korytarzy i wind spalni, jakby ludzie ucichli pod wpływem szoku wywołanego kontaktem ze światem zewnętrznym.

Wlora już z daleka zauważyła jego brązowy sweter o poskręcanych kudłach. Wstała machając dłonią. Chwilę stał niezdecydowany, póki nie zauważył smukłej ręki, błyskającej pierścieniami. Odmachał na powitanie i ruszył w ich kierunku. Dopiero z bliska dostrzegli, że trzyma w dłoni kilka grubych plastrów chleba.

-- Witaj -- zawołał wesoło Lort. Nanna mrugnęła do Maska, długie rzęsy przesłoniły na chwilę wielkie oczy. Nanna nie była czystej krwi Ultramarką, zresztą ilu ich jeszcze żyło, tych prawdziwych. Mask czasami miał wrażenie, że chyba już wymarli. Przypomniawszy sobie zeszłą jesień i kilka miło w tym towarzystwie spędzonych wieczorów.

-- Z daleka wyglądzacie jak trzy głowy czerwonej kapusty -- powiedział śmiejąc się.

-- Chyba nie z powodu tonsur? -- przeraził się Lort na niby.

-- I owszem. Mogę to powiedzieć głośno. Z powodu śmiesznych symboli waszej kastowej przynależności!

Lort rozejrzał się.

-- Nic przesadzasz? -- zapytał szeptem.

-- Czego się bać? Wraz z Nordsdedią wkracza tu przecież wolność!

-- Niewiele masz do jedzenia -- wtrąciła się Wlora.

Mask chrząknął i nachyliwszy się do pozostałej trójki powiedział:

-- Jak wiecie, czasy się zmieniły. Ponieważ ze spalni wyszedłem z nadwagą i to aż pięciokilogramową, więc automatyczny intendent zakwalifikował mnie do piątej grupy, a piąta grupa otrzymuje tej wiosny pięć błękitnych żetonów na pierwszy posiłek. Każdy z tych żetonów moi drodzy opiewa...

-- Na kromkę suchego chleba -- dokończyła Wlora.

Mask oniemiał półśmiechnięty.

-- Skąd wiesz? -- zapytał.

-- No przecież widzę te kromki przed tobą -- wskazała palcem chleb.
-- Nie popisałem się spostrzegawczością! -- złapał się za głowę.
-- I nie protestowałaś? -- włączył się Lort.
-- Miałem zamiar, no ale... Widzisz, tam stoi taki typek w rękawiczkach i z podniesionym kołnierzem, więc zrezygnowałem. Szkoda mi tracić znów dostęp do świeżego powietrza. Jeszcze zdążę się najeść.
-- Widziałam go -- odezwała się milcząca do tej pory Nanna. -- Te rękawiczki są z żabich skórek.
-- Niewrażliwy! -- z ironią wycedził Lort.
-- Tak. On prawdopodobnie doskonale by ci wyjaśnił, że zapasy są na wyczerpaniu.
Lort ze zniechęceniem machnął ręką. -- A ruchomy chodnik przy Pałacu Snów jest w remoncie, co?
-- Dajcie już lepiej spokój -- przerwała im Nanna. -- Opowiem wam kawał. Wiecie, dlaczego Technicy nie jedzą konfitur?
-- Nie -- rzekł Mask, już otwierając w uśmiechu usta.
-- Bo im się głowa do słoika nie mieści. Mask wybuchnął śmiechem, Wlora także, a Lort krztusił się swoją zalewajką. Przy kilku sąsiednich stolikach stołownicy zaczęli uważniej przyglądać się rozbawionej grupie.
-- Uspokójcie się -- powiedziała Wlora. -- Już na nas patrzą. -- Lort znów się rozejrzał.
-- Rzeczywiście -- powiedział. -- Ale zauważam także i inne niekorzystne zmiany. Za Soutseleerii nie widziałem w tym pomieszczeniu tylu żółtych łbów. Pełno tej technicznej masy -- stwierdził specjalnie głośno.
-- Masz niewyparzony język -- skarciła go Nanna. -- Ledwo wstałeś i już chcesz się wplątać w jakąś awanturę. Lepiej pojedźmy do pełnomocnika i zapytajmy, czy nie mamy dziś nocnych dyżurów.
-- Nanna ma rację -- potwierdził Mask. -- Jeszcze zdążymy im zaleźć za skórę. W tym roku na pewno nie obejdzie się bez starć. Nic musisz już dziś pchać się do bijatyki.
Lort wstał, Nanna podniosła się także.
-- Zostajecie jeszcze? -- zapytała, widząc że pozostała dwójka nie rusza się z miejsc.
-- Tak -- powiedział Mask z ustami pełnymi okruchów. -- Jeszcze nie zjadłem.
-- My już idziemy -- Lort kiwnął ręką na pożegnanie. -- Wiecie, że dyżur w pierwszą noc wiosny to nic przyjemnego. Chciałbym się już uwolnić od jego widma.
-- Macie szczęście, że wasza praca was nie goni. Sami możecie sobie wyznaczać terminy -- rzuciła Nanna oddalając się. -- Wpadnę do ciebie wieczorem, Wlora! Bii!
-- Dobra, czekam! Bii! -- Wlora zwinęła dłoń w pięstkę i pomachała im. Po chwili zniknęli za załomem ściany.
Mask żuł powoli suchy chleb, pocieszając się perspektywą kąpiących fontann. Co prawda nie wolno było pić z nich wody, ale Mask nie był konformistą, był za to biologiem. Ta postawa często przysparzała mu kłopotów, lecz duża część naukowców w laboratorium ceniła go za twardy charakter, choć prowadził on nieraz do starć z Mądrym Pilkiem. Kto wie, może dzięki temu nie miewał raczej kłopotów z Technikami, co wzmacniało jego przetargową pozycję. Przez skojarzenie z pracą przypomniał sobie, że widział przed chwilą w stołowni właśnie Mądrego Pilka.
-- Wiesz -- powiedział do Wlory -- zauważyłem przed chwilą mojego szefa.
Zdziwiła się, że mówi jej o tym, nie znała jego przełożonych i nie interesowało jej to. Nie dała tego po sobie poznać, wykrzywiając śmiesznie puszyste wargi. Mask skierował rozmowę na osobę Lorta.

-- Co sądzisz o Lorcie? -- zapytał.

-- Znam go już jakiś czas -- odparła i popatrzyła badawczo na Maskę. -- No cóż, jest trochę narwany, zagorzały antytechnik, dobry chemik, no, miły chłopak, tylko może trochę za miękki...

-- Właśnie -- przerwał jej. -- Wydaje mi się, że jest miękki aż do przesady. To wypływa chyba z jakiegoś strachu.

-- Mimo buńczuczności jest trochę lękliwy -- powiedziała Wlora.

-- Czy jest skłonny do kompromisów?

-- Raczej tak. Oczywiście tylko w odniesieniu do zwierzchników, bo Techników wręcz nie znosi.

Zamilkła na moment, bawiąc się rogiem serwetki.

-- Dlaczego właściwie pytasz mnie o niego?

-- Bo mało go znam, a będę go chyba potrzebował. Mam taki dobry zwyczaj, że zapoznaje się bardzo dokładnie z ludźmi, z którymi mam zamiar coś zrobić. Spotkałem go na przyjęciu u Nanny w listopadzie, więc sama widzisz, że niedługo się znamy.

-- Czy to znaczy, że chciałbyś z nim pracować? -- uśmiech wciąż zdobił jej twarz.

-- Coś w tym rodzaju -- odpowiedział i wbił w nią chłodne oczy. Wzdrygnęła się pod jego spojrzeniem.

-- Słyszałem pogłoski, że on jest synem Białogłowych?

-- To chyba prawda. Kiedyś Lort zdaje się mówił, że jego ojcem jest Wszechwiedzący Paraj. W innych przypadkach izolacja dziecka od rodziców jest ściśle przestrzegana, ale wiadomo, że Wszechwiedzącym wolno więcej niż innym ludziom, -- Właśnie, Paraj... -- Maskę zamyślił się. -- To ten filozof. Mówił mi o nim Mądry Pilk. Idziemy?

-- Myślałam już, że chcesz mnie sprawdzić? -- rzekła Wlora.

-- Jak to? -- zdziwił się.

-- No, po prostu, że chcesz porównać swoje sądy z moimi.

-- Ach! -- zrozumiał nagle -- że w jakiś sposób przypasowuję cię do siebie?

-- Właśnie -- spuściła oczy, zmieszana. Roześmiał się.

-- Kobiety bardzo łatwo odnoszą wszystko do seksu. Nic podobnego nie miałem na myśli, ale skoro już o tym mówimy, to wiesz -- dotknął osłoniętego grzbietu jej dłoni -- że bardzo mi się podobasz.

Drgnęła, a skóra na jej policzkach zmieniła zabarwienie na bardziej oliwkowe.

-- O ile wiem, to nie jesteś wolny -- powiedziała, cofając rękę. -- A poza tym do Godów mamy jeszcze sporo czasu. Jak dla mnie, to przyjąłeś chyba zbyt ostre tempo -- dodała, jakby się usprawiedliwiając, Wychodząc skinął głową Pilkowi. Tamten odwzajemnił ukłon przyjaznym grymasem. Maskę dosyć lubił Pilka, chociaż nie bez zastrzeżeń.

-- Będę u ciebie wieczorem -- powiedział, żegnając się z Wlorą. -- Bii!

-- Czekam! -- krzyknęła odchodząc. Patrzył przez chwilę na jej rozwichrzoną sukienkę, na sylwetkę płynnie sunącą przez plac. Czuli, że nie jest u niej pozbawiony szans i cieszyło go to, zwłaszcza w kontekście ostatnich nieporozumień z Aspaz. Miał szczególne powody do radości. Otwierała się dla niego szansa, szansa bardzo wielka na uniknięcie widma samotnych Godów. Już jedno samotnie spędzone Gody miał za sobą i wołał nie wracać do tego wspomnienia.

Postawił kołnierza, bo od morza niosło kroplisty, przenikliwy chłód. O tej porze roku miasto robiło na nim szczególnie mocne wrażenie.

3.

Drzewa igua za oknami zwisały już ku ziemi niskimi, ciemnozielonymi kopułami igieł. Mask wyjrzał na placyk przed instytutem, w lecie pełen bardzo dziwnych roślin, które Mądry Pilk sprowadził ze strefy podbiegunowej. Jeszcze nie wzeszło nic, poza tymi drzewami, z których koron osypywały się grudki ziemi. Nigdy nie czuł się zbyt dobrze przez kilka pierwszych dni po obudzeniu. W drugim tygodniu Planeta zaczynała wyglądać znośniej. Mask odszedł od okna, lecz nie zapalał jeszcze światła. W ciemności przypominał sobie zeszłą jesień. Klimat tamtych dni powracał z całą wyrazistością, jakby nie przerwał go kilkumiesięczny okres spoczynku, zapomnienia. Wraz z widokiem starych miejsc otwierały się zablokowane połączenia pamięci. Wielokrotnie podziwiał ów fenomen, który sprawiał, że emocje towarzyszące jesiennym zdarzeniom odżywały na wiosnę z tą samą siłą, zupełnie nienaruszone, jakby tamto miało miejsce przed chwilą. Podeszedł do kontaktu i zapalił światło. Przez moment kręcił się po laboratorium bez celu, dokładnie przyglądając się poszczególnym sprzętom. Chciał uzmysłowić sobie, czy nie zaszły tutaj jakieś zmiany. Przed jego oczami, gdy krążył wśród laboratoryjnych stołów i kolb, przewijała się kolorowa taśma ostatniego dnia. Dobrze wiedział, że to niemożliwe, by ktoś poruszył czy przestawił cokolwiek, a mimo to czuł, jak narasta w nim niepewność, przedziwne uczucie, które każe wszystkiego dotknąć i wszystko sprawdzić. Kto wie, może właśnie owo uczucie, którego doświadczał już od dzieciństwa sterowało jego pracą, może ono ukierunkowało jego zainteresowania przed wielu laty, sprawiło, że został biologiem i przyjął propozycję Mądrego Pilka. Szedł przez instytut kolejno zapalając i gasząc światła, aż zatrzymał się w ostatnim pomieszczeniu lewego skrzydła. Siłą woli musiał powstrzymać lekkie drżenie palców. Zbliżył się do rogu pokoju, gdzie pod oknem z widokiem na te same obwisłe parasole drzew stała cichutko mrucząc lodówka-eksperymentator. Bardzo chciał otworzyć ją już, zaraz. Niestety, doskonale wiedział, że będzie musiał poczekać do jutra. Dopiero rano zjawi się tutaj obsługa i nieodłączny, pomarszczony Pilk, przepraszam, Mądry Pilk, który ma szansę stać się w tym sezonie Wiedzącym Pilkiem i przemałować szczyt pomarszczonej od wielkiego myślenia czaszki na liczący z tym tytułem kolor błękitny. Dopiero jutro szczęknie automatyczny zamek i Mask dowie się. Będzie już wiedział! Bardzo cenny ładunek zawierała tym razem lodówka, tym cenniejszy, że tylko Mask orientował się dokładnie w szczegółach. Zgasił światło i starannie zasunął za sobą drzwi, Wychodził z instytutu już prawie w ciemność.

Światło gwiazd tylko miejscami przedzierało się przez gęste futro chmur. Planeta otuliła się ciepłym kokonem. Po wiosennych chłodach grzała swą powierzchnię. Wśród szpaleru bardziej lub mniej wyrosniętych drzew igua słyhać było wzdłuż ulicy trzaski, raz cichsze, raz głośniejsze. To napięta kora pękała miejscami, nie nadążając za szybko rosnącym rdzeniem. Mask przy spieszył kroku. Na śmierć zapomniał o spotkaniu z Wlorą, a przecież miał tam przyjść także Lort. Zwłaszcza z nim chciał się zobaczyć. Jedyńm elementem, jakiego mu brakowało, był chyba tylko spanodorm. Któż, jak nie chemik zdobędzie spanodorm, a poza Lortem chyba żaden chemik nie ma w ogóle szans. Musiał wierzyć w Lorta.

W mieście płonęło już wiele światła, lecz busy prawie w ogóle nie kursowały. Tylko raz przemknął koło niego jakiś nieoświetlony pojazd i zniknął za rogiem najbliższego bulwaru. Grin Krong, a z nim Satha Sabbi wyglądały jak zepsuty mechanizm o nieruchomych, zębatych paszczach busów przyczajonych koło krawężników. Niewiele osób spotykał po drodze, większość zapewne jeszcze dosypiała. Państwowe spalnie miały to do siebie, że nie do końca uwzględniały indywidualne potrzeby. Pełnym rytmem miasto zacznie pracować dopiero za dwa,

trzy dni, kiedy, temperatura wzrośnie do magicznej bariery 300°K.

Na skrzyżowaniu Linii Niebieskiej z Czerwoną zobaczył grupę Techników w bawełnianych kombinezonach i żółtych, numerowanych hełmach, którzy stojąc na wysokich drabinach usiłowali wśród drutów trakcji zawiesić wielką planszę. Skręcając w Foy Uan kątem oka zauważył smutne oczy Wszechwiedzącego -- Filozofa Paraja i rozchwiany na wietrze tekst: "Nogi służą do poruszania się ku szczęściu". Zgodnie z rytuałem dochodziła jak widać do głosu grupa Pronordycznych Wszechwiedzących, z ich filozofem na czele: Mocniej naciągnął kepi i postawił kołnierz, osłaniając się od morskich zmarzlin gnanych rozpoczynającym się właśnie nad oceanem tornadem.

Przyspieszył kroku podążając ku znanemu pokoikowi przepojonemu zapachem kobiety na pewnym wysokim piętrze w Satha, Sabbi.

4.

Budynek pamiętał bardzo odległe czasy, został jednak starannie zrekonstruowany i wyposażony w urządzenia, bez których nikt nie wyobrażałby sobie obecnie życia. Gdy przekroczył ciężką, metalową bramę, owiało go przyjemne ciepło. Miękka wykładzina tłumiła kroki, gdy podążał do windy. Klatka windy kapiała od ozdób w stylu żelaznych pęków winogron, wiązanek mosiężnych róż i innych podobnych elementów. Zatrzymała się z niemiłym jękiem na dziesiątym poziomie. Mask stanął przed równie masywnymi drzwiami mieszkania Wlory. Otworzyła je Nanna, którą z trudem rozpoznał w mroku przedpokoju. Otoczył go zapach kwiatów i ta specyficzna atmosfera kobiecego mieszkania.

-- Jak poszło? -- zapytała Wlora, gdy wszedł do pokoju.

-- Przeciętnie -- odparł, siadając na wielkiej poduszce u podnóża tapczanu. -- A wam?

-- Na szczęście, jak widzisz, nie mamy zajęć -- odpowiedział Lort z głębokiego fotela tonącego w świetle lampy z koronkowym abażurem.

-- Twój instytut jeszcze nie pracuje? -- zdziwił się Mask.

-- Nie -- Lort rytmicznie pociągał dym z wężyka. -- Wiedzący zdecydowali, że dopiero za trzy dni rozpoczniemy badania. Na razie mam zezwolenie na podróż w wybrane miejsce kontynenty.

-- To bardzo miłe ze strony twoich przełożonych -- powiedziała Wlora, wyjmując wężyk z jego dłoni. -- Szkoda tylko, że nie wybrali ci miłszej pory na urlop, teraz cały kontynent wygląda jednakowo.

-- O, przepraszam! -- zaprotestował Mask. -- Na północy i południu jest jeszcze zimniej.

-- Pociągnij sobie -- zaproponowała Nanna.

-- Chętnie -- odparł, biorąc od niej wężyk. Dym miał słodkawy smak i przypominał wędzone śliwki. Mask już nieraz tego próbował. Zrobiło mu się miękko i poczuł zawrót głowy. Przekazał wężyk dalej.

-- Mocna -- stwierdził i rozpiął koszulę. Wlora włączyła płytę z jakąś muzyką. Melodia również nie była Maskowi obca. Oparł się wygodnie o tapczan i zapatrzył w ekran. Na dobrą chwilę stracił poczucie rzeczywistości, obserwując grę cieni na białej płaszczyźnie. Plamy zlały się potem w jedno i tą jednością okazał się być lider zespołu "Szczwacze", śpiewający jakiś ostry tekst. Słowa nie docierały do Maska i w ogóle nie miały żadnego znaczenia. Biolog nareszcie przestać myśleć. Pod wpływem następnego łyku dymu rozluźnił się całkowicie i uwolnił od tego strachu czy niepokoju, który towarzyszył mu od chwili, gdy zszedł po wysokich schodach na niebieskawy plac. Dym przynosił chwilową ulgę. Mask wiedział, że to sztuczne, ale i tak było to lepsze niż nic. Wpatrzył się w srebrzysty rąbek sukni Wlory, która leżała wyciągnięta swobodnie na rudym pledzie. Ręce miała podłożone pod głowę, oczy zamknięte. Z jednej jej dłoni lekko zsunął się mankiet i Mask patrząc na skrawek oliwkowego ciała, odsłonięty przez materiał, poczuł nagły przypływ podniecenia.

-- Chcesz jeszcze? -- Nanna znów podsunęła mu wężyk.

-- Nie -- powiedział. -- Nie lubię przesadzać. Wystarczą mi dwa zaciągnięcia.

Niespokojnym wzrokiem poszukał Lorta, omal zupełnie nie zapomniał o nim i o właściwym celu swojej wizyty. Odnalazł go tym razem w cieniu fotela, na błyszczącej fioletowej poduszce. Lort wyglądał na całkiem przytomnego. Mask postanowił porozmawiać z nim teraz. Przynal się do chemika. Kobiety pogrążone w rozmyślaniach i marzeniach na pewno i ich nie słuchały.

-- Mam do ciebie sprawę -- powiedział, śledząc uważnie reakcję Lorta. Tamten nie

odpowiedział, poruszył tylko wargami. Był młody, bardzo młody i, jak się teraz Maskowi wydało, bardzo niedoświadczony.

-- Słyszysz mnie? -- potrząsnął go lekko za ramię.

-- Tak, słyszę. Czego chcesz? -- odpowiedział Lort nie otwierając oczu.

Mask chwilę zastanawiał się, jak zacząć, ale doszedł do wniosku, że nie ma co kamuflować.

-- Chcę, żebyś coś dla mnie załatwił -- walnął prosto z mostu.

-- Co takiego?

-- Potrzebny mi spanodorm. Lort zerwał się na równe nogi, oczy rozszerzył mu strach.

-- Co? -- wyszeptał.

Widać było, że nie może znaleźć właściwych słów na określenie tej propozycji.

-- Czy ty oszalałeś?! -- wyrzucił wreszcie.

-- Nie. Wiem, co mówię i wiem, że tylko ty możesz mi pomóc.

-- Skąd ci przyszło do głowy, że właśnie ja?! Lort był wstrząśnięty. Mask uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

-- Chyba za bardzo się przejmujesz -- powiedział uspokajającym tonem.

-- Jak to?! -- Lort zdenerwował się na dobre: -- Czy ty wiesz, co mówisz?! Przecież zaraz mnie złapią i oddadzą pod sąd! Przecież ja będę musiał to ukraść!

-- Ciszej -- syknął Mask. -- Nie krzycz, bo je pobudzisz.

-- O czym wy mówicie? -- ocknęła się w tym momencie Wlora. -- O niczym specjalnym -- wyjaśnił Mask.

-- Właśnie wychodzimy.

Szarpnął Lorta za rękaw, pokazując mu wyjście. Ruszyli do przedpokoju.

-- No to bii -- wyszeptała Wlora, odwracając się do nich plecami.

Ozdobna kabina windy zaniósła ich tym razem bezszelestnie na sam dół budynku. Chwilę szli przez wymarłe, nocne ulice w milczeniu.

-- Ty jesteś synem Wszechwiedzącego Paraja -- stwierdził nagle Mask.

Lort dopiero po chwili odpowiedział:

-- Tak.

-- No więc sam powinieneś wiedzieć, dlaczego zwracam się właśnie do ciebie.

-- No tak -- Lort wciąż nie patrzył na Maskę. -- Uważasz, że mnie może to ująć bezkarnie.

-- No, może nie całkiem bezkarnie, ale może ci ująć, komu innemu na pewno nie.

-- W każdym razie cię uprzedzam -- Lort zatrzymał się -- że nie należę do najodważniejszych i jak mnie przycisną, to powiem wszystko. Przez moment patrzyli sobie prosto w oczy.

-- Dobrze -- powiedział Mask, odwracając się tyłem do wiatru, który dmuchnął mrozem.

-- Sam to ukryję w jakimś miejscu.

Lort także podniósł kołnierz eleganckiego futra z chomików.

-- Powiedz mi, ile potrzebujesz i na kiedy -- rzekł zrezygnowanym tonem.

-- Kilogram. I to jak najszybciej. Lort ponownie się zatrzymał.

-- O, co to, to nie. To nie dla mnie. Przyspieszył kroku, jakby nie chciał słyszeć już o niczym.

-- Chwileczkę!

Mask dopadł go i złapał za połą futra.

-- Wiesz nad czym ja pracuję?! -- krzyknął.

-- Domyślam się! Jeżeli potrzebny ci spanodorm, to chyba tylko nad jednym! A wiesz, że jedynie rządowe i wojskowe instytucje mają prawo do takich badań?! Ja właściwie w te pędy

powiniennem lecieć na Komendę i zawiadomić Niewrażliwych! Oni już by się tobą zaopiekowali, albo oddali jakimś lekarzom! Nie chcę tego dłużej słuchać!

Lort energicznie ruszył do przodu, lecz Mask powstrzymał go, mocno chwytając za klapy kołnierza.

-- Posłuchaj! -- rzucił mu z bliska w twarz.

-- Tylko ty możesz mi pomóc! Ostatnim ogniwem jest ten cholerny spanodorm! Jeżeli go dostanę, to jesienią będę miał gotowy preparat.

Lort zamarł. Chwilę trwali w bezruchu. Dwie figurki gipsowych zapaśników szczepionych w walce. Wreszcie Lort uwolnił się z uchwytu Maska. Ponownie popatrzyli sobie w oczy.

-- Jesteś pewien? -- wyszeptał Lort, nie zmieniając pozycji.

-- Tak! -- Mask włożył w to słowo całe przekonanie, na jakie go było stać.

-- Dobrze -- odparł krótko Lort. -- Dam ci odpowiedź w najbliższym czasie.

Mask pozostał sam na środku chodnika. Rozejrzył się niepewnie wkoło i ruszył w kierunku domu.

5.

Usiadł na ławce i rozłożył gazetę. Dzień był pogodny, od południa słońce świeciło nieprzerwanie, a wiatr rozgonił ostatnie obłoki. Powietrze tchnęło jednak takim chłodem, że momentami para leciała z ust. Dawno już nie było tak mroźnego wiosennego dnia. Klomby ciągle jeszcze nie zazieleniły się na dobre. Gdzieś z tyłu, za jego plecami, poskrzypywały twarde klingi mieczników, które wyrosły przez ostatnie dwa dni. Nie opodal jego domu trawa kielkowała całą dzisiejszą noc ze zdwojonym szelestem, tak że przeszkadzała mu, kiedy usypiał. Niedługo wegetacja wzmoże się do tego stopnia, że rośliny w ciągu minut będą osiągać dwumetrową wysokość rozczapierzonych baldachów, olbrzymie liściowniki z chrzęstem przebiją glebę, by rankiem wyłonić się purpurowymi maczugami, które przez najbliższe miesiące zmatowieją, rozwiną liście ciemniejące aż do zbutwiełej zieleni pełnego lata. Kaszane krzaki wytrysną na otaczających miasto polach i w ciągu najbliższych tygodni zabłysną ciężkimi, fioletowymi kolbami dając pierwszy wiosenny, pełnowartościowy pokarm. Potem zakwitną wielkokwiatowe drzewa w sadach i tutejszym parku. Mask lubił młode pączki gruszkowców i palm jak nic innego. Teraz już tego nie robił, ale i jeszcze jako uczeń często zakradał się na parkowe drzewa. Raz nawet złapał go Niewrażliwy i zaprowadził do Domu Stałego Pobytu Wychowawczego (do Powychu, jak mawiali w swojej gwarze), w którym Maska wychowywano od dziecka. Nauczyciele pobledli z wściekłości, gdy Niewrażliwy o opasłym brzuchu powiedział: -- Obawiam się, że wasz wychowawczy trud nie" idzie w parze z waszymi umiejętnościami: Nie mam miękkiego serca, ale tym razem jeszcze nie poinformuję o tym Sektorowego Wielkiego Wychowawcy. I wyszarpał Maska za ucho. Na tym szarpaniu zresztą się nie skończyło. Cóż, był to okres wpływów Soutseledyńskich i każdą niesubordynację traktowano z całą surowością. A nie ma przecież cięższego wybryku od pożerania miejskiej zieleni. Nawet przy obecnej nordseledyńskiej wolności" po okolicznych polach uprawnych jeździły patrole.

Mask miał na temat całej tej sprawy własne zdanie, ale niestety nie pokrywało się ono z przepisami żadnego z krajów. Za kilka tygodni będzie się można napaść byle gdzie. Na razie jednak wiatr tak szarpał rozpostartą przez biologa gazetą, że z trudem można było odczytać co większe tytuły. Przebiegł wzrokiem pierwszą stronę. Jak zwykle w wiosennym wydaniu dużo wiadomości o szkodach wyrządzonych przez zimę. Zerwany most na Linii Błękitnej, kilkadziesiąt uszkodzonych budynków, rury kanalizacyjne głównego kolektora dzielnicy Bland Ustanc rozsądzone przez mróz. Wspominano o wydatkach, jakie pociągnie za sobą konieczność naprawy wielu fabrycznych hal i o zmniejszeniu produkcji. Były wieści o skamienieniu w nieodwracalnych reakcjach chemicznych i w hałdach kopalin nie zabezpieczonych na składowiskach, i takie tam podobne. Gazeta podawała za Instytutem Meteorologii przypuszczalny przebieg minionej zimy, którą oceniano jako bardzo ostrą, późnojesienne tornada zaś za nadzwyczaj silne i tym samym tereny wymarzlisk znów powiększyły się o kilkaset kilometrów kwadratowych. Może w skali Planety nie było to tak strasznie dużo, niepokoiło jednak nie tylko zresztą naukowców. Mask zadumał się na chwilę. Jeszcze kilka zim z temperaturą poniżej 10°K i wymarzliny zajmą dwadzieścia procent upraw: kontynentu. Widmo głodu zaglądało w oczy ludzi. No i cóż, to już chyba wszystko, co przyniósł pierwszy wiosenny numer "Głosu Krongu" poza zwykłymi ogłoszeniami o terminach podjęcia pracy w poszczególnych zakładach i relacji z Pałacu Snów, który zamykał swe podwoje na osiem miesięcy. Mask złożył gazetę i w tym momencie poczuł, że coś delikatnie naciska podeszwę jego buta. W pierwszej chwili chciał przesunąć stopę, potem jednak postanowił się zabawić. Od spodu

coraz mocniej parł w górę młody pęd, a Mask tym bardziej dociskał podeszwę. W końcu szpic mieczownika o stalowym połysku wypełził bokiem obok jego stóp. Mask wstał i ruszył ku najbliższej przecznicy, gdzie na rogu otwarto pierwszą palarnię. Wyrzucił gazetę do kosza. Nie lubił gazet, choć sam dokładnie nie wiedział, za co. Przekroczył próg lokalu z dźwiękiem sznura dzwoneczków zawieszonych u drzwi. Uświadomił sobie, że jak zwykle nie znalazł żadnej informacji o liczbie osób, które zamarzły tej zimy, ani również o tych, którzy nie obudzili się z zimowego snu. Po chwili przestał o tym myśleć, otoczony przez szatniarza, ściągającego zeń płaszcz i właściciela lokalu, który namawiał go na różne gatunki dymu dostępne tu w każdej chwili.

6.

-- Jak się masz?

-- Oczywiście, że dobrze! -- roześmiała się sztucznie i spuściła głowę. Wolałby tego nie zauważyć, ale stało się, więc zapytał:

-- Na pewno?

-- Jasne! -- popatrzyła mu prosto w oczy. -- Czy wyglądam na człowieka, któremu czegokolwiek brakuje?

-- Właśnie tak mi się wydaje, choć wolałbym, żeby było inaczej, Mask mówił już mniej spokojnie. Dotknęła jego palców tak jak dawniej, ale przeszedł go tylko fizjologiczny dreszcz. Zdawał sobie sprawę, że nic poza fizjologią nie budziło się w nim na widok tej kobiety. Odsunął dłoń.

-- Nie kłóćmy się -- szepnęła błagalnie. Wiedział, że ona gra. Może się mylił, ale teraz nie potrafił spojrzeć na jej odruchy obiektywnie. Każde słowo wydało mu się specjalnie dobrane, wycelowane w jego najczulszy punkt.

-- Dlaczego nie?! -- parsknął -- skoro oboje mamy na to ochotę?!

-- Musiałam się z tobą zobaczyć!

-- Musiałaś czy chciałaś? -- zapytał z przekąsem. -- Jesteś w końcu Soutseledynką, wice nie wiem, czy mówisz to, co myślisz, czy nie. Zastanawiam się, w jaki sposób mogliśmy tworzyć parę, skoro od samego początku mówiłaś co innego, niż myślałaś.

Oczy jej zwilgotniały.

-- To nieprawda! -- krzyknęła.

-- Nieprawda to znaczy prawda, czy nieprawda?.

-- O Panie! -- ścisnęła głowę w dłoniach. -- To jakiś obłąd.

Mask wstał. Złapał się na tym, że patrzy na to wszystko jak na teatralne przedstawienie. Aspaz poderwała się także.

-- Wyjdźmy stąd -- Mask przepychał się między stolikami zatłoczonej stołowni. -- Że też musiałaś się ze mną umówić właśnie tutaj!

Mówił do siebie, lecz specjalnie głośno, żeby usłyszała.

-- Parszywa stołownia!

-- Zapomniałam, że jest pora obiadu -- tłumaczyła się, wiążąc chustkę na szyi. -- To miły lokal.

Popatrzył na nią z niechęcią.

-- Nigdy nawet nie podobały nam się te same lokale.

Przytaknęła ruchem głowy.

-- Masz rację. Nasze upodobania różnią się. Ale przecież...

-- Wiem -- przerwał jej ostro -- możesz nie kończyć.

Długą chwilę milczeli, idąc wzdłuż szeregu zamkniętych sklepów. Całą uwagę skupił na witrynach, analizując, treść nowych haseł, które były w nich wywieszane. Im dłużej na nie patrzył, tym bardziej narastała w nim wściekłość, którą przecież chciał przez to czytanie stłumić. Każdy by się zdenerwował czytając te brednie. "Co masz zjeść dziś, zjedz jutro" -- to sklep spożywczy. Obuwie: "Czy ma sens chronienie skóry skórą?" i tak dalej, aż do obrzydzenia, nordseledyńskie haselka na każdym kroku. Oczywiście nie denerwowały one tych wszystkich, którzy tęsknili za zmianą wpływów. Wręcz odwrotnie, co chwilę mijał roześmiane gęby Techników i innych miłośników wyrzeczeń. Nigdy nie podzielał nordseledyńskich poglądów. Niestety, nie podzielał też poglądów Soutseledii, a na razie nie zanosilo się na to, by jakakolwiek

inna grupa mogła marzyć o zdobyciu władzy w Ultramarze.

Nagle coś gwałtownie załopotalo nad ich głowami. Równocześnie spojrzeli w górę. Wielki biały ptak usiłował usiąść na wystającym gzymsie i nie mogąc znaleźć oparcia dla kudłatych łap wściekle walił skrzydłami w mur. Inni przechodnie również przystawali. Zrobiło się małe zbiegowisko. Z niektórych okien wychylali się ludzie.

-- Kolągwa! -- zawołał ktoś.

-- Pierwszy wiosenny ptak, jakiego widzę -- powiedziała Aspaz do Maska.

Zupełnie zapomniał o złym nastroju.

-- Ja też -- odparł i wziął ją pod rękę. -- Odprowadzę cię na przystanek.

-- Mam jeszcze trochę czasu, możemy pochodzić -- rzekła z nadzieją w głosie.

-- Wiem -- powiedział dość miękko -- ale mnie już się spieszy. Za pół godziny muszę być w instytucie. Poza tym busy chodzą strasznie nieregularnie.

-- Właśnie -- westchnęła -- znów te nordseledyńskie odchylenia. Rozśmieszyło go jej oburzenie.

-- Rzeczywiście! Ciebie jako Soutankę musi to szczególnie drażnić, -- Skądże! -- wzruszyła ramionami. -- To nawet miłe!

Sprzeczność zawarta w tych dwóch następujących po sobie zdaniach tak go zdenerwowała, że zabrakło mu słów. Nie powiedział już nic. Szybkim krokiem odprowadził ją na przystanek i nawet nie zaczął na przyjazd busu.

-- Spotkamy się niedługo -- powiedział na pożegnanie. -- Musimy chyba poważnie porozmawiać.

Widział, że jego słowa zmartwiły ją, nie był jednak przekonany, czy to zmartwienie jest autentyczne.

-- Bii! -- rzuciła za nim Aspaz, gdy przechodził na drugą stronę ulicy.

7.

Mądry Pilk wpadł do laboratorium niczym bomba. Mask od dobrej chwili oczekiwał go z niecierpliwością. Dzisiaj przecież mieli otworzyć eksperymentator. Poza tym zauważył kilku nowych ludzi, kręcących się po pomieszczeniach, dwóch Techników i jakąś całkiem miłą Rozumną.

-- Witaj Mask! -- rzucił szef, zdejmując płaszcz. -- Zimno dzisiaj!

-- Bii! Prawda -- odpowiedział Mask na powitanie. -- Nie wiem czemu, ale udziela mi się pańskie podniecenie.

-- Masz rację Mask! Jestem podekscytowany. -- Jajogłowy Pilk o pomarszczonej, ciemnoniebieskiej twarzy poskrobał się po resztkach siwej czupryni, która wyrastała mu z za uszu. Jego czarna tonsura wydawała się dziś zupełnie hebanowa. -- Też byłbyś podniecony, gdybyś czytywał prasę! -- A cóż tam takiego napisali? -- w tonie młodego biologa przebiejało powątpiewanie.

-- Wiem, że nie darzysz dziennikarzy zaufaniem, ale tym razem... Popatrz!

Mądry Pilk z szelestem rozpostarł na stole gazetę. Mask rzucił okiem na tytuł i poderwał się z krzesła. U góry pierwszej strony wielkimi literami biegł napis: "Cztery zdjęcia z ocalałej kamery na Płaskowyżu Mgieł!" "Zima ma kolor różowy! Pierwszy udany eksperyment uczonych Soutseledyńskich!"

-- Niemożliwe! -- krzyknął Mask. -- Są pierwsze zdjęcia większej płaszczyny?!

-- No właśnie! -- Pilk usiadł, rozpromieniony. -- Czy to nie wspaniały triumf nauki?!

W tej chwili nawet eksperyment Maska zszedł na dalszy plan. Po tylu latach nieustannych prób udało się sfotografować zimę! Do tej pory uczeni nie potrafili osłonić kamer przed wichrem. Okres tornad był zwykle tak burzliwy, że wszystkie otwory w budynkach zasłaniano metalowymi pokrywami odpornymi na gwałtowne zmiany temperatury i wysokie ciśnienie. Jesienne tajfuny podrywały do nieba całą ziemię, co roku powstawały nowe płaskowyże, doliny, rzeki zmieniały swój bieg. Wicher i woda wciskały się w każdą nie zabezpieczoną szczelinę, rozsadzając ją od razu, czy to w fazie zamarzania, czy też w porze wiosennych roztopów. Potężne wyładowania elektryczne kruszyły skały, szybkie oddalanie się Planety od jej słońca wyzwało prawdziwe piekło i powodowało, że zamieszkującym Planetę istotom bardzo ciężko było przetrwać. Zwłaszcza dawniej, bo teraz, gdy osiągnięto jaki taki poziom technologiczny, było łatwiej. Ciągle jednak zima okryta była mgłą niewiedzy. Zupełnie niedawno, bo jakieś sześć lat, wstecz próbowano po raz pierwszy sfotografować Planetę zimą, w najspokojniejszym pasie równika. Nie było to zadanie proste, gdyż ludzie, którzy mogliby tego dokonać, zapadali przecież w zimowy sen. Dopiero rozwijająca się automatyzacja pozwoliła rejestrować zmiany zachodzące na Planecie w czasie snu jej mieszkańców. Obecnie mierzono już siłę i kierunki zimowych wiatrów, wahania temperatury, nasłonecznienie. Duża część aparatury uległa zniszczeniu. Pierwsze zdjęcia, wykonane przez szczeliny zbrojone pancernym szkłem okazały się nieudane. Uczeni głowili się, dlaczego obraz utrwalony w ocalałych kamerach przedstawia gmatwaninę niezrozumiałych, białych plam. Dopiero w ubiegłym roku, na zjeździe zimologów w Beslik wysunięto hipotezę, że otwory pokryte szkłem zostają w czasie gwałtownych zmian temperatury czymś przysypane, co potem zamarza na ich powierzchni. Uczony, który wysunął tę tezę, Soutańczyk Adavig omal nie został wygwizdany, gdy na dokładkę stwierdził, że według niego szkło pokrywa się legendarnym śniegiem. To był burzliwy zjazd. I oto wreszcie udało się!

-- Płaskowyż Mgieł jest w zimie różowy! -- dziwił się Mask.

-- No właśnie! Ale Mask, dość już, musimy zabrać się do naszej roboty. Otwieramy

eksperymentatory? -- Mądry Pilk miał rozpromienioną twarz.

-- Może i nam -- powiedział w zamyśleniu -- kiedyś się powiedzie?

Mask wrócił myślami do swego eksperymentu. Gdyby Pilk wiedział, ile zależy od przebiegu tego doświadczenia! Lecz szef nie zdawał sobie nawet sprawy, że pod jego boki dokonuje się tak ważnych odkryć. Nie miał podstaw, by cokolwiek podejrzewać. Cóż, w końcu pracowali w Zwyczajnym Instytucie Fizjologii Snu, jakich dziesiątki rozsiane po całym Kontynencie prowadziły żmudne badania pomocnicze. Eksperymenty, główne odbywały się pod nadzorem Rządu i Wojska. Tak, niestety, Wojska. Te właśnie potężne instytuty potrzebowały do pomocy placówek takich, jak ta, kierowana przez Mądrego Pilka.

-- Chodźmy do lodówek -- odezwał się Pilk, ubrany już w roboczy kombinezon.

-- Już się ubieram -- ocknął się Mask. Szef wydobył z kieszeni ogromne okulary, bez których nie mógł obejść się w pracy.

-- Widziałem tu jakieś nowe twarze -- zagadnął biolog, zapinając mankiety.

-- I owszem -- Pilk przecierał szmatką szklę. -- Dostaniesz do pomocy nowego Technika.

-- Oo, tak? -- stwierdził Mask zgaszonym tonem.

Akurat teraz Technik był mu zupełnie niepotrzebny, będzie tylko przeszkadzał, wciskając wszędzie swój wścibiński nos.

-- Może komu innemu byłby Technik potrzebniejszy... -- odezwał się z ociąganiem.

-- Co ci się stało? -- Mądry Pilk popatrzył na niego sponad okularów. -- Przecież od zeszłego roku męczyłeś mnie o pomocnika; więc go masz! Myślałem, że jest ci potrzebny człowiek przy doświadczeniach.

-- No tak -- odparł niespiesznie Mask -- ale miałem na myśli raczej Rozumnego, nie Technika.

-- Nie przesadzaj. Ten Technik nieźle się zna na rzeczy.

-- Ach, pewnie jest z gatunku tych "odkrywców"!

-- Jakich znowu odkrywców? -- stary naukowiec rozszerzył oczy ze zdumienia.

-- Nie słyszał pan? Na moście pewnego razu zauważono Technika. Wykopywał płyty chodnikowe i wrzucał je do wody. Zrobiło się zbiegowisko i ktoś zapytał, co on robi. A on na to wrzeszczy: Ludzie! Eureka! Kwadraty rzucam, a koła powstają! Pilk wybuchnął gromkim śmiechem.

-- Niezły dowcip -- powiedział po chwili, -- Ale może byście wreszcie przestali im dokuczać?

W tym momencie obaj zauważyli w drzwiach żółtą tonsurę. Technik musiał wszystko słyszeć, bo patrzył z taką nienawiścią, że Maska przeszedł dreszcz. Pilk jakby tego nie zauważył.

-- To jest właśnie twój nowy pomocnik -- przedstawił Technika.

-- Rozumny Mask. Twój zwierzchnik -- zwrócił się z kolei do żółtogłowego. -- Chciałeś czegoś? -- zapytał na koniec.

-- Tak. Chciałem zapytać, kiedy wreszcie zaczniemy to otwierać. Pilk pociemniał na twarzy, -- Naucz się na przyszłość, że decyzje podejmujemy tutaj my. Twoje uwagi nikogo nie interesują. W przeciwnym razie rozstaniemy się i to szybko! Jasne?!

-- Tak. -- Mówiąc to Technik nisko opuścił głowę, tak że nie można było dostrzec jego oczu, ale Mask i tak wiedział, co w nich jest. Właściwie spodobała mu się ta buńczuczna forma pytania, z jakim tamten zwrócił się do Mądrego Pilka. Świadczyła o niezłej inteligencji, o jaką Mask nigdy nie posądziłby takiego indywiduum.

-- Chodźmy -- Pilk skierował się ku drzwiom i wyszedł pierwszy. Technik przepuścił Maska przodem. Szli korytarzem wykładanym dźwiękochłonnymi kafelkami, prowadzącym do lewego skrzydła.

-- Jak się nazywasz? -- rzucił Mask do tyłu, nawet nie odwracając głowy.
-- Numer Trzynasty -- odpowiedział tamten niechętnie.
-- Ho, ho! -- rzekł młody biolog z podziwem w głosie.
-- A nie mówiłem? -- odezwał się z przodu Mądry Pilk. -- Sam nie wiem, dlaczego dali nam tak dobrego Technika.

8.

-- Nareszcie jesteś -- usłyszał z ciemności kobiecy głos.

Znał ten głos bardzo dobrze i od razu poczuł przypływ niechęci.

-- Jak tutaj weszłaś?

-- Nie pamiętasz? Dałeś mi przecież klucz! Gwałtownie szukał w pamięci tego zdarzenia.

-- Ach tak --.. przypomniał sobie. -- Dwa lata temu. Bardzo dawno.

-- No właśnie.

-- Ale do tej pory nie korzystałaś przecież z niego?!

-- Ale stwierdziłam, że powinnam skorzystać. Miałam ochotę zobaczyć ten pokój, który tak miło mi się kojarzy.

Maska znów naszły wątpliwości. Fala zwątpienia nie do opanowania.

-- Czy miło, to znaczy miło, Aspaz? -- zapytał.

Usłyszał, jak ona gwałtownie zrywa się z fotela i zaraz potem jasne światło zaalało pokój. Usta miała wykrzywione wściekłością, która nie zdążyła jeszcze przeobrazić się w przymilny uśmiezek. Ten ułamek sekundy chyba zdecydował. Maskowi wydawało się, że właśnie w owym mgnieniu ujrzał jej prawdziwe oblicze i ona też to chyba zauważyła. Zmieszła się.

-- Postanowiłem, że dzisiaj widzimy się ostatni raz -- Mask nie chciał dopuścić do głosu wątpliwości.

-- A nasze dziecko? Wiesz, że jestem w ciąży!

-- Trudno tego nie zauważyć, skoro masz rodzić za miesiąc. Chyba nie to chciałaś mi powiedzieć.

-- Właśnie to -- zacisnęła zęby.

-- Żartujesz! -- rozsierdził się. -- Nie ty pierwsza rodzisz dziecko! Wszystkie prawie kobiety rodzą, a tylko nieliczne, jeden procent, wiesz o tym dobrze -- jeden procent -- łączy się w stałe pary. Czyżbyś zaczęła uważać to za regułę dlatego, że w twojej obecnej sytuacji jest tak wygodniej?!

Cisza, która nastąpiła po tych słowach, niemile świdrowała w uszach. Widział, jak drgają jej wargi, jak mnie trzymany w dłoni papier.

-- Ty!! -- wyrzuciła z siebie nagle. -- Ty idioto!! Akcentowała mocno każdą sylabę.

-- Ty żaloszny idioto!!

Trzasnęła drzwiami. Zgasił światło i w ciemności zwałił się na fotel. Po chwili usłyszał znów na korytarzu drobniutki, charakterystyczny tupot. Drzwi otwarły się gwałtownie, wpuszczając pomarańczowe światło, z korytarza. Rzuciła coś z brzękiem pod jego nogi i wyszła, z furią waląc drzwiami o futrynę. Podniósł ten przedmiot. Klucz. Ten sam, który dał jej dwa lata temu, w momencie zalegalizowania ich stałego związku. Jeszcze z głębi schodów słyszał oddalający się stukot jej kroków. Ten sam, na który kiedyś nie mógł się doczekać.

9.

Trzynastka rzeczywiście był dobrym Technikiem, może nieco za gburowatym, jak na przyzwyczajenia Mask. Poprzedniego dnia, gdy, otwierali eksperymentator, zdawało się biologowi, że Trzynastka jakoś dziwnie popatrzył na jego zestaw doświadczalny. Mask odpędził jednak od siebie myśl, że byle Technik mógłby się w jego badaniach połapać. To nie wchodziło zupełnie w rachubę. Skoro nawet Pilk nie potrafił rozeznaczyć się w tym systemie... Mask doszedł do wniosku, że jest przewrażliwiony. Przez całą noc opracowywał potem wyniki. I tak nie mógłby spać spokojnie, nie dowiedziawszy się, czy eksperyment przebiegł po jego myśli. Temperatura wynosiła 270°K, a w specjalnie skonstruowanym pojemniku znajdowały się pewne nie skomplikowane drobnoustroje. Mask badał wpływ tak niskiej temperatury na swoje bakterie. Wcześniej przeprowadzał już krótkie doświadczenia w dużo niższych temperaturach, 220 lub 215°K, ten eksperyment miał jednak zasadnicze i ostateczne znaczenie ze względu na długość trwania. Mask siedział teraz nad kartką papieru z wynikami, które w pełni potwierdzały jego hipotezę. Wzrost masy bakterii i duże zużycie tlenu niezbitnie świadczyły o skuteczności wstrzykniętej im substancji. Odsunął fotel i przeciągnął się. Krajobraz za oknem nie miał już nic wspólnego z niedawnym widokiem. Przede wszystkim spomiędzy zieleni nie było widać ani cała brunatnej ziemi. Ktoś szedł korytarzem. Mask gwałtownie pochylił się nad papierami. Drzwi otworzyły się i wszedł Trzynastka. Bez najmniejszego zakłopotania zaczął grzebać na półkach, nie odezwaawszy się ani słowem.

-- Mógłbyś chociaż zapukać! -- wrzasnął podenerwowany Mask.

Tamten zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Biolog zawsze pod takim spojrzeniem tracił pewność siebie.

-- Jak wyniki? -- spytał Technik spokojnie.

-- Nie twoja sprawa.

Mask schował teczkę do szuflady. -- Czego tu do cholery szukasz?!

-- Odczynników testowych Albina -- odparł Trzynastka nic zbity z tropu. Mask drgnął.

-- Czyżby? Przecież w ogóle nie używamy testomierzy Albina. Nie są potrzebne w naszych doświadczeniach.

-- Na pewno? -- spytał Technik z nutą powątpiewania. Mask wystraszył się nie na żarty.

-- Kim ty właściwie jesteś, Trzynastka?! -- zapytał, patrząc prosto w szeroką twarz tamtego. -- Technik miał płaski, kluchowaty nos, podbródek w kształcie łopaty, nisko sklepione czoło z krzaczastymi brwiami, spod których groźnie spoglądały ciemne oczy.

-- Czy to nie wszystko jedno? -- odpowiedział powoli. -- Skoro i tak zorientowałem się, że pan tu coś robi na lewo?

Mask zupełnie nie wiedział, jak ma się zachować. Na szczęście właśnie zadzwonił telefon.

-- Słucham, Rozumny Mask! -- rzucił w słuchawkę podenerwowanym tonem.

-- Tu Lort -- usłyszał stłumiony szept. -- Zdecydowałem się.

-- Chwileczkę! -- Maskowi zdawało się, że tamten odłoży słuchawkę, nim zdąży z nim porozmawiać. -- Kiedy?!

-- Postaram się jak najszybciej -- dobiegło poprzez szumy.

-- Ile?

-- Tyle, ile chciałeś.

-- Jak się spotkamy?

-- Zadzwoń jeszcze do ciebie. To, wszystko. W słuchawce szcęknięło. Mask odłożył swoją, drapiąc się po brodzie. Jego oczy spotkały rozbawione spojrzenie Technika. Postanowił, że musi z Trzynastką poważnie porozmawiać.

10.

Sensacja, spowodowana stwierdzeniem, że legendarny śnieg istnieje i że jest czerwony, przycichła już dawno. Także i drzewa przestały wreszcie rosnać. Teraz niebieskie i fioletowe pędy powoli nabierały zielonych odcieni. Jakże bujna potrafiła być równikowa roślinność! A te niezliczone gatunki motyli, łopocące bajecznymi skrzydłami, muchówki, zdobiące półmetrowymi, pasiastymi odwłokami wnętrza ogromnych kwiatów, piękne kolągwy o futrach białych jak muślin lub granatowoczarnych, błyszczących w słońcu niczym metalowe druciki!

Mask przechadzał się po Linii Amarankowej, obserwując kobiety Uświadomił sobie, że powoli rośnie w nim pragnienie. Lubił czuć narastanie własnych potrzeb i pewność, że ich tłumienie przebiega automatycznie, bez udziału jego woli. Był normalnym, zdrowym mężczyzną, czuł jedność z wszystkimi samcami Kontynentu i z wszystkimi samicami, które z dnia na dzień, aż do wielkiego święta Godów będą stawać się coraz bardziej, niezbędne. A potem. Potem jest jeszcze piękniej, byle tylko mieć parę dla siebie na te kilkanaście dni... Za miesiąc. Już za miesiąc początek Godów, początek lata! Mask nie spieszył się nigdzie. Przemierzał Linie równo odmierzonymi krokami, przyglądając się kolorowemu tłumowi i rozgadany w ogródkach grupom. Naprzeciw niego szła Nanna. Z daleka machnął do niej ręką.

-- Bii! -- odmachala, będąc już; blisko.-- Spieszę się! Będę u was w instytucie w najbliższym czasie!

Nie zdążył jej nawet odpowiedzieć, kiedy już go minęła na swych długich, gładkich nogach. Resztę ciała zasłaniał jednoczęściowy kombinezon, oblepiający sylwetkę tak, że gdyby nie jego złotawy kolor, można by pomyśleć, iż jest naga. Na razie jeszcze kobiety nosiły takie stroje, niektóre jednak zdecydowały się już na dłuższe suknie, nawiązujące do godowych toalet przystrojonych piórami, ciężkich, kryjących każdy cal skóry, a zwłaszcza dłonie pod długimi falbanami. Mask pomyślał, że Aspaz już chyba urodziła i lada dzień odbiorą jej dziecko. Nie wiedzieć czemu wydało mu się, że jest to syn. Odeślą go do Domu Stałego Pobytu Wychowawczego, gdzie spędzi dzieciństwo i młodość. Może okaże się godny swego ojca i na uroczystej inicjacji pokryją jego czaszkę czerwoną barwą? A może będzie lepszy niż Mask? W to ostatnie jednak mocno wątpił. Awans do grupy Mądrych następował praktycznie jedynie poprzez zasługi, a błękitnogłowych było już bardzo niewiele, przynajmniej wśród Ultramarczyków.

Strojne w pierzaste liście głowy palm rozwiewały się w ciepłych podmuchach. Gdzieś nad dachami rozległ się odległy pomruk. Nad miasto nadciągała burza. Czuło się ją już" w całym ciele. Mask wstąpił do sklepu. Półki ugięły się pod ciężarem różnych gatunków kaszaków, sałat, liściowników i innych warzyw, owoców i kwiatów końca wiosny. Zapłacił i ponownie wyszedł na ulicę. Niebo przecinał właśnie klucz ptaków. One najwcześniej ze zwierząt Planety rozpoczynały swoje gody. Mask skręcił w parkową aleję, na której spora banda wyrostków popisywała się przed sobą zręcznością.

11.

Mężczyzna miał na imię Indin i mieszkał w Górach Słupiastych wraz z całym stadem. Jego stado wchodziło w skład płomienia ultramarskiego na południowych krańcach dawnego Imperium Ultramaru. W jego stadzie żyły jeszcze cztery kobiety i czterech innych mężczyzn, oraz siedmioro dzieci. Wychowywał je najstarszy wiekiem człowiek o zmęczonym twarzy i pomarszczonych upływem lat dłoniach. Musiał być w bardzo sędziwym wieku, gdyż mimo późnej jesieni skóra wisiała na nim jak na patyku, a pod oczami widniały ciężkie fałdy. Indin najwyraźniej przewodził stadu, musiał się także liczyć w hierarchii plemienia, gdyż jego pierś przyozdabiał czarno-czerwony totem. Wrócił właśnie z dżungli jako pierwszy. Pomyślał, że Stary jest gdzieś w grotcie, a kobiety wyprawiły się po drewno. Szerokie, pokryte już warstwą tłuszczu ramiona Indina pochyliły się nad zagrodą szczurów. Mieli ich dwanaście. W sam raz na dwa zaprzęgi. Sądząc po słońcu, które wychylało się znad szczytu niewielkim, żółtawym dyskiem, jesień miała się ku końcowi.

-- Już wróciłeś? -- dobiegł Indina skrzeczący głos Starego.

Uniósł głowę. Stary wyłonił się właśnie z czarnego otworu grotki.

-- Co tam robiłeś w grotkach? -- zapytał Indin z uśmiechem.

-- Wniosłem ostatnie worki puchu z pokrzyw. Posłania będą wygodne, jak nigdy dotąd.

Stary ostrożnie schodził ze skały rynną wyżłobioną przez deszcze. Ręce drżały mu nieco, a plecy miał już mocno przygięte ku ziemi. Indin czekał, aż zejdzie.

-- Zupełnie nie żałuję -- rzekł Stary zbliżywszy się -- że poszedłem z wami. Chciałbym ci podziękować, Indin.

Uniósł głowę tak wysoko, jak pozwalało na to przygarbienie.

-- Ależ co wy? -- młodzieniec o ciemnoniebieskiej skórze otoczył patriarchę ramieniem.

-- Nie przerywaj mi. Muszę ci podziękować, że pozwoliłeś mi zabrać ze sobą syna. On by się zmarnował, zostając w stadzie Górka pod wpływami swojej matki. Tutaj może się rozwijać i dobrze się czuje z waszymi dziećmi.

-- Nie ma o czym mówić. Twoja mądrość była nam potrzebna bardziej, niż pożywienie i woda. a przecież nie mogliśmy rozdzielić, cię z twoim -- ostatnim dzieckiem, i to w dodatku synem. Bez ciebie nie znaleźlibyśmy tak doskonałego miejsca do zamieszkania. Tutaj nie grożą nam huragany, a podziemne gejzery są cieplejsze, niż w grotkach Górka, Poleją, a nawet Mądrego Galpy.

-- Istotnie -- Stary skinął głową. -- Trudne przejście krętymi korytarzami, a zwłaszcza sześć kamiennych syfonów przed gejzerami sprawia, że wichry nie przedrą się do naszych legowisk. -- Tak, nie znalazłem ani jednego suchego listka poza syfonami, ani patyka. Układ drzew w okolicy mówi mi, że najzacziszniejsze jest zbocze, w którym znajduje się wejście do jaskini.

-- Przemawia przez ciebie mądrość, Indin. Ty już, jesteś Mądrym, choć nie przeszedłeś jeszcze plemiennego sprawdzenia. Czuję, że przyszłej jesieni będę mógł spokojnie odejść na Wysoki Szczyt.

-- Jeszcze wiele mógłbyś mnie nauczyć -- skłonił się młodzieniec.

Trzask łamanych gałęzi przerwał ich rozmowę. Na polanie pojawili się pozostali mężczyźni, a zaraz za nimi kobiety.

-- Zimno mi. Dni już są chłodne -- powiedział Stary do Indina. -- Pójdę i skończę przygotowania w sypialni.

Mężczyźni zrzucili z pleców ładunek kolb i chwilę stali oddychając ciężko. Mimo iż w

puszczy panował tęgi chłód, mieli przepecone kaftany.

-- Na dzisiaj chyba wystarczy -- powiedział pierwszy z nich, o długim, haczykowatym nosie.

-- Na dziś tak -- odparł Indin. -- Ale musimy także przynieść na jutro. Pogoda może się zmienić.

-- Nie przypuszczam -- powiedział tamten, rozglądając się po niebie.

-- Nie musisz przypuszczać -- Indin podniósł głos. -- Masz tylko przynieść jeszcze jeden łądunek cytrang!

-- Nie pójdę! -- Adan z rozmachem usiadł na kamiennym progu. -- Mam dosyć łażenia po drzewach! Jestem głodny!

Indin w pierwszej chwili chciał ruszyć w jego stronę, lecz się powstrzymał. Spojrzał ku wylotowi grotu, skąd Stary przyglądał się całej scenie i poczuł siłę. Słowa, które poprzednio usłyszał od Patriarchy pokrzepiły go tak, że nie musiał już nikomu udowadniać swojej mądrości za pomocą pięści.

-- Jak chcesz -- powiedział do Adana stanowczym tonem. -- Ale jeżeli jutro opadnie mgła, nikt nie wspomże cię swoją porcją. Nikt w naszym stadzie nie może głodować z twego powodu ani zmniejszać swojej racji żywnościowej, dzięki której ma obudzić się na wiosnę silny i zdrowy. Chodźcie! -- rzucił do pozostałych mężczyzn i ruszył w stronę zarośli nie patrząc nawet, czy podążają za nim.

Po krótkim wahaniu dwóch poszło jego śladem. Stary zagłębił się we wnętrzu grotu, a kobiety poczęły sortować kolby i dzielić je na porcje.

-- Rzuć moje na ogień -- odezwał się Adan do najmłodszej i najładniejszej z nich, Olii i uśmiechnął się.

-- Dobrze -- zgodziła się bez entuzjazmu. -- Nie idziesz z nimi?

Adan zerwał się z kamienia, jakby chciał ją uderzyć.

-- Ty też chcesz być mądra? -- wrzasnął.

-- Nie musisz krzyczeć! -- poparła Olię tłusciutka, jasnoskóra kobieta.

-- Nie wtrącaj się, ty mieszańcu! -- wycedził Adan w jej kierunku. Jasnoskóra spuściła wzrok.

-- Ty chyba oszalałeś! -- Olija szeroko otworzyła zdziwione oczy. -- Jak możesz? Gdybym знаła cię lepiej, na pewno nie zostałbyś ojcem mego dziecka tego lata!

-- Ty też się lepiej zamknij! I upiecz moją porcję!

Olija zamilkła. Podniosła osiem kolb z trawy i otaczając ramieniem Jasnoskóra udała się pod kuchenny okap. Następnego ranka gęsta mgła spoczęła na polanie i stado musiało pozostać w grocie. Nowa scena rozgrywała się wewnątrz jaskini. Nad prychającym białymi obłokami gejzerem bulgocącej, bladoniebieskiej wody siedzieli w kucki ludzie i jedli kolby. Na stojaku wisiał kocioł i z niego Olija wyjmowała co chwilę nowe porcje kolb, którymi obdzielała wszystkich. Wśród jedzących nie było Adana. Siedział w swojej niszy i trząsał się jak w febrze. Zaciskał zęby i gryzł palce. Nie miał co jeść. W porze ogromnego apetytu, kiedy wszyscy napychali żołądki, on musiał spalać własny tłuszcz. Dzień miał się już ku końcowi. Nikt nie zwracał uwagi na nieszczęśnika, tylko Olija od czasu do czasu spoglądała w jego stronę.

-- Jeszcze jedno ci powiem -- przerwał milczenie Stary, zwracając się do Indina. -- Syfon skrajny zalej po brzegi wodą z gejzeru, tak samo drugi i trzeci, a czwarty tylko w połowie...

-- Po co to mówicie -- Indin nie pozwolił mu dokończyć. -- Sami dopilnujcie.

-- Chciałbym -- powiedział skrzeczącym głosem Stary. -- Ale nie wiem, czy dam radę. Musisz też pamiętać, że nie należy przyspieszać wyjścia. Dopiero jak odtaje...

-- Tak, wiem -- Indin dokończył za Patriarchę, który mówił powoli. -- Zewnętrzny syfon.

Mądry Stary, przecież sam powiedziałaś, że dopiero następnej jesieni wybierasz się na Wysoki Szczyt. Chyba nie chcesz dopuścić, by Kominy zepchnęły cię na Dno? Byłoby mi bardzo smutno, gdy byś. w czasie snu zsunął się na Dno.

-- Mam nadzieję, że to nie nastąpi, ale widziałem już kilku Mądrych, którym nie udało się otworzyć oczu, mimo iż bardzo tego pragnęli. Każdy powinien się starać, by Wielki Wicher uniósł go do nieba, ale nawet Wiedzący Majo spadł na Dno we śnie, gdy byłem jeszcze dzieckiem. To się może przydarzyć każdemu.

Gdy Olia wyciągnęła na misę kolejną kolbę, Indin wziął ją i skierował się w stronę niszy. Adan leżał skulony w puchu swojego barłogu. Młody wódz trącił go w plecy. Tamten odwrócił się gwałtownie, ukazując boleśnie wykrzywioną twarz.

-- Jedz -- Indin wyciągnął ku niemu rękę z kolbą.

-- Nie mogę tego wziąć! -- upierał się ciemnoskóry Adan, mimo iż jego oczy płonęły pożądaniem.

-- No to nie -- odrzekł Indin, zamierzając powrócić do reszty jedzących.

-- Zaczekaj! -- Adan złapał go za rękę. -- Daj!

-- Proszę o pokarm. Mądry Indinie, tak powinieś to ująć.

Na twarzy Adana odmalowała się wewnętrzna walka, rozterka głęboka i gwałtowna. Wiedział już, że przegrał rozgrywkę o władzę.

-- Proszę o pokarm, Mądry Indinie -- wyrzucił, jakby każde słowo parzyło mu język.

Indin podał mu kolbę i wskazał miejsce w kole. Biesiada potoczyła się dalej w pełnej harmonii.

Po tej scenie na widowni zapłonęły światła i rozległy się oklaski, którymi widzowie nagradzali udaną część spektaklu. Mask wstał ze swego miejsca i przepychał się do wyjścia. Miał trochę czasu i dlatego przyszedł obejrzeć widowisko. Właśnie zakończyła się pierwsza część. Mask lubił raz na jakiś czas spędzić dzień lub dwa w teatrze. Lubiał zwłaszcza spektakle realistyczne, jak ten, który oglądał. Dzisiejsza sztuka miała trwać tylko czternaście godzin, jak zapowiadał afisz, jednak na życzenie publiczności były przewidziane powtórki najbardziej udanych scen. W sumie ten kostiumowy dramat z odległej przeszłości Kontynentu, nadawał się zdaniem Maska raczej na inną porę roku. Dzisiaj miał ochotę oglądać coś bardziej podniecającego. Gody miały się zacząć. Lada dzień i kobiety spuściły zakładki w swych sukniach do samej ziemi. Poza tym dalszy ciąg akcji rysował się Maskowi dość jasno. Indin zostanie najpierw Mądrym, potem Wiedzącym i zapanuje nad całym plemieniem, zademonstruje jeszcze potyczkę z obcoplemienną armią, by zabawić widzów batalistyką, a na koniec, zdziaławszy wiele dobrego, szlachetny wódz wstąpi na falach Wichru do Nieba. Dużo ciekawiej czytało się o tym starym zwyczaju wychodzenia śmierci naprzeciw w naukowych opracowaniach. To prawdopodobnie od niedoszłych nieboszczyków pochodziły legendy o śniegu i kanony wiary, na których opierała się teraz Sekta Śnieżna. Ocalało kilka starodruków z opisami tego tajemniczego zjawiska, śniegu, a jednak żaden nie zasługiwał na pełną wiarygodność. Mask postanowił nie wracać na salę po obiedzie, który chciał zjeść w teatralnej stołowni. Obiad wliczony był w cenę biletu. Po wąskich, krętych, wyłożonych bordowym aksamitem schodach zszedł do sali jadalnej.

12.

Przez moment Maskowi zdawało się, że od Linii Bładobłękitnej słycać strzały. Wyteżył słuch, odrywając się od czytania referatu. Za niskim, osłoniętym żywopłotem murkiem przebiegł jakiś człowiek z żółtą tonsurą na głowie. Potem ulica znów była pusta. Powrócił do lektury, lecz ponowny trzask, tym razem seryjny, oderwał go od papierów na dobre. Czuł, że w Centrum coś się dzieje. Sam nie wiedział, na czym owo przecucie buduje, może był to wpływ Trzynastki. Wczorajsze nerwowe zachowanie Technika, tak do niego niepodobne w zestawieniu z dzisiejszą nieobecnością i tymi hałasami wydało się Maskowi znamienne. Ód dawna podejrzewał, że Trzynastka nie jest takim całkiem zwyczajnym Technikiem. W końcu byle instytut nie dostaje tak wysokich numerów. Musiał mieć na sumieniu coś niejasnego, był jednak na tyle sprytny, że nie zdegradowano go w numeracji.

Za oknem znów padł strzał. Zaraz potem dwóch żółtogłowych przebiegło jezdnię na ukos. Mask nerwowo naciągnął na siebie kaftan i, zgasił światło.

Na rogu Amarantowej i Foy Uan jego wzrok przykuł stojący przy krawężniku bus. Nie miał ani jednej szyby, a szkło zaścielało jezdnię cienkim, skrzącym się dywanem. Początkowo Mask był przekonany, że zdarzył się jakiś wypadek drogowy, kiedy jednak podszedł bliżej, musiał odrzucić taką ewentualność. Boczne ściany pojazdu oblażyły z lakieru, którego zwęglone resztki zachowały się jedynie wokół napisu "Miejskie Linie Busowo-Transportowe MILIBU-TRAN". Pod murem budynku stał na straży przy spalonym wraku Niewrażliwy. Mask nie mógł oprzeć się pokusie zajrzenia do środka zdemolowanego busu. Z foteli pozostały jedynie metalowe szkielety, gdzieś obłożona zastygłym w makabrycznych naciekach plastikiem.

-- O co chodzi? -- spytał nagle Niewrażliwy, podciągając wyżej grube rękawice i odruchowo sięgając do pasa.

-- Co się tu stało?

Ton Maska musiał być wyjątkowo wystraszony gdyż Niewrażliwy nie otwarł się na niego. Jak to oni mieli w zwyczaju, lecz powiedział zmęczonym głosem: -- Daj pan spokój. Nie pański interes. Radzę zamknąć się na cztery spusty w domu.

-- Rozruchy -- raczej stwierdził, niż zapytał Mask.

-- No już -- Niewrażliwy popchnął go lekko. -- Idź pan.

Mask wprost z Amarantowej skręcił w Zieloną. Zaniepokoił się o Wlorę. Nie miał pojęcia, gdzie ona może teraz być. postanowił jednak odnaleźć ją za wszelką cenę; Też wybrali sobie porę -- pomyślał.-- Nie mogli poczekać do jesieni? Gorączkowo rozmyślał nad sposobem porozumienia się z dziewczyną. W końcu doszedł do wniosku, że pójdzie na pocztę i będzie dzwonił we wszystkie miejsca, gdzie mogłaby być. Nawet gdyby miało to trwać do rana. Mijali go nieliczni przechodnie, zafrapowani swoimi myślami. Na ulicy panowała dziwna cisza. Zauważył, że przy Zielonej parkuje bardzo niewiele prywatnych pojazdów. Zaczepił mężczyznę z czarną tonsurą, który właśnie wychodził z palarni.

-- Przepraszam, o Mądry. Gdzie tu jest najbliższa poczta?

-- Pójdiesz prosto, potem trzecia przecznica w prawo. Zaraz za rogiem -- odpowiedział mu tamten, nie zatrzymując się.

Mask odnalazł pocztę bez trudu. Trzy kabiny były na szczęście puste. W jednej z nich znalazł książkę telefoniczną i nerwowo zaczął ją przerzucać. Drżały mu ręce i nie mógł sobie poradzić z kartkami, które brał ciągle po dwie. Wreszcie trafił na właściwą stronicę. Kilka razy nakręcał numer, nim w końcu zrobił to prawidłowo.

-- Sekretariat?! -- wrzasnął, jakby rozmawiał ze stacją podbiegunową.

-- Jaki sekretariat? -- zapytał zdziwiony, miękki kobiecy głos po drugiej stronie.
-- Instytutu Wychowania, przepraszam! -- poprawił się zaraz.
-- Owszem -- powiedział głos o barwie aksamitu. -- Słucham?
-- Ja chciałem rozmawiać z Wlorą.
-- Tak, przy telefonie -- przerwał mu głos. Mask zaniemówił. Czuł, jak jakieś dziwne ciepło rozchodzi mu się w piersiach.
-- Przepraszam. Nie poznałem cię -- wykrztusił wreszcie obawiając się, że cisza trwała zbyt długo. -- To ja.
-- A ja cię poznałam już po pierwszych słowach... -- urwała, jakby w ostatniej chwili, powstrzymała się, by czegoś nie dodać.
-- Dobrze, że jesteś -- głos mu lekko drżał. -- W mieście się coś dzieje. Jakieś, rozruchy.
-- Wiem. To Technicy.
-- Cholerne gnojki! -- wycodził. -- O co im chodzi?! Przecież mają co żreć! Słuchaj, muszę się natychmiast z tobą zobaczyć, nie chcę, żebyś teraz właśnie była daleko ode mnie.
Po drugiej stronie panowała cisza.
-- Wlora?! -- wrzasnął znowu Mask. -- Dobrze. Oczywiście -- odezwała się po chwili. -- Bądź na Dworcu za piętnaście minut.
-- O rany -- otarł dłonią pot, który w jednej chwili zrosił mu czoło.
-- Co się dzieje? -- spytała Wlora.
-- Nic, nic -- wyszeptał. -- Będę czekał pod zegarem.
Usłyszał cmoknięcie i szcęk odkładanej słuchawki. Serce biło mu mocno. Przeraził się, gdy Wlora nagle zamilkła. Teraz musiał odczekać chwilę, aż miękkie nogi zechcą go znowu nieść.

Dworzec przypominał gigantyczną pustelnię. Mask jeszcze w Powychu był na wycieczce w takiej skalnej pustyni. Na pustelnicтво skazywano w dawnych czasach niezbyt wydarzone jednostki z poszczególnych stad. Każde większe plemię miało swoją, Pustelnię. Wycieczka, na której był Mask, prowadziła przez Kanion Miraży w Górach Słupiastych. Była tam ogromna Grota Pustelnicza o rzeźbionych w skale krużgankach, schodach, niszach i wielkich salach stołowych. Dworzec, najnowsza inwestycja miasta z okresu poprzednich wpływów Soutseleddii został zbudowany właśnie w stylu groty. Taka była, moda. Wewnątrz ludzaco przypominał Grotę z Gór Słupiastych. Na zewnątrz wyglądał jak skała, która wyrosła pomiędzy płyt placu na skutek jakiegoś dziwnego wypiętrzenia. Mask nerwowo przemierzał boczny korytarz, w którym wisiał wielki zegar. Ciągłe zerkał to na swój zegarek, to na dworcowy czasomierz śledząc powolny ruch wskazówek. Wlora zaskoczyła go, gdy odwracał się, aby przemaszerować kolejny odcinek.

-- Nareszcie -- szepnął. Miał, ochotę ją uściskać, ale zdał sobie sprawę z niewłaściwości takiego gestu. Mogła to odczytać jako nadpobudliwość, bo do Godów został przecież jeszcze tydzień, a on nie chciał uchodzić w jej oczach za zmanierowanego czy perwersyjnego. Trącił ją tylko lekko w ramię.

-- Bii -- powiedziała cicho.

Wziął ją pod rękę i szybko wyszli z Dworca.

Syreny zaskoczyły ich niedaleko Foy Uan w drodze do domu Wlory. Spalony bus został już usunięty. Pozostała po nim tłusta plama, oleju na jezdni i resztki szkła. Pojedynczy, daleki sygnał syreny połączył się po chwili z innymi i wkrótce ujrzeli nadciągający zza zakrętu sznur ciężkich, szarych pojazdów, pobłyskujących żółtymi światłami. Stanęli w miejscu jak wryci. Nawet nie zauważyli, kiedy z boku otwarły się drzwi i jakaś ręka wciągnęła ich do ciemnego wnętrza lokalu. Byli w palarni. Paliły się w niej jedynie ciemnoczerwone światełka na stolikach.

Przy drzwiach cisnęło się kilka osób. Ktoś pociągnął Wlorę i Maskę za sobą.

-- To mój stolik -- powiedział, sadzając biologa na kanapie w niszy. -- Nie poznajesz mnie?

Maskę przybliżył oczy do twarzy tamtego. Głos wydał mu się jakby znajomy, ale -- nie przypomniał sobie właściciela.

-- Nie widzę nawet koloru twojej tonsury -- powiedział do czarnego cienia naprzeciw siebie.

-- Jestem Mądry Trix i pół godziny temu pokazałem ci, gdzie jest poczta.

Wycie narastało, aż przeszło w ogłuszający huk motorów i wkrótce pierwszy wóz pancerny minął zatłoczony -- lokal, mrugając jaskrawym reflektorem. Za nim jechały następne. Maskę nawet nie liczył. Było ich całe mnóstwo.

-- Prawie rewolucja -- stwierdził Mądry Trix.

-- O co im chodzi? -- nie mógł zrozumieć Maskę. -- Przecież żyją po ludzku, mają co jeść, mają pracę?

-- Czy chciałbyś być Technikiem? -- zapytał niespodziewanie nieznajomy.

Maskę zmieszał się.

-- Nigdy w ten sposób nie myślałem -- odparł z wahaniem.

-- Więc zastanów się i odpowiedz. Skoro, jak twierdzisz, niczego im nie brakuje, to nie widzę powodu, żebyś dalej miał nosić karminową tonsurę.

-- Nie twierdzę, że mają takie same warunki, jak na przykład Rozumni, ale ich pozycja jest przecież wynikiem testów, które wykazują ich słabość. Jakaś hierarchia musi być!

Trix wstał od stolika, najwyraźniej mocno zdenerwowany wywoływaniem Maskę.

-- Powiem ci tylko, że nie jesteś godny, by zwać się Rozumnym. Rozumność to nie tylko umiejętność logicznego wyciągania wniosków na polu wyuczonej dyscypliny, to jest rozumne myślenie w ogóle! Niestety, od dłuższego czasu traktuje się certyfikat właśnie, w ten pierwszy sposób i ty jesteś tego wynikiem. Gdybyś był moim uczniem i powtarzał przeczytane gdzieś kanony, zamiast mieć własne zdanie, to dzisiaj pracowałbyś w jakimś zakładzie jako goniec albo prosty pomocnik i mógłbyś tylko ścierać pot z żółtego czoła i zaciskać zęby.

Nim Maskę zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Mądrego Trixa już nie było. Zrobiło mu się wstyd przed Wlorą i przed samym sobą.

-- Chodźmy stąd -- powiedział szeptem. Jeszcze długo po wyjściu nie odzywali się do siebie. Przemierzali ulice, rozmyślając nad usłyszanymi słowami.

-- Jedziemy do Centrum -- zdecydował Maskę, zatrzymując się nagle. -- Muszę to zobaczyć na własne oczy.

Wlora zgodziła się z nim.

Na podeście, zrobionym z beczki, jakiś wysoki Technik z długimi kosmykami czarnych włosów, sterczącymi z brody, wykrzykiwał do zebranego tłumu.

-- Żądamy równości! -- darł się. -- We wszystkim i dla wszystkich! Nie chodzi o to, żeby każdy z nas mógł bez narażania się na obelgi lub pobicie pokazać się na ulicy z Rozumną dziewczyną, nie mówiąc już o Mądrej, ale przede wszystkim o to, aby nasz społeczny awans nie był sztucznie ograniczany i hamowany wszelkimi sposobami! To my! My jesteśmy większością mieszkańców tej planety, to my pracujemy w pocie czoła! To my możemy obejść się bez Rozumnych, Mądrych, Wiedzących i Wszechwiedzących! Oni nie są w stanie utrzymać się bez nas przy życiu! Bracia!

Gwałtowny szmer przerwał jego tyradę.

-- Bracia! -- mówca przekrzykiwał narastającą wrzawę. -- Ruszamy po sprawiedliwość! Nie ma ceny, której nie zapłacilibyśmy za wolność! Za równość!

Dalsze jego słowa utonęły w ogólnym tumultcie. Tłum zafalował. Posypały się drobne, terkoczące strzały. Mówca runął z podestu na najbliższej zgromadzonych. Od przeciwnego końca wdzierał się na plac oddział Niewrażliwych. Mask pociągnął Wlorę w kierunku wąskiej przecznicy, która mogła wyprowadzić ich z kotła. Większość ludzi, postąpiła podobnie, kryjąc się w zaułkach pobliskich ulic. Tylko niewielka grupka pozostała na placu, rzucając w kierunku szarżującego oddziału zapalone butelki. Szeregi lśniące wysokimi tarczami szły krok za krokiem kryjąc się za osłoną wozów pancernych. Więcej Mask nie zdołał zauważyć, bowiem wciągnięci przez nurt ciał skryli się za łukiem ulicy. Mask starał się kierować pod mury domów w nadziei uwolnienia się z niebezpiecznego uścisku. Nagle z przodu, od czoła rozszalałej fali rozległy się krzyki i zaraz potem biały błysk rozświetlił ściany budynków upiorną, bladą tęczę. W krzyk wplotły się jęki ludzi, oślepionych błyskawicą. Tymczasem zamykający przecznicę oddział rozstrzelał się na dobre. Okna i gzymsy, rynny i dachy, które obserwowali z dołu, świeciły niemal bez przerwy białym, jaskrawym blaskiem. Mask przełaził się nie na żarty. Szarpnął Wlorę. Dopiero gdy odwrócił do niej twarz, zauważył, że coś do niego krzyczy i macha wolną ręką. Wskazywała mu utworzoną przypadkiem lukę. Ruszyli w tamtą stronę i depcząc po obcych ciałach, kotłujących się im pod nogami, dotarli wreszcie do muru. Wpadli w pierwszą bramę, pełną stojących ludzi.

Bitwa na placu miała się już ku końcowi. Po psychotropowej salwie większość walczących legła pokotem. Jedyne niewielka barykada broniła się, wyrzucając lawiny kamieni i ognia, niczym wulkan. Technicy, a nawet kilku mężczyzn o czerwonych tonsurach dwoiło się na niej i troiło; lecz ich chwile były już policzone. Otoczeni ze wszystkich stron walczyli raczej dla zasady, niż o zwycięstwo. Wkrótce i oni ulegli napierającym oddziałom. Zaległa cisza. Poza Niewrażliwymi nie było widać na placu ani na pobliskich ulicach ani jednego poruszającego się człowieka. Po chwili nadjechały karetki, zabierano rannych. Było wśród nich także kilku Niewrażliwych, poparzonych lub poranionych kamieniami. Zbliżała się noc. Mask przeprowadził Wlorę przez podwórko na teren sąsiedniej posesji, skąd przez mur można było wydostać się do przejścia nie strzeżonego przez Oddziały. Wraz z dużą grupą osób wydostali się na sąsiednią ulicę. Gdy dochodzili do rogu, minęła ich długa kolumna błyskających żółtymi lampami pojazdów, ale nikt ich nie zaczepiał. Po prostu było już po wszystkim.

Po chwili znaleźli się na Amarantowej, chcąc jak najszybciej dotrzeć do mieszkania Wlory. Amarantowa przedstawiała opłakany widok. Opustoszałymi chodnikami szli wzdłuż dokładnie ogołoconych witryn, grzęznąc w nieprzyjemnie skrzypiących odłamkach szkła. Tuż przy bramie zabytkowego budynku przegradzała jezdnię barykada skonstruowana z przewróconego busa, połamanych sprzętów i kostek bruku. Jej prawe skrzydło było niemal płaskie, a środek wypalony. Skręcili do bramy nawet nie przystając. Mieli już dość. Mask był wstrząśnięty. Czegoś podobnego jeszcze nie widział. Był zaszokowany nie tylko siłą rozruchów, ale też interwencją Oddziałów Ochrony. Do dzisiaj wydawało mu się, że nordseledyńscy poplecznicy przyniosą ze sobą ideę wolności i zmniejszenia kastowych różnic. Dopiero ten wieczór uzmysłowił mu pomyłkę. Nawet jeżeli w ich małym państewku mieli władzę zwolennicy nordseledyńskich reform, to zawsze jednak pozostawali Ultramarczykami z wyciśniętym raz na zawsze soutańskim piętnem.

Wyciągnął się na miękkiej kanapie Wlory i wbił wzrok w sufit. Dziewczyna położyła mu głowę na ramieniu. Zmieniła płaczącą się po ziemi spódnicę na szlafrok, sięgający do połowy łydki, co Mask odczytał jako dobry dla siebie znak.

13.

Wizja podawała wiadomości: Przez całą noc nie zmrzyli oka. Mask siedział przed ekranem i jadł warzywne kanapki, przygotowane przez dziewczynę. Mimo iż w sporządzenie ich włożyła całe swe umiejętności, Mask z trudem je przeliykał. Oboje zresztą odczuwali "brak apetytu. Przed oczami wciąż mieli schlapane krwią jezdnie, wijących się z bólu, oślepych ludzi. Niejasno zdawali sobie sprawę, że zaszły w nich wielkie zmiany. Do niedawna jeszcze biolog bez końca mógł nabijać się z tej "technicznej zgrai", nienawidził ich lub najwyżej tolerował. Dziś żałował tych ludzi, którzy zmuszeni sytuacją podjęli tak wielki trud, nierówną walkę o poczucie człowieczeństwa. W Masku wzbierała sympatia dla Techników. Sympatia i podziw.

Spiker pogrzebowym głosem odczytywał wiadomości z kraju.

-- Dziś w stolicy -- powiedział -- miały miejsce nieprzyjemne incydenty, spowodowane przez chuliganów z dzielnic technicznych. Rozjuszeni wandal demolowali sklepy i lokale publiczne. Oddziały Ochrony były zmuszone interweniować. Kilka osób zostało rannych. Aresztowano sprawców zająć. Siedemdziesięciu sześciu spośród stu aresztowanych to byli "wyspiarze", Technicy niesumienni i wielokrotnie już degradowani. Warto zaznaczyć, że najwyższym spośród aresztowanych numerem, był Trzysta czterdzieści sześć tysięcy osiemset dziewięćdziesiąty siódmy.

Na tym wiadomość się kończyła. Mask wściekły wyłączył aparat i usiadł, pocierając brodę.

-- Co teraz będzie? -- zapytała niepewnie Wlora.

-- Nie wiem -- odpowiedział.

-- Ale ja wiem -- przerwała mu. -- Musimy o tym zapomnieć. Trzeba zapomnieć.

-- Nie potrafię -- odparł Mask.

-- Słuchaj! -- chwyciła go za ramiona. -- Nie czas teraz na jakieś rozgrywki. Trzeba pomyśleć przede wszystkim o Godach.

-- Masz rację. To prawda. Ale Gody wstrzymają wydarzenia na kilkanaście dni tylko, co będzie potem?

-- Jeszcze zdążymy o tym pomyśleć -- dotknęła jego dłoni. -- Słyszałam, że rozszedłeś się z Aspaz?

-- Skąd wiesz?

-- A więc to prawda. Powiedziała mi Nanna. One były przyjaciółkami. -- Aha.

-- Chciałabym...

-- Ja też -- nie pozwolił jej dokończyć. -- Chciałbym, żebyś towarzyszyła mi w Godach.

Myślę, że wiele nas łączy, zwłaszcza od wczoraj.

-- Już nic -- nie mów -- położyła mu palec na ustach.

14.

Najpierw jechali długo niewielkim, popielatym busem. Po wejściu do wnętrza pojazdu natychmiast zawiązano mu oczy szeroką przepaską. Nie spodziewał się, że tak właśnie będzie wyglądać ta podróż. Szukając od wielu dni kontaktu trafił w końcu do niewielkiego, prywatnego sklepiku. Właściciel krzątający się wśród półek uginających się pod egzotycznymi jarzynami, kompotami i owocami ukłonił się nisko na jego widok.

-- Czym mogę służyć -- zapytał, wpatrując się w niego karminowymi tęczęwkami. Mask zauważył maleńki, ledwie widoczny emblemacik na krawędzi jednej z półek. Serce zabiło mu mocniej.

-- Widzę, że masz pełny asortyment -- rzekł do sprzedawcy. -- Chciałbym kupić rzeżuchę.

-- Żałuję -- ekspedient bezradnie rozłożył ręce. -- Rzeżucha jest jeszcze niedostępna, ale jeżeli przyjdiesz za miesiąc, to chętnie zaspokoję twoje potrzeby. Za południowym kołem zbiory zaczynają się szczególnie późno.

Uśmiechał się do Maski. Oprócz nich w sklepie nie było nikogo. Biolog postanowił wykorzystać ten moment.

-- Widzę tu emblemat Śnieżnych Szczytów -- zaczął w nadziei, że sprzedawca ułatwi mu podjęcie rozmowy, ale tamten milczał. Stał bez ruchu, a uśmiech bez śladu zniknął z jego warg. Chcąc nie chcąc Mask kontynuował, wiedział bowiem; że taka szansa szybko się nie powtórzy.

-- Chciałbym być posiadaczem takiego emblematu.

-- Chcesz go ode mnie kupić?

-- Nie jest to chyba rzecz do kupienia. Jeśli ktoś wierzy, a ty wierzysz, tak? Sprzedawca skinął głową.

-- Więc jeśli ktoś wierzy -- ciągnął Mask -- to nie handluje takimi znaczkami. Widzisz... Ja też wierzę, tylko nie wiem, jak wejść do Bractwa. Chciałbym poznać prawdę. Czuję się zagubiony.

Zapalał się coraz bardziej, śledząc ledwie zauważalne zmiany na twarzy ekspedienta.

-- Dobrze -- odezwał się wreszcie kupiec. -- Bądź w piątek o jedenastej wieczorem na rogu Zielonej i Błękitnej. A teraz już do widzenia.

Bus szarpnął i wszedł w ostry łuk.. Mask czuł pęd wciskający go w fotel. Ktoś trzymał go pod pachę. We wnętrzu pojazdu panowało milczenie. Przez kilka dni Mask widywał się jedynie ze sprzedawcą. Godzinami chodzili po mieście i dyskutowali. Biolog kilka razy złapał się na tym, że wymykają mu się słowa sprzeczne z wyznawanym jakoby światopoglądem, zawsze jednak w porę udawało mu się zażegnać niebezpieczeństwo dekonspiracji. Wszystko zwał na swoją niewiedzę i osamotnienie. Któregoś wieczoru Longin, bo takie było imię kupca, powiedział:

-- Dziś zaprowadzę cię do domu Bractwa. Widzimy się po raz ostatni przed twoim oświeceniem. Przychodź do mnie do sklepu nadal. Jak wiesz, dostaniesz tam wszystko, co może zadowolić żołądek roślinożercy.

Pożegnali się serdecznie. I tym sposobem Mask dostał się wśród ludzi, którzy teraz wieźli go dokądś, nie wiadomo czy do końca przekonani o jego szczyrych intencjach.

Bus zgrzytnął hamulcami i trzasnęły otwierane z przodu drzwiczki. Wyprowadzono go i tylko jakiś męski głos sterował jego krokami, żeby się nie potknął. Wchodzili chyba do jakiegoś pomieszczenia. Usłyszał szcęk metalu, jakby zgrzyt nie naoliwionych, stalowych drzwi. Posadzono go w twardym fotelu, potem drzwi zgrzytnęły znowu i zapadła cisza. Był sam. Nie wiedział, czy może już zdjąć opaskę. W momencie, gdy to pomyślał, rozległ się basowy, metaliczny głos.

-- Możesz zdjąć opaskę. Nie będzie ci już potrzebna.

Odsłonił oczy. Zalał je biały blask i nim wzrok przywykł na tyle, by Mask mógł dojrzeć, gdzie się znajduje, głos rozbrzmiał ponownie:

-- Nie bój się. Nic ci nie grozi, dopóki będziesz mówił prawdę.

Mask stwierdził z przerażeniem, że siedzi w olbrzymiej, białej sali o ścianach udrapowanych płótnem, spływającym od sufitu na stopnie czegoś w rodzaju ołtarza. On sam był odgradzony od tego żelaznymi prętami. Już chciał wstać, by przekonać się, czy może wyjść z tej klatki, lecz natychmiast usłyszał:

-- Nie próbuj wstawać. To daremne. Rzeczywiście czuł, że nie może się podnieść. Coś go trzymało, nogi miał jak sparaliżowane. Fotel; na którym siedział, wyglądał na krzesło elektryczne i ten fakt wprowadził go w jeszcze większe przerażenie. Pomyślał, że tak nie można, że nie wolno mu się bać, bo przecież im właśnie chodzi o taki efekt. Zrobiono to widowisko dla niego, aby wprowadzić nowicjusza w pożądany stan psychiczny.

-- Lubisz śnieg? -- głos dochodził zza ołtarza.

-- Lubię -- odparł, nieco pokrzepiony własnymi myślami.

-- Kłamiesz! -- i poczuł coś w rodzaju lekkiego ukłucia prądem. -- W jakim celu przybywasz do nas?

-- Chcę się dowiedzieć czegoś o śniegu?

-- Czyż nie dość wskazówek przekazał ci twój przewodnik?

-- On operował jedynie dogmatami, a ja...

-- Jak śmiesz! -- ryknął niewidzialny indagator i bolesne uderzenie prądu przeszło ciało Maski. Stracił pewność siebie. Już nie wątpił, że urządzenie, na którym siedzi, nie służy jedynie jako atrapa.

-- Nie nazywaj Świętych Przekazów dogmatami -- kontynuował głos. -- Nie nazywaj Białego Całunu śniegiem! Kiedyś odpoczniesz w objęciach Białego Kontynentu, pod Białym Puchem! Twoja skóra jest biała!

-- Zielona, dokładnie ultrama... -- znów kopniak prądu nie pozwolił Maskowi dokończyć.

-- Twoja skóra jest całkiem biała, jak Biały Puch.

-- Słyszałem, że śnieg... -- poczuł elektryczne igły w całym ciele, ale przemógł ból i dokończył -- jest czerwony! -- wyrzucał z siebie przy wzrastających wibracjach.

-- Mów! -- dobiegło, jak przez mgłę. -- Powtarzaj! Będę słuchał we wszystkim, o każdej porze dnia i nocy!

-- Będę słuchał we wszystkim o każdej porze dnia i nocy.

-- O każdej porze roku!

-- O każdej porze roku.

-- O każdej porze życia!

-- O każdej porze życia.

-- Mistrza Białego Puchu jak siebie samego!

-- Nie!! -- wrzasnął Mask i potężne uderzenie prądu pozbawiło go przytomności.

Zobaczył wielką, białą płaszczyznę. Szli po niej Bracia w spiczastych kapturach, wystawiając do malutkiego, zimowego słońca emblematy Śnieżnych Szczytów przymocowane na długich drzewcach. Zmierzali ku Grocie Pustelniczej, przed którą czekał na nich Mask ze związanymi rękami i nogami. Otoczyli go kołem i zaczęli śpiewać.

Przybądź o Proroku Dziś spadła z nieba Biel

Przybądź o Proroku z nami radość dziel

Czeka Mask na ciebie by wziąć

Przekaz z twych rąk z rąk tego, który w

Niebie przetrwał mroźnej zimy Krąg.

Po ostatnich słowach wszyscy zdjęli kaptury z głów i oczom Maska ukazały się ich niesamowite, upiorne, zupełnie białe twarze. Podchodzili do niego kolejno, szeroko uśmiechnięci, i każdy zarzucał mu na głowę swój kaptur. Mask czuł, jak coraz mniej powietrza dociera do jego płuc, jak biel powoli zamienia się w czern, na tle której zaczynają pojawiać się czerwone kręgi... i ocknął się.

Natychmiast zorientował się, gdzie się znajduje, lecz zaskoczył go brak klatki o żelaznych prętach. Nie było też elektrycznego fotela ani białych całunów, opadających wstęgami spod sufitu. Leżał na środku hali w kałuży cieplej, rdzawej wody. To była opuszczona, odrapana hala fabryczna, do której wnętrza wpadały przez małe okienka wątłe promienie dziennego światła. Usłyszał dobrze znany głos:

-- Nie zostałeś przyjęty do Bractwa. Nie szukaj nas. Za mało w tobie wiary.

Mask wstał i chwiejnie zbliżył się do sterty złomu, zza której, jak mu się zdawało, dochodził głos. Nie było tam nikogo. Tylko niewielki magnepter powtarzający w koło ten sam tekst. Kopnął go z wściekłością, a potem roześmiał się głośno. Echo poniosło jego śmiech przez hale. Mask poznał ten zakład. To była opuszczona fabryka papieru w jego rodzinnej dzielnicy, na przedmieściach Satha Sabbi. Była własnością Nordseledyńskiej Spółki Drzewnej i w niczym nie przypominała Groty Pustelników.

Szedł przez plac fabryczny, z trudem zmuszając do ruchu obolałe mięśnie. Mimo wszystko czuł się oszukany. Sekta Śnieżna, z którą chciał się skontaktować, by zasięgnąć rady co do swego projektu, rozproszyć wątpliwości, zakpiła z niego, nawet nie dopuszczając do rozmowy.

-- Banda głupców -- powiedział na głos, przekraczając pogięty szlaban bramy wjazdowej.

-- Banda głupców! -- wrzasnął w milczące mury. Echo odbiło się od ścian i fabrykę znów zaległa głucha cisza.

15.

Widok Technika, pracującego w laboratorium jakby nigdy nie zaskoczył Maskę trochę. Przywitani się dość chłodno. Tak się przynajmniej Maskowi zdawało, lecz mylił się, jak dowiódł tego dalszy rozwój wypadków. Przedpołudnie przebiegło normalnie. Piłk wpadł na niewielką kontrolę, przeprowadzili parę zwyczajnych doświadczeń, ot, dzień, jakich wiele. Lecz kiedy skończyli pracę, Trzynastka niespodziewanie podszedł do biologa.

-- Przez kilka tygodni naszej współpracy -- powiedział -- zorientowałem się dosyć dokładnie w twoich eksperymentach.

Mask szukał w twarzy tamtego jakichś oznak, które pozwoliłyby mu domyślić się, do czego Trzynastka zmierza. Jedno wiedział na pewno, że Technikowi nie zależy na wtajemniczeniu władz w prowadzone przez biologa doświadczenia.

-- I co? -- zapytał wyczekująco.

-- Przyszedł chyba czas na poważną rozmowę -- Technik uśmiechnął się przyjaźnie, bez złośliwości.

Po raz pierwszy odkąd się spotkali, nawiązała się między nimi delikatna nić sympatii. Jeszcze nawet nie koleżeństwa, trudno było o tym mówić między Technikiem a Rozumnym. Było to jednak coś, co wykraczało poza obojętność.

Mask prawie ze zdumieniem odkrywał swe odczucia.

-- Myślałem już o rozmowie z tobą: -- powiedział. -- Chodźmy razem na obiad.

Zaproponował to tak po prostu, nie zastanawiając się nad tym, że przecież Trzynastka jest Technikiem. W oczach tamtego, przyglądających mu się z uwagą, dostrzegł zaskoczenie.

-- Serio mówisz? -- zapytał Trzynastka z powątpiewaniem. -- Nie boisz się, że ktoś nas zobaczy razem w stołowni?

-- Serio -- odparł Mask, składając dzienniki eksperymentów. -- Ubieraj się.

Jak zwykle poszli do Sabbidzkiego Melonika:

Właśnie rozpoczął się sezon melonów, Jak nazwa wskazywała, specjalności zakładu. Szli ulicą, ścigani licznymi spojrzeciami. Mask, nie przyzwyczajony do takiego zainteresowania swoją osobą, nieco się poszył. Największą sensację wzbudzili jednak w stołowni. Maskowi wydawało się, że za chwilę ktoś ich zaczepi i wybuchnie awantura, gdyż wiele grup Rozumnych, siedzących przy sąsiednich: stolikach, przestało jeść i przyglądało im się z niesmakiem. Początkowo nie odzywali się do siebie, wyjadając słodki miąższ pokrojonych na ćwiartki owoców. Mask pierwszy przerwał milczenie.

-- Chciałbym cię przeprosić... -- nie mógł się przemóc, by spojrzeć Technikowi w oczy, było mu wstyd -- za te głupie dowcipy.

-- Nie musisz mnie za to przeproszać -- odparł Trzynastka i uśmiechnął się. -- W życiu każdego z nas znalazłoby się z tysiąc przykrzejszych sytuacji, niż wysłuchiwanie głupich w końcu dowcipów na swój temat.

-- Gdybyś mógł mi coś o sobie powiedzieć... -- ciągnął Mask. -- Widzisz, od ostatnich wydarzeń, które tak bardzo przeżywałem, nie potrafię już patrzeć na świat tak, jak dawniej. Sens tego, co wcześniej planowałem, mojego eksperymentu, cały obraz przyszłości w ogóle przestał być jasny i klarowny. Szczerze mówiąc, nie umiem się na nic zdecydować. Szukam dopiero drogi, śladów, wskazówek, co robić dalej. Komu najbardziej potrzebny byłby mój wynalazek, komu mógłby pomóc?

-- Rozumiem cię, ale nie oczekuj po mnie wiele. To bardzo trudna sprawa i nie chcę, żebyś był rozczarowany -- odparł Trzynastka.

-- Źle mnie zrozumiałeś -- powiedział Mask.

-- Nie wymagam od ciebie pomocy w rozwiązywaniu moich moralnych problemów. Ja po prostu szukam. Jestem jak nowo narodzone dziecko, które poznaje rzeczywistość zupełnie od początku. Mój system wartości runął. Chcę poznać życie tych, których sprawy do tej pory bynajmniej mnie nie obchodziły.

-- Na przykład Sekty Śnieżnej -- rzekł Trzynastka niespodziewanie.

Mask był niemile zaskoczony. Nie wiedział, co powiedzieć, w końcu zapytał:

-- Śledzisz mnie?

-- Nie. To znaczy... -- zawahał się. -- Nie ja. Ale myślę, że można ci zaufać. Muszę wyjaśnić ci wszystko od początku. Wiesz chyba o tym, że istnieje organizacja skupiająca Techników?

-- No, Związek Zawodowy.

-- Nie to mam na myśli. Mówię o organizacji wywoleńczej, nielegalnej. Walczącej o równe prawa nie tylko zresztą dla Techników, ale dla wszystkich. Ja jestem jej członkiem.

-- Przypuszczałem, że jesteś w coś zamieszany. Trzynastka uśmiechnął się.

-- Niezbyt fortunnie to określiłeś. Ale tak to właśnie wygląda. Ta organizacja interesuje się tobą. Za moją przyczyną, bo przekazałem im informacje o prowadzonych przez ciebie nielegalnie badaniach. Oni mieli zamiar użyć cię do celów politycznych, ale zrezygnowali. To na ich rozkaz byłeś śledzony. Stąd wiem o twoim spotkaniu z Sektą.

-- Twoi koledzy zmienili zdanie na mój temat pewnie po ostatnich wydarzeniach?

-- Tak. Widziano cię na Placu Różowym w czasie demonstracji.

Umilkli. Wyjedli melony do końca i Mask podniósł się od stolika. Jakoś stracił zapal do rozmowy. Niemiała była dla niego myśl, że jakaś tam organizacja miała zamiar go szantażować.

-- Masz do mnie żal -- raczej stwierdził, niż zapytał Trzynastka.

-- Nie Tylko mi przykro, że chcieliście mnie wykorzystać.

-- Przykro ci?! Czy ty oszalałeś? Mieliśmy się zastanawiać? Przecież ty jesteś Rozumny!

-- I co z tego?! Czy to już wszystko usprawiedliwia? Czy Rozumny nie ma prawa do życia? Przecież mówiłeś, że chcecie równości dla wszystkich! Jaka jest u diabła między nami różnica?!

-- Na razie jest, Mask! Wiesz jaka? Choćby ta, że ty masz imię, a ja jestem numerem! Numerem, Mask! Czy wiesz, co to znaczy?! Nie mam nawet prawa do własnego imienia. Ten numer zmienia mi za rok, może za dwa, a może w przyszłym tygodniu! Jak będziesz się wtedy do mnie zwracał, Mask? Trójka? A może Tysiąc pięćset sześćdziesiątka ósemka?

-- Uważacie, że w walce usprawiedliwiony jest szantaż? Jeżeli ktoś nie z wami, to przeciw wam?!

-- Myślisz, że przychodzi nam to łatwo?

-- Z pewnością nie, ale powiedz mi, kiedy przestaniecie postępować w ten sposób? Kiedy przyjdzie ten moment, w którym dojdziecie do wniosku, że Rozumny czy Mądry to także człowiek, a nie wróg?! Zapewne gdybyście doszli do władzy, wymordowałibyście wszystkich Wiedzących, albo co najmniej zdegradowali ich do Techników!

-- Przemawia przez ciebie strach -- przerwał mu Trzynastka. -- Ofiary muszą być zawsze. Teraz tych ofiar jest tyle. Ilu Techników żyje na Kontynencie i gnije w celach na Wyspach Skazanych! Nawet gdybyśmy wymordowali wszystkich Wszechwiedzących i Wiedzących, a Rozumnych zaprzęgli do niewolniczej pracy, to i tak byłoby mniej ofiar, niż teraz. Nie traktuj tylko przypadkiem tego co mówię, jak nasz program!

-- Wiesz, czego się boję? -- Mask nachylił się do Technika. -- Boję się, że nad szlachetnością waszych idei przeważą chęć pospolitej, okrutnej zemsty za te wszystkie lata i cały

ten ruch stanie się tym samym, czym jest obecny system kast. Tylko że to nie was będą ciemnić, ale wy będziecie uciskać mniejszość.

Trzynastka stracił panowanie nad sobą.

-- Nawet gdyby tak było, to będzie mniej cierpiących na tym świecie, a to już jest lepiej!

Mask nawet nie zauważył, kiedy podszedł do nich kierownik, sali Już od długiej chwili prawie wszyscy przerwali jedzenie i przyglądali się dwóm zacietrzewionym dyskutantom, stojącym między stolikami.

-- Czy ten typ napastuje cię, Rozumny? -- spytał kierownik.

Kilka osób wstało od sąsiednich stolików.

-- Nie, skądże! -- zaprzeczył Mask. -- Tylko dyskutujemy.

-- Wydaje mi się jednak, że on za głośno zwraca się do ciebie i nie wymienia przy tym twojego tytułu?

-- Słyszałem -- włączył się do rozmowy jakiś człowiek w fioletowym kaftanie -- jak groził, że tego tu Rozumnego pobije!

-- Co mówisz! -- zachnął się Trzynastka. -- Nic takiego nie powiedziałem!

-- Znowu ubliżył Rozumnemu -- stwierdził kierownik sali. -- Trzeba zawiadomić Oddział Ochrony.

-- Ależ nie! -- Mask za wszelką cenę usiłował zażegnać awanturę. -- Jesteśmy przyjaciółmi!

-- Co? -- zdziwił się kierownik. -- Aha. Już rozumiem, ale przecież tylko o tyle, o ile możesz być przyjacielem swojego psa, więc najwyżej sprawisz sobie nowego, a tego oddamy tam, gdzie nauczy się szacunku dla wyższych kast.

-- Słuchajcie! -- Mask mocno chwycił Trzynastkę za rękę. -- My musimy już iść! Ja nie wnoszę żadnej skargi!

Razem zaczęli przedzierać się przez tłum, który zdążył się wokół nich zgromadzić. Kierownik zagroził im drogę. Mask odepchnął go tak mocno, że tamten upadł pod nogi ludzi, zagradzających wyjście. Teraz razem z Trzynastką zaatakowali otaczającą ich gromadę. Mask rozdzielał ciosy na lewo i prawo, wywołując bolesne grymasy na twarzach zaskoczonych ludzi. Do bójki włączyło się kilku Techników, którzy byli na sali i wywiązała się bitwa, do której włączali się coraz to nowi uczestnicy, nie żałując pięści. Po chwili rozległo się wycie syren, a potem gwizdki; Tłum zaczął się w szybkim tempie przeredzać i gdy Niewrażliwi wpadli do wnętrza stołowni, tylko poprzewracane stoliki i porozrzucane krzesła świadczyły o tym, co działo się tu jeszcze przed minutą. Mask wraz z Trzynastką opuszczali teren Sabbidzkiego Melonika odmierzoną, spokojnym krokiem, nie zaczepiani przez nikogo. Młody biolog był kompletnie przybity. Widywał podobne sceny, ale nigdy jeszcze takie wydarzenie nie spotkało jego samego. Był teraz przekonany, że znalazłoby się co najmniej kilkunastu świadków na to, że Technik groził mu pobiciem, a innym wkoło ubliżał i wywołał awanturę w miejscu publicznym. Skazano by go na kilka lat pobytu na Wyspie i degradację.

16.

Miasto w żółtych promieniach słońca przypominało fajerwerk. Ozdobione kolorowymi wstęgami, girlandami kwiatów pachnących odurzająco zapachem cienistych puszczy wyglądało jak urodzinowy tort. Wszystkie nieporozumienia i konflikty poszły w niepamięć. Na placu i ulicach orkiestry odziane w barwne stroje grały skoczne melodie. Środkiem Unii Centralnej sunął pstrokaty pochód. Na platformach najróżniejszych pojazdów elektrycznych i w ciągniętych przez szczury zaprzęgach upozowane w najdziwniejsze sposoby postacie legendarne i historyczne, tonęły w kwiatkach, rzucanych im przez tłum. Fruwały bukiety liliowców, bżaków i szkarłatników. Pochód trwał od wielu godzin i miał iść jeszcze przez kilka następnych. Wzdłuż ulic otwały swoje podwoje gabinety i zamknięte dotąd bary. Przez całą poprzednią noc trwały gorączkowe dostawy transporterów, wypełnionych butelkami musującego gwertu, który będzie się teraz lał potokami.

Mask i Wlora również brali udział w pochodzie, tworząc wraz z innymi przyjaciółmi świętę legendarnego Króla Lasów. Biolog nie mógł oderwać oczu od Wlory, choć ręce miała zakryte szczelnie aż po same ramiona. Jednakże strój, obcisły kombinezon przylegający ściśle do ciała, mocno podkreślający linię brzucha i smukłe nogi Wlory przykuwał jego uwagę mocniej, niż nagie dłonie niejednej kobiety. Wrzawa głosów przemieszanych z muzyką, wyciem świątecznych trąbek, oklaskami nagradzającymi pojawienie się coraz to nowych postaci pochodu stwarzała radosny nastrój. Ten dzień co roku wyglądał tak samo. Zawsze wtedy ucichały kłótnie, znikwały smutki. Miasto, kraj, cały Kontynent cieszyły się z nastania Godów, i ten nastrój miał potrwać do ich końca, choć może już nie tak szalony, jak przez pierwszych kilka dni. W miarę upływu czasu podniecenie słabło, zaspokojone przechodziło w nasycenie, aż do stanu błęgiego spokoju, którym charakteryzowały się ostatnie godziny. Na niewielkich placówkach odbywały się jednak na razie pokazowe pojedynki. Tam Technicy mogli się dzisiaj zmierzyć w prastarej walce "O Samicę". Wieczorem wszyscy spieszyli do centralnego punktu Wielkich Godów. Na gigantycznym stadionie piłkarskim całą noc trwać miało baletowe widowisko nagich rąk i igrzyska, które miały zakończyć się nad ranem. Wspaniały Turniej, w czasie którego przestawały istnieć kastowe różnice. Raz do roku Technik mógł pokonać Mądrego, Rozumnego Wszewiedzącego lub odwrotnie, a stawką tych walk była jak zwykle wybrana przed walkami najpiękniejsza kobieta Grin Krongu, chluba miasta. Potomstwo tej pary miało być najsilniejsze i przez resztę roku wiadomości na temat życia tych ludzi nie schodziły z łamów prasy. Tutaj raz do roku bezimienny Technik miał szansę stać się Rozumnym, wygrywając wszystkie pojedynki i najpiękniejszą kobietę kraju. Mask nigdy nie brał udziału w tych zawodach, ale wielu Rozumnych startowało w nich co roku, chcąc udowodnić innym, że mają nie tylko rozum, ale i siłę. Mask z Wlora odłączyli się od pochodu na rogu Złotej i Brązowej i wmieszali się w wystrojony tłum. Niewiele kobiet było ubranych dzisiaj tak, jak Wlora. Zwłaszcza starsze patrzyły na nią wręcz z oburzeniem. W większości karnawałowe stroje pań były bufiaste, opadające do ziemi i opinające ciało tak, że ich właścicielki wyglądały jak kopki siana ustawiane w rezerwatach dla dokarmiania zwierząt. Niektóre przykrywały głowy kapelusami, były nawet takie, które zasłaniały twarze siatkowymi woalkami. Ostatnimi czasy pojawiała się jednak coraz więcej kobiet w obcisłych kombinezonach, noszących wysoko smukłe szyje na pięknych owalnych ramionach. Starzy ludzie uważali je za bezwstydną, a czasy, które nadeszły, za rozpustne i przestrzegali bez przerwy, że miłość traci swoją wartość, uczucia stają się płytkie, a podniecenie, miast rosnać, spada. Mask miał inne zdanie na ten temat. Krążył ulicami u boku

Wlory podniecony i podekscytowany, nie wiedząc, na czym oprzeć wzrok. Ona także wypatrywała mężczyzn, zwłaszcza tych odważniejszych, jedynie z wąskimi nakładkami, nasuniętymi na grzbiety dłoni. Złota przez resztę roku była najsmutniejszą ulicą miasta. Wzdłuż niej znajdowały się bowiem gabinety, kina erotyczne, pijalnie gwertu wzmagającego napięcie, i podniecenie. Lokale te otwierano wyłącznie na kilkanaście dni Godów, w czasie których każda instytucja miała służyć ekscytowaniu i rozbudzaniu zmysłów, tak aby efekty Godów były jak najokazalsze, by naród powiększał swą liczebność.

-- Pójdziemy do kina? -- zapytał Mask.

-- Wolalabym teatr -- odparta.

-- Teatr to długa impreza, musielibyśmy poświęcić cały dzień. Do teatru pójdziemy innym razem. Teraz nie mogę się już doczekać naszej pierwszej nocy.

-- A pamiętasz o tym, że mamy bilety na Turniej? -- uśmiechnęła się.

Jakiś młody mężczyzna z nakładkami otarł się o nią elektryzująco. Obejrzała się za nim, Mask pochwylił to spojrzenie, a ona dostrzegła to. Oboje wiedzieli, że nic nie grozi ich związkowi. Ci wszyscy ludzie wokoło nie mieli żadnego znaczenia.

Igrzyska opuścili po balecie. Walki nie zajmowały ich specjalnie. Mask czuł, jak napięcie, narastające przez cały dzień, rozsadza go po prostu. Całe szczęście, że nie dał się namówić Wlorze na gwert.

-- Chodźmy szybciej -- mówił do niej. -- Jesteś tak piękna, że umrę, zanim będziemy na miejscu.

Śmiała się cicho, czując jego podekscytowanie, które pochlebiało jej bardziej, niż jakiegokolwiek inne objawy uwielbienia.

17.

Trzynastka przemierzał ulice bez większego entuzjazmu. Właśnie wyszedł z kina, gdzie wyświetlano słodki romans, przelukrowany ponad wszelką miarę i drażniący apoteozą ładu, porządku i praworządności. Zastanawiał się, czy nie odwiedzić pijalni, ale właściwie po co miałby to robić? Nigdy jeszcze nie był tak samotny w Gody. Na razie bawił się tym. Zastanawiał się patrząc na wszystko, co go otaczało, kiedy zacznie podejrzewać siebie o impotencję. Jednak nie zboczył na gwert i szedł bez celu, mijając szeroko otwarte bary ulicy Złotej z wiszącymi nad drzwiami lampionami. Wewnątrz lokali roiło się od Techników i nędznych dziwek. Nie wahał się użyć tego określenia. Uważał kobiety z gabinetów za dziwki i była to prawda. Miał ich dość. Nie życzył sobie więcej patrzeć na tępą twarz u swego boku i wysłuchiwać prymitywnych zachwyty nad byle kwiatkiem, byle wystawą, byle czym. Jego nastrój był raczej daleki od świątecznego. Od mijanej grupki doleciała go salwa śmiechu. Przystanął na moment w pobliżu, ciekaw, z czego się śmieją.

-- Pewien Rozumny szedł wzdłuż muru na Linii Fioletowej i w pewnej chwili usłyszał zza muru komendę -- mówił to wysoki, szczupły Rozumny, który na pierwszy rzut oka przypominał Trzynastce chudą małpę. Z podobnym młodzieńcem siedzieli w jednej ławce w Powychu. Nie miał pojęcia, co z tamtym się stało. Nie wiedział nawet, jaki dali mu numer i gdzie skierowali do pracy. Mężczyzna kontynuował: -- Zielonym do góry! Zielonym do goryl -- wyrzucał z siebie, śmiesznie skracając ostatnie sylaby, Trzynastka czym prędzej ruszył przed siebie. Znał ten kawał doskonale i nie chciał się denerwować. Skręcił w stronę parku. Park zajmował centrum dzielnicy i stanowił olbrzymią oazę zamieszkaną przez różnego rodzaju zwierzęta. Pelen był ptaków, motyli i ryb w licznych sadzawkach. Kiedyś Trzynastka uwielbiał motyle. Nocne motyle o cudownych rysunkach na skrzydłach, nikomu niepotrzebnych, bo przecież w ciemności niewidocznych. Ćmy zajmowały w Powychu ogromną gablotę i nim jeszcze został Trzynastką wyobrażał sobie, że to będzie kiedyś jego stałe zajęcie, jego praca.

Ciepły wiatr gwał śmiesznie przycięte amaranty i szafirniki. Płatki kwiatów opadały w kałuże. Przez chwilę nie uświadamiał sobie, skąd kałuże, skoro w mieście nie było deszczu, gdy nagle dostał się w jego strefę. Rozpylacz pracował na pełnych obrotach. Trzynastka szybko przebiegł przez teren nawadniania. Znalazł ławkę i usiadłszy obserwował motyla wielkości spodka, który nadlatywał nad latarnię.

-- Samotnik? -- wyrwał go z zapatrzenia kobięcy głos.

Rozejrzał się niepewnie, lecz nie dostrzegł nikogo.

-- A kuku! -- usłyszał za swoimi plecami i w tej samej chwili, roztrącając z szelestem gałęzie szkarłatowca, wyskoczyła z gąszczu młoda kobieta. Odziana była w granatowy kombinezon, a na głowie miała mały, śmieszny czepeczek z zadartymi do góry skrzydełkami.

-- Co może robić samotna kobieta w zaroślach? -- spytał Trzynastka samego siebie.

-- Nic specjalnego -- odparła, chwiejąc się lekko.

-- Lepiej usiądź -- zaproponował. -- Nie mam ochoty na rozmowę, więc posiedź cicho, albo się wynieś.

-- Niewiarygodne -- stwierdziła ze zdumieniem. -- Podobasz mi się, a przecież jeszcze żaden facet, który mi się podobał, nie odmówił mi.

-- Ile wypijaś? -- spytał rzeczowo.

-- Ho! -- przyłożyła sobie dłoń do czoła. -- A ile wypaliłam!

-- Jesteś z siebie dumna -- skonstatował. Posmutniała tak nagle, że zrobiło mu się głupio,

-- Widzisz -- powiedziała cicho, przypatrując się swoim stopom. -- Ja muszę pić. Piję już czwarte Gody. A kiedy bary są zamknięte, to palę.

Chciał ją pocieszyć, ale nie wiedział, jak.

-- Jesteś nieszczęśliwa? -- zapytał ostrożnie.

-- Tak! -- krzyknęła prawie. -- Jestem samotna i dość mam tych wszystkich głupców, którzy mnie otaczają, tych rzeźników, zakładających coraz to nowe bojówki, tych idiotów, którzy kłaniają się w pas innym idiotom! -- urwała i rozplakała się na jego ramieniu. Spokojnie czekał, aż się wypłacze. Stracił ochotę na samotność. Miał wrażenie, że wreszcie znalazł kogoś, kim naprawdę powinien się zaopiekować.

-- Nazywam się Trzynastka -- powiedział. -- Chodź.

Podniósł ją z ławki i poszli przez rozbawione miasto, nie odzywając się do siebie. Zaprowadziła go do swojego mieszkania. Już wtedy zaczął coś podejrzewać. Ulica była za dobra, a dom za luksusowy. Gdy weszli do jej apartamentu, miał już pewność. Zatrzymał ją w przedpokoju.

-- Czy dobrze usłyszałaś, jak mam na imię?

-- Tak -- odparła, patrząc mu w oczy -- Już zza krzaka zauważyłam kolor twojej głowy.

-- Oszalałaś, albo jesteś bardzo znudzona.

-- Nie -- przyłożyła mu palec do ust. -- Nic nie mów. Mam na imię Nanna i potrzebuję tylko ciebie.

18.

Indin znów stał przed grotą. W czasie przerwy minęła zima i wiosna. Właśnie kończyły się Gody. Tę część sztuki grano od trzech dni. Mask przyprował tu Wlorę, a właściwie to ona go przyciągnęła, ponieważ grał jej ulubiony aktor, na którego zawsze lubiła patrzeć. Nie był zazdrosny. Sam często chodził na widowiska dla jakiejś ładnej aktorki, a aktorowi grającemu Indina rzeczywiście nic nie brakowało. Niestety jego partnerka, Jasnoskóra, prezentowała się znacznie gorzej. Widzowie przez lornetki obserwowali, jak w kulminacyjnej scenie splatają się ich dłonie na tle rozwianych pióropuszy palm.

W czasie drugiej przerwy zjedli obiad. Kolejna część spektaklu, jak zwykle rozpoczęta szmerem głosów i szelestem papierków, zapowiadała się interesująco. Od tamtych Godów minął już rok i nadchodziła jesień. Stary już nic żył, a Adan bez reszty podporządkował się młodemu Wodzowi. Rozmowa toczyła się przed grotą.

-- Zauważyłaś -- mówi Indin do Jasnoskórej -- że nasz syn wciąż nie wykazuje należytego apetytu?

-- Tak. Nie tyje prawidłowo. Za rok będzie już przecież całkiem dojrzały! Nie rośnie też tak, jak trzeba. Martwi mnie to.

-- Mnie też. I powiem ci, że martwi mnie dużo bardziej, niż sobie wyobrażasz. Ale nie mówmy o tym. Może nie mam racji.

-- Podejrzewasz?...

-- Nawet nie wymawiaj tego słowa! -- przyłożył jej palec do ust.

Miał na imię Inias i spośród rówieśników wyróżniał się bardzo kościstą budową. Zgromadził na sobie tłuszczu nie więcej, niż każdy przyzwoity człowiek na wiosnę i to zaraz po przebudzeniu. Indin odciągnął go na bok.

-- Synu -- rzekł -- muszę z tobą poważnie porozmawiać. Chodź ze mną.

Szli długą chwilę, rozchylając szuwały, szeleszczące krzewy i wyschnięte na wiór witki, stale pojawiające się na obrotowej scenie. Dotarli do niewielkiej polany. Był już krwisty zachód i nad horyzontem wisiało słońce nie większe, niż księżyc.

-- Zbliź się -- powiedział ojciec do syna. -- Nie jesteś głodny?

-- Nie, ojciec -- odparł Inias, posłusznie robiąc krok do przodu. -- Przecież jedliśmy dzisiaj śniadanie i obiad. Nie wiem, dlaczego każecie wszystkim tak dużo zjadać.

-- Mówiłem ci już kiedyś. Przyjdzie zima i nie będzie co jeść.

-- Można zrobić zapasy.

-- Dla całego stada? A zresztą ten pomysł jest niepoważny. Przecież wszyscy jesteśmy już coraz bardziej senni, wstawamy coraz później, kładziemy się wcześniej, a i w puszczy życie zamiera.

-- Ale ja -- odpowiedział Inias -- wstaję ciągle o tej samej porze.

-- Iniasie, ani jeden człowiek taki, jak ty, nie zdoła przetrwać zimy w grotach. Widzisz przecież, że z trudem zbieramy tyle żywności, by zaspokoić codzienny głód.

-- Jecie za dużo. Jesteście przecież strasznie grubi.

-- Jesteśmy grubi, bo nie będziemy jeść przez pięć miesięcy. Co ty będziesz robił w tym czasie, gdy my będziemy spać? Jak przetrwasz zimę, gdy nadejdą huragany i mrozy?

-- Gdybyście pomogli mi nazbierać pokarmu...

-- Synu, a czy umiesz postąpić tak, aby pokarm ci się nie zepsuł? Wiesz przecież, że cytrągowe kolby i pędy kaszaków na drugi dzień nie nadają się już do jedzenia. Można się nimi zatruć.

-- Tak -- chłopiec spuścił głowę. -- Więc co zrobić?

-- Nie myśl o tym na razie -- rzekł Indin, zerwał liść z pobliskiego krzewu. -- Zjedz to.

-- Co to za roślina? Widzę taką pierwszy raz.

Po sali przeszedł szmer. Wszyscy widzowie wiedzieli już, że Indin podał synowi liść ikantusą, -- Nie pytaj. Jedz -- odparł Wódz. -- To wzmoże twój apetyt. Młodzieniec posłusznie zżuł liść.

-- A teraz chodźmy do matki. -- Indin popchnął chłopca przed sobą.

Ruszyli tą samą drogą, co przedtem. Inias początkowo szedł równym, zgrabnym krokiem. Niebo ciemniało i na jego skraju pojawił się księżyc. Nadciągnęły chmury i wiatr nieprzyjemnie szeleścił szuwarami. W miarę upływu czasu chłopak coraz częściej się potykał, aż w końcu stanął.

-- Gdzie jesteś, ojcze? -- zapytał. -- Nic nie widzę. Strasznie ciemno!

Indin ominął syna. Pod stopą trzasnęła gałązka. Inias gwałtownie obrócił się w tamtą stronę, wyciągając przed siebie ręce. -- To ty? -- krzyknął. -- Przykro mi -- powiedział Indin i we wzmagającym się szumie szarpanych wichrem zarośli wbił nóż w pierś syna. Z ust Iniasa wydobył się jęk, a potem strużka niezbyt dobrze widocznej w fioletowej poświacie krwi. Niektórym widzom wystarczył jednak sam domysł, aby opuścili salę przed czasem. Wlora, co Mask stwierdził z satysfakcją, trzymała się dzielnie, mimo iż w momencie morderstwa zakryła twarz rękami. Sztuka jednak na tym się nie kończyła. Indin odmówił modlitwę nad zwłokami syna i ruszył w dalszą drogę. Na polanę dotarł późną nocą. Wszyscy oprócz Jasnoskórej spali. Kobieta czekała, z niepokojem wpatrując się w zarośla. Gdy pojawił się Indin, rzuciła się w jego kierunku, lecz widząc, że idzie sam, zatrzymała się niezdecydowana. Potem, pojmując sens jego samotnego powrotu, rzuciła się na kolana ze szlochem. Indin podszedł do niej.

-- Wstań! -- rzucił.

Podniosła się posłusznie, nie przestając zawodzić.

-- Wiesz ile miałem już dzieci?! -- spytał, a nie doczekawszy się odpowiedzi, krzyknął: -- Odpowiadaj!

-- Nie wiem -- odparła, z trudem tłumiąc płacz i strach.

-- Sześcioro -- odpowiedział, głuchym szeptem. -- A to było twoje pierwsze dziecko i okazało się aspaniakiem. Wiesz, co się robi z kobietą, która rodzi aspaniaków?!

Jasnoskóra przestała nagle płakać. Zerwała się do ucieczki. Biegła w kierunku puszczy. Indin dopadł ją na skraju lasu i przewrócił w trawę, jednocześnie wyciągając nóż. Krzyk i charkot kobiety odbiły się od stropu sali i opadły pomiędzy zmartwiałych z przerażenia widzów.

Scena pogrążyła się w zupełnych ciemnościach. Na widowni zabłysły światła, ale nikt nie bił braw. Dopiero po długiej chwili widzowie zaczęli zbierać się do wyjścia. Wlora, blada jak Jasnoskóra, którą zabito przed chwilą, patrzyła na wygaszoną scenę niczym zahipnotyzowana.

-- Chodź, moja Jasnoskóra -- powiedział Mask, trącając ją w łokieć.

-- Lepiej nie żartuj w ten sposób. Ciarki mnie przechodzą. Wstała i narzuciła na ramiona kaftanik.

-- Zimno mi się zrobiło -- poskarżyła się.

-- Po takiej scenie każdy może dostać gęsiej skórki -- pocieszył ją Mask.

-- Zostajemy na dalszej części? -- spytała.

-- Jak chcesz. Możemy tu zjeść kolację i obejrzeć epilog, który powinien być bardzo podniecający, jeżeli teatr chce uniknąć skarg.

Wlora zgodziła się. Zeszli do stołowni. Gdy przemierzali hali, Mask dostrzegł Trzynastkę. Stał z jakąś dziewczyną, o ile Mask dobrze zauważył w tym świetle, chyba Rozumną i to dosyć ładną. Nie dostrzegł dokładnie jej twarzy, ale sylwetka wydała mu się znajoma. Technik

pomachał mu ręką. Mask odwzajemnił pozdrowienie. Na spektaklu niestety nie spotkał już Trzynastki, a miał wielką ochotę przyjrzeć się jego dziewczynie. W końcu to była Rozumna. Mask pomyślał jeszcze, że Trzynastka nie zdecydowałby się chyba na mezalians i po chwili przestał zawracać sobie tym głowę, czując u swego boku ciepłe ciało Wlory.

19.

Ostatniej nocy Lort miał bardzo dziwne sny. Zawsze tak było, gdy czekał go nerwowy dzień, a ten nadchodzący zapowiadał się szczególnie niespokojnie. Leżąc jeszcze w łóżku doszedł do wniosku, że lepiej byłoby w ogóle nie wstawać, ale przełamał się. Pomogła mu w tym chorobliwa ambicja, która już nieraz dopingowała go do podejmowania trudnych i ryzykownych decyzji. Dzięki temu od kilku lat bez przerwy piął się w górę. Pijąc sok układał sobie w głowie rozmowę z Mistrzem Białego Puchu i wciąż na nowo rozważał, jakie też korzyści może wynieść na terenie Bractwa z oddanej Maskowi przysługi. Obliczał stopień ryzyka. Myślał także o cenie, jakiej powinien zażądać od biologa za taką ilość ściśle reglamentowanego spanodormu.

Mistrz czekał na niego w otoczeniu całej świty. Przez otwory w kapturze Lort widział tylko oczy starego człowieka i zdawało mu się, że są czerwonego koloru. Oddziały Ochrony od długiego już czasu poszukiwały Mistrza Białego Puchu, tak samo zresztą, jak wszystkich jego poprzedników. Dotychczas nie udało się OOSS znaleźć żadnego z tych ludzi. Poszukiwano ich głównie dlatego, że Mroczny Przekaz głosił, iż każdy Mistrz jest aspaniakiem. Członkowie Bractwa Białego Puchu mieli obowiązek ukrywać wszystkich aspaniaków, gdyż jak mówił Przekaz: "Ten tylko może prawdę wiedzieć i lud ku szczęściu prowadzić, kto Biały Zagon własną żrenicą widział i siłę znalazł, by dotrzeć z wieścią do Braci". Lortowi nie wydawało się to wszystko prawdą. Oddziały jednak poważnie podchodziły do sprawy i bezlitośnie ściagały członków Bractwa.

-- Z czym przychodzisz? -- zapytał Mistrz dźwięcznym głosem.

-- Znasz moją sprawę, Mistrzu. Jestem Lort. Chciałem, byś rozstrzygnął, jak mam postąpić.

-- Zgodnie ze swoim sumieniem.

-- Święty Cel stałby się bardzo bliski dzięki owemu człowiekowi. W moim sumieniu nie ma wątpliwości. Chcę to zrobić.

-- A więc zrób.

-- Chcę tylko wiedzieć, czy mogę liczyć na pomoc.

-- Pomoc Braci jest ich obowiązkiem. Nie powinieneś obawiać się ani przez chwilę. Jeśli twa misja się powiedzie, wszyscy będziemy ci wdzięczni.

Lort skłonił się.

-- Twoja wdzięczność jest moją wdzięcznością.

-- To mądry chłopak -- szepnął Mistrz do ucha stojącego obok Brata. -- Chciałbym go mieć w swojej świcie.

Do Lorta zaś powiedział głośno: -- Idź czynić dobro światu. Niech cię prowadzi Przekaz.

Lort pokłonił się jeszcze raz i wyszedł z pomieszczenia. Na ulicy nadal trwał ożywiony ruch, jak to zwykle w Gody. Lort wiedział, że lepszej okazji, niż w to święto, kiedy zamierały nawet największe zakłady i fabryki, może już nie mieć. Uważał, że mu się to opłaci, choć wiele kosztowało go pozostanie w samotności. W razie czego Wszechwiedzący Paraj obroni go przed zapędami OOSS. Mistrz Białego Puchu zrobi z niego swego doradcę i mianuje Najstarszym Bratem, Mask zapłaci tyle, że Lort do końca życia będzie mógł spać spokojnie, przenieść się do Soutseledii i wystawić sobie wspaniały dom. Tutaj nic nie można było zrealizować. Ultramar musiał pozostać krajem malutkich domków. Nordseledyni, gdy Ultramar dostawał się pod ich wpływy, co większe prywatne gmachy odbierali właścicielom, przeznaczając je na magazyny lub zamykając po prostu na cztery spusty. "Asceza najwyższym ideałem".

Co prawda potem, gdy znów Soutseledia miała przewagę, domy zwracano, lecz przez czas niewłaściwego używania ulegały dewastacji, a życie osoby, która otaczała się takim przepychem Nordseledyni organizowali bardzo dokładnie w taki sposób, aby zasłużyła na Wieczne Szczęście. Najczęściej rok albo dwa musiał spędzić nieszczęsny właściciel domu na Wyspie i bywało, że w czasie takiej kuracji dostawał się na Wysoki Szczyt, a jego dom wystawiano na licytację.

Do instytutu na szczęście nie było daleko, nie musiał korzystać z busu. Częstotliwość kursowania miejskiej komunikacji pozostawiała wiele do życzenia, tak samo zresztą jak trzy, pięć, czy siedem lat temu. Lort minął rozbawioną grupkę Techników wraz z kobietami. Technicy coraz częściej stosowali nowe sposoby spędzania Godów, Ze statystyk wiedział, że spada liczba urodzeń w tej kaście. Nie można było tego jeszcze bezspornie udowodnić, ale wyglądało na to, że celowo powstrzymują się od rozmnażania. Z prasowych informacji wynikało, że w innych państwach sytuacja była chyba podobna. Rząd soutseledyński, który, jak wiadomo, ma fioła na punkcie kontroli jednostek i wszelkimi sposobami stara się ograniczyć liczbę niekontrolowanych posunięć ze strony swych obywateli, przeznaczają na rozwiązanie tego problemu wielkie dotacje. Lort przyspieszył kroku, mijając dwóch Niewrażliwych. Szli równym, wolnym marszem, znudzeni służbą, która pewnie ciągnęła się od wielu godzin. Ich długie, białe rękawice odbijały promienie słońca lakierowanymi nakładkami. Patrzyli gdzieś w dal spod daszków czapek, jakby nie zauważając, co dzieje się wokół. Nigdy nie ulegali emocjom, dlatego też nadana im nazwa przylgnęła do nich tak mocno i szybko.

Lort skręcił w bramę instytutu. Była jak zwykle otwarta. Czujki pilnowały tylko drugiej części gmachu, którą od ulicy oddzielał pierwszy budynek i szeroki trawnik, przecięty pośrodku wysokim murem. Mur ten od zmroku oświetlany był trzema potężnymi reflektorami. Lort długo myślał nad sposobem przebycia tej bariery. Mógł oczywiście całkiem oficjalnie znaleźć się w tamtej części instytutu, pozbawiał się jednak w ten sposób nawet cienia możliwości ewentualnej ucieczki. Wybrał inny sposób, licząc na to, że w czasie Godów czuwacze mają myśli zaprzątnięte czym innym.

Szedł korytarzem, którego ściany powtarzały tępo każdy krok. Na końcu były drzwi do jego gabinetu. Pograżony w ciszy i bezruchu instytut sprawiał dziwne wrażenie. Na trzecim piętrze nie zauważył żadnego otwartego pomieszczenia. Nikt nie przyszedł dziś do pracy. Lort usiadł za biurkiem i patrzył przez okno na mur, który stał mu na drodze. Widać stąd było również przeszkłony kantorek, przylepiony do bocznej ściany i głowę czuwacza, zaczytanego w jakimś powieścidle. Jeszcze parę godzin temu Lort rozważał możliwość przekupstwa, nie potrafił jednak ustalić, który z czuwaczy będzie miał służbę. Musiałby przekupić wszystkich, a wtajemniczenie dziesięciu tępych Techników w swoje plany uważał za zbyt ryzykowne. Większą niż pieniądze pokusą dla nich był awans do kasty Rozumnych, na który mogli liczyć w wypadku donosu. Nie pozostawało mu nic innego, jak akcja w gangsterskim stylu. Wyjął z kieszeni składaną, teleskopową rurkę i nabój. Specjalnie wybrał ciepły, słoneczny dzień. Było parno i duszno, mimo zmroku wisiało nad miastem nagrzane powietrze. Czuwacz uchylił w swym akwarium lufcik i to właśnie przez tę niepozorną szczelinę można było przedrzeć się na teren instytutu, uchodzący za niezdołbyty.

Zrobiło się zupełnie ciemno. Lort wybrał już miejsce, w którym należało przekroczyć mur, zmierzył też czas, w którym dwaj czuwacze, patrolujący dach instytutu stoją tak, że nie widzą trawnika. Z szuflady biurka wyjął linę.

Reflektory omiały mur, kładąc krótki, ostry cień w jego prawym rogu. Skulony człowiek mógłby zostać nie zauważony przez czuwaczy, nawet gdyby patrzyli w to miejsce. Sprawdził, czy ma w kieszeni komplet kluczy i uchylił drzwi. Na zewnątrz wszystko było w

porządku. Załadował nabój. Wycelował w uchylony lufcik kantorka. Odczekał jeszcze dziesięć sekund, aby czuwacze znaleźli się w dalszej części dachu i wystrzelił. Rozległ się krótki syk i pocisk poszybował w wymierzonym kierunku. Nim czuwacz zdążył zorientować się, co się stało, gaz zaczął działać. Głowa strażnika opadła na biurko. Strażnicy na dachu zrobili tymczasem jeden obrót. Lort przymocował linę do drzwi i włączył zegarowy mechanizm silniczka. Otworzył okno i spuścił linę wzdłuż ściany. Rozwinęła się bezszelestnie. Spuścił się w dół i gdy tylko dotknął stopami twardego gruntu, rzucił się w stronę ciemnego trójkąta pod murem. Przyklejony do niego plecami sprawdził wzrokiem, czy silniczek prawidłowo wciągnął linę. To był jeden z newralgicznych punktów planu. Spojrzał na stoper i sprawdził, czy ma w kieszeni nadajnik. Czuwacze znów wykonali jedno okrążenie. Teraz pozostał tylko skok przez mur. Biegąc już przez trawnik po drugiej stronie Wyciągnął z kieszeni klucze. Gdy dopadł drzwi, miał już w palcach właściwy klucz. Z westchnieniem ulgi zamknął za sobą ciężkie skrzydło bramy. Nałożył filcowe nakładki na podeszwy butów i zaświecił latarkę. Bordowa smuga rozcięła ciemność. Posuwał się wymarłym korytarzem jak duch. Wiedział, że bezpiecznie może iść jeszcze przez jakieś sto metrów, do rogu. Tam w małej, okrągłej salce będzie kolejny czuwacz, na którego jedyną radą jest pałka. Rozłożył ją i umocował do przegubu. Zbliżając się do narożnika wyłączył latarkę. Zamarł, przyczajony pod ścianą. Uderzenie było krótkie i skuteczne. Cicho posuwał się ku kantorkowi reglamentowanych środków chemicznych. Przed masywnymi drzwiami przystanął i sprawdził czas. Teraz należało włożyć klucze do trzech czarnych otworów i przekręcić je równocześnie. Nie poradziłby sobie z tym problemem, gdyby nie pewien znajomy elektronik. Płaszczyznę oporu stanowiła magnetyczna przyssawka, którą przyłożył do pancernego obicia drzwi. Odszedł na krok i nadał sygnał. Klucze obróciły się z cichym chrzęstem. Metalowa płaszczyzna odskoczyła o centymetr. Napał na nią, powiększając szczelinę do szerokości człowieka. Ponownie włączył latarkę i w tym momencie zauważył, że nie ma ostatniego, najważniejszego klucza. Skóra mu ścierpła i na czoło wystąpił pot. Przetrzęsnał kieszenie. Nic nie znalazł. Jeszcze raz dokładnie przepatrzył każdy załomek materiału w swym ubraniu, odkładając latarkę na podłogę, lecz nie znalazł. Serce biło mu jak młot parowy. Musiał zgubić klucz po drodze. Przy drzwiach wejściowych, lub w czasie biegu przez trawnik, gdy wyszarpywał pęk z kieszeni. Biegiem minął nieprzytomnego czuwacza i pognał korytarzem. Przy bramie wejściowej spojrział na stoper. Nie wiedział, w którym punkcie dachu są strażnicy. Musiał zaryzykować. Ostrożnie uchylił drzwi. Zauważył klucz od razu. Leżał o kilka kroków od ściany, na betonie, w miejscu gdzie kończył się trawnik, Lort ruszył przed siebie z desperacją człowieka, który nie ma wyboru. Jeżeli czuwacz go zauważy, jeszcze będzie mógł próbować się przebić. Chwycił klucz, jak podróżnik, któremu na pustyni udało się dotrzeć do źródła i gwałtownie rzucił się w tył, gdy, jak mu się zdawało, czuwacz dochodził już do krawędzi dachu. Zamarł z ręką na klamce, przerażony, że tamten mógł go dostrzec. Nic jednak nie nastąpiło. Szybkim krokiem przemierzył już po raz trzeci łukowato sklepiony korytarz i dotarł do magazynu. Pechowym kluczem otworzył metalową szafkę i wyjął dwie torebki ze spanodormem. Każda z nich ważyła pięćset gramów. Schował je do dużej kieszeni na piersi. Starannie zamknął za sobą drzwi kantoru i schował klucze. Minął strażnika, który poruszył się, powoli odzyskując świadomość, Lort zatrzymał się przy nim i czując, że traci panowanie nad sobą, uderzył jeszcze raz. Strażnik przestał się ruszać. Przy zewnętrznej bramie Lort długo nie mógł znaleźć odpowiedniego klucza i trafić nim w otwór. Ze zdenerwowania trzęsły mu się ręce. Stoper pokazywał, że czas się już skończył. Teraz pozostawała już tylko piętnastosekundowa rezerwa. Pięć sekund stracił na oczekiwanie, aż czuwacze znajdą się w odpowiednim punkcie dachu. Potem puścił się pędem i jednym susem przesadził mur, padając w jego cieniu. Silnik właśnie odwijał linę. Lort dopadł jej końca i w tym momencie poczuł, że lina wyslizguje mu się z ręki. Przez ułamek sekundy wahał

się jeszcze, lecz wyjście było teraz jasne i tylko jedno. Rzucił w trawę nadajnik i obiema rękami złapał uciekający koniec liny. Przeskoczył parapet w chwili, gdy strażnicy dochodzili właśnie do krawędzi dachu. Zamknął okno. Kiedy zdejmował linę z haka, ściany pokoju rozświetlił nagły błysk, jakby przez ciemne niebo przebiegła błyskawica. Czekał na huk, lecz nic takiego nie nastąpiło. Odwrócił się i wtedy drugi błysk doleciał go z dachu. Przez chwilę wpatrywał się w tamtą stronę, aż nie dostrzegł czuwaczy przemierzających dach w normalnym tempie. W najwyższym pośpiechu opuścił swój pokój. Wychodził z instytutu w momencie, gdy czuwacz w swoim oszklonym akwariu zaczynał przecierać oczy. Lunał rześisty deszcz. Starszy czuwacz Sto Osiem z zadowoleniem schował aparat głębiej pod nieprzemakalny płaszcz. Już teraz cieszył się na odbitkę, jaką zrobi w domu. Nadał sygnał alarmu.

20.

Mask czekał cierpliwie, aż Wlora się rozbierze: Lubił leżeć w przygaszonym blasku i w półmroku obserwować niewyraźne cienie. Czekał na ten wspaniały moment, gdy rozpali się pełne światło. Na razie widział tylko niewyraźny zarys jej postaci, miękko obramowany przyćmionym blaskiem lampy. Potem poczuł jej ciepło i usłyszał szept: Słodki, cichy szept ukochanej kobiety.

-- Jestem. Weź mnie. Pomnóż.

-- Zdążymy -- uspokajał ją, głaszcząc po włosach i gładkim czole drżącą z podniecenia dłonią, -- Twoje słowa rozpalają mnie -- powiedziała ledwie słyszalnie, wpijając się wargami w zgięcie jego łokcia. Przeszedł go dreszcz. Przytulił ją mocniej. Otarła się o niego tym miękkim, lekko kręconym puszkim, który porastał całe jej ciało, jak kudełki aksamitu sterczące z osnowy. Jej skóra była bardziej puszysta, niż plusz. Uwielbiał ją. Pożądał. Chciał, musiał pomnożyć. Z zamkniętymi oczami poszukał jej dłoni. Przesunął wskazującym palcem po naskórku. Poczuł, że wtuliła się, w niego mocniej. Usłyszał szybki oddech i cichy szept, powtarzający jego imię. Wargami przesunął wzdłuż jej ramienia, w to miejsce, o którym marzy każdy mężczyzna. Wessał się między palce. Tulił i całował jej dłoń na wszystkie możliwe sposoby. Jej druga, wolna ręka splątała się z jego dłonią w namiętnym uścisku. Całował ją nadal, wzmagając dreszcze, wywołując ciche westchnienia Wlory. Końcem języka pieścił wgłębienia, których nie mógł dosięgnąć wargami. Te upragnione dłonie, wiecznie zakryte rękawiczkami, nakładanymi, długimi mankietami, teraz należały całe do niego. Tylko i wyłącznie do niego. Dzisiaj i jutro, i jeszcze przez kilka dni. A może zdecydują się na dłużej?

I w tym momencie, gdy Wlora delikatnie gładząc grzbiet jego drugiej dłoni dawała mu najwyższą rozkosz poczuł, że dłużej nie wytrzyma, że muszą się już zespolić i pomnożyć. Weszli w siebie całkowicie, Z ust obojga wyrwał się cichy jęk. Na sekundę zwarli się w jeden, naprężony do granic możliwości mięśni, łuk. Ich myśli się przemieszały Nie wiedział, co słyszy z własnego mózgu, a co z jej. Wlora! Kochany! Kochana! Mask!! Ten myślowy chaos trwał jeszcze przez moment, aż skończył się nagle i wraz z ciszą ich ciała opadły i rozwarły się. Oboje leżeli zmęczeni i odprężeni, trzymając się za ręce już bez podniecenia. Zaspokojenie było zupełne i wspaniale harmonijne.

-- Słyszałaś mnie? -- zapytał, gładząc ją po mechatym brzuchu.

-- O tak. Jesteś wspaniały. Już dawno nie zdarzyło mi się coś podobnego.

Poczuł się dumny, leżąc u jej boku. Taka harmonia nie zdarzyła się również i jemu.

-- To cudowne -- wyszeptała Wlora. -- Na kilka sekund stajemy się jednością do tego stopnia, że słyszymy nawzajem swoje myśli.

-- Kochana -- zdołał tylko wyszeptać Mask, nim usnął.

Kiedy się obudził, Wlora leżała patrząc w sufit.

-- O czym myślisz? -- zapytał, całując ją w policzek.

-- Już nie śpisz -- popatrzyła na niego z miłością i poczochnała po czubku karminowej głowy.

-- A ty w ogóle nie spałaś?

-- Nie, Jakoś mi się nie chciało.

-- Czy coś jest nie w porządku? -- zaniepokoił się Mask.

-- Nie, kochany, skądże. Myślałam tylko o naszym dziecku. Kim będzie i czy zajdzie wysoko.

-- Przecież i tak nigdy się tego nie dowiemy.

-- Właśnie -- odparła ze smutkiem.
-- Żałujesz?
-- Nie wiem -- uśmiechnęła się. -- Czasem myślę o moich rodzicach. Ty nigdy?
-- Czasem tak -- odpowiedział w zamyśleniu. -- Ale rozchmurz się!
-- Kiedy nie mogę -- uniosła się na łokciu. -- Czy tak musi być? Czy to na pewno najlepiej, że dzieci nie znają swoich rodziców, a rodzice dzieci?
-- Myślę -- odparł powoli Mask -- że to jeden z niezbędnych elementów równowagi systemu, w jakim żyjemy. Czy mogłabyś spokojnie patrzeć, jak twój syn, który mógłby okazać się tępym Technikiem, otrzymuje odległy numer? Tak odległy, że zatrudniono by go przy najgorszej, morderczej i wykańczającej pracy fizycznej?
-- Chyba nie -- odparła z wahaniem. -- Na pewno nie!
-- A przecież tak może się zdarzyć!"
-- Nie wierzę, żebyśmy wydali na świat coś takiego.
-- Nikt z tych, którzy się pomnażają nie wyobraża sobie tego najgorszego, a przecież huty i kopalnie są pełne ludzi.
-- Masz rację -- pokiwała głową z rezygnacją. -- Czy oni muszą się tak męczyć?
-- W przyszłości to się pewnie zmieni. Włoro, ale na razie trzeba to jakoś pchać naprzód.
-- Chciałabym --przerwała mu Włoro z nagłym zapalem. -- Tylko się nie śmieć, przyrzekasz? Chciałabym, żeby nasze dziecko dostało godności Wszechwiedzącego, weszło w skład Rady i miało wszystkiego pod dostatkiem.
-- Widzisz! A gdyby dziecko urodziło się bardzo inteligentne, zostało Wszechwiedzącym i patrzyło, jak jego matka zamęcza się na przykład pracując w fabryce jako Technik? Czy zniosłoby taką świadomość? Wątpię. Dla niej jednej usiłowałoby stworzyć specjalne prawa, ale przecież takich przypadków byłoby więcej i cały system musiałby runąć.
-- Masz rację. To niemożliwe, chociaż byłoby bardzo piękne.
-- Technicy twierdzą, że to się da zrobić.
-- A ty czego pragnąłbyś dla naszego dziecka najbardziej?
-- Żeby dożyło czasów, gdy nie będzie Wszechwiedzących, Techników, ani w ogóle żadnych podziałów i wszyscy będą wolni i równi.
-- Mój ty kochany idealisto -- wyszeptwała całując go.

21.

Czuwacz Sto Osiem bez trudu rozpoznał człowieka, którego przedstawiała fotografia. Zacierał dłonie na myśl o tym, co osiągnie dzięki swej spostrzegawczości. Całą noc nie zmrużył oka. Rzucił się po łóżku jak ryba, aż Sześćset Szóstka zapytała go rano, czy nie jest przypadkiem chory. Zbył ją byle czym, jak to babę i przykazał, żeby nie stawała mu na drodze bo ma pilną sprawę państwowej wagi. Teraz siedział przy stole z nosem utkwionym w zdjęciu, a Sześćset Szóstka gderała, że nie je.

-- Nawet siły nie będziesz miał na te swoje sprawy -- zrzędziła -- że też za takiego fajtlapę się wydałam. Gody w pełni, a ten przy pomnażaniu myśli o jakimś Rozumnym Lorcie. Gdybym cię nie znała...

-- Skąd wiesz o Lorcie? -- podskoczył Sto Osiem. -- Mówiłem przez sen?

-- A jakże. Tylko że nie przez sen, a przy pomnażaniu. -- Mówiła z wyrzutem. -- Słyszałam twoje myśli, niezguło. Sądziłam że usłyszę chociaż "Sześćset Szósteczko moja kochana!", a tu tylko "ale heca". I "Lort". I ciągle ten Lort! Mówię, że gdybyśmy sześć lat już ze sobą nie byli i medali za to od Rady nie fasowali, to bym pomyślała, żeś zboczeniec jakiś, co o facecie myśli, gdy się z kobietą pomnaża.

-- A przestańże kłapać -- przerwał jej zniecierpliwiony.

-- To odłóż to zdjęcie i jedz! Co tam masz na nim takiego?

-- Posłuchaj, kobieto -- powiedział powoli, tak że się na chwilę zamknęła. -- Niech cię to zdjęcie nie obchodzi i ten Lort także! Ani mru mru! Żadnej sąsiadce ani nikomu! Jak dobrze pójdziesz, zrobię z siebie i ciebie... -- zawiesił głos na chwilę. -- Jednym słowem, zrobię z nas Rozumnych i to nie byle jakich, bo bogatych.

Kobieta oniemiała i jej oczy zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe, choć było to prawie niemożliwe z uwagi na fakt, że była to jedna z nielicznych piękności mogących pochwalić się okiem idealnie kolistym.

-- Kpisz -- wyrwało się jej spomiędzy warg, -- Mówię poważnie -- powiedział -- ale gębę na kłódkę, bo jak przez ciebie mi się coś nie uda, to do Błękitnej Szarugi zepchnę z byle mostu! I dość już gadania! -- rzucił i przełknął kęs kaszanego placka, zagłębiając się w marzeniach.

Przez dwie godziny krążył pod domem Lorta, nim tamten zdecydował się wyjść do miasta. Szedł za nim krok w krok, przekonany, że młody Rozumny idzie na spotkanie ze swym mocodawcą Nie wątpił, że w kradzieży tak dużej ilości środka chemicznego specyficznego typu musiała maczać palce większa grupa osób. Jeszcze tego samego wieczoru zrobił się w instytucie niezły raban Przyjechał dyrektor, inwentor, badacze, naczelny czuwacz i kto tylko mógł. Pół komendy OOSS postawiono na nogi. Sto Osiem dotąd nie miał pojęcia, że chodziło o spanodorm. Gdyby to wiedział, złapałby złodzieja na gorącym uczynku. Za pojmanie na takiej kradzieży groziła śmierć, a strażnik natychmiast dostałby awans na Rozumnego. Sto Osiem nie chciał ryzykować, a nuż kradzież okazałaby się błaha i wtedy z awansu nici, a i pieniędzy żadnych. Pomyśleć, że gdyby nie ten króciutki błysk na betonie, taka okazja przeszłaby mu koło nosa.

Skręcili w Ciemnoczerwona i dalej na plac Różowy. Tutaj Lort wszedł do gabinetu. Strażnika zaskoczył taki obrót sprawy. Nie przypuszczał, że Lort wyjdzie z domu dla przyjemności. Z drugiej strony dowiedział się ciekawej rzeczy o tym młodym człowieku. Do dziś nie znalazł sobie pary na czas Godów! Szuka towarzyszyki po gabinetach. Sto Osiem nie mógł zdecydować się na przekroczenie bramy lokalu. Myślał, co by też było, gdyby ktoś znajomy go zobaczył. Wiadomo przecież, że kobietę ma, a tu jeszcze jedną bierze, a to zboczeniec. Nie mógłby się nikomu pokazać na oczy, nie mówiąc już o Sześćset Szóstce!

Tak stojąc i bijąc się z myślami, doczekał wyjścia z gabinetu Maska. Maska Sto Osiem oczywiście nie znał, ale tuż za nim wyszedł z gabinetu Lort w towarzystwie jakiejś poczarwanej kobiety. Czuwacz z przerażeniem zauważył, że kieszeń na piersi Lorta, przedtem sprawiająca wrażenie pełnej, jest spłaszczona i chyba pusta. -- Cholera -- pomyślał -- Przegapiłem go. Ale i tak to, co wiem, wystarczy.

Szedł więc dalej za Lortem i doprowadził go do domu. Odczekawszy kilka minut, by chemik dotarł na górę, ruszył za nim na trzecie piętro i do skrzynki na listy wsunął małą kopertę ze zdjęciem i terminem wieczornego spotkania przy Placu Trzech Barw.

Trójkolorowe strumienie wody zlewały się w tęczową wstęgę. Sto Osiem od długiej chwili przyglądał się temu widowisku. Czekał na Lorta i zżerała go niepewność. Uspokajał się, że nie ma nic do stracenia. Jeżeli Lort nie przyjdzie, uda się do szefa Służby Specjalnej i wyjawi posiadane informacje.

Lort nadszedł jednak. Czuwacz poznał go mimo zmienionego stroju. Chemik odziany był w sweter z przysłaniającym szyję kołnierzem i wysokie buty. Sto Osiem wstał i wzięwszy go pod rękę szepnął:

-- To ze mną miał się pan spotkać. Chodźmy do parku.

Gdy usiedli na ustronnej ławce, przystąpił do rzeczy.

-- Zdjęcie chyba mówi samo za siebie? -- zaczął.

-- Tak -- przerwał mu Lort -- Czego chcesz? Ile?

-- Widzę, że rozmowa będzie rzeczowa. Mnie nie trzeba dużo. Komu potrzebny jest spanodorm?

Lort zrobił gwałtowny gest. Sto Osiem przytrzymał jednak jego dłoń.

-- Spokojnie. Nie chcę wiedzieć, po co, tylko komu.

-- A jeżeli nie powiem?

-- Wtedy udam się do OOSS.

-- Aha, do szefa Służby Specjalnej. A nie będzie ci żal forsy?

-- Za to otrzymam tytuł taki jak twój i przemalują mi czubek łepetyny. Będziemy kumplami! -- zarechotał Sto Osiem i trzasnął Lorta w plecy.

-- No to bądźmy -- odparł spokojnie Lort i wstał.

-- Zaczekaj! -- czuwacz ściągnął go z powrotem na ławkę. -- Chyba nie oszalałeś?!

Chcesz wisieć, jak szcur? W najlepszym wypadku spędzisz resztę życia na Wyspie! Czy to cię nie przeraża?!

-- Znam inne wyjście -- powiedział chłodno Lort. -- A gdyby cię tak teraz wykończyć? Cicho i bez krzyku?

-- Taki numer nie przejdzie! -- roześmiał się Sto Osiem grubo. -- Wiesz, że mam odbitki i po co tak żartujesz? Jeszcze dziś znalazłyby się na właściwym biurku.

-- Więc dobrze. Zaraz ci coś powiem, żebyś niepotrzebnie nie robił sobie apetytu. Twoje milczenie i tak nic nie pomoże. Zdemaskują mnie tak czy tak. Zgubiłem tam nadajnik i ciężko uszkodziłem dwóch czuwaczy. Śledztwo może potrwać długo, ale zakończy się sukcesem.

-- Twój nadajnik znalazłem ja!

-- Chwileczkę, nie przerywaj. Nie mam najmniejszego zamiaru dzielić się z tobą, wszawy Techniczny nawet najdrobniejszą sumką. Rozumiesz?!

Sto Osiem osłupiał. Lort wstał i dodał:

-- Przez jakiś czas możesz się jeszcze wstrzymać z mówieniem mi "ty". Na razie jestem dla ciebie panem, gnido.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. W głębi duszy był wściekły. Brał oczywiście pod uwagę, że zostanie zidentyfikowany, ale gdzieś w głębi kołatała się jednak nadzieja, że może uniknie tego całego młyna, przez który będzie teraz musiał przejść.

Bus zawiózł go kolorowo rozświetlonymi ulicami wprost do luksusowej dzielnicy Braand. Wysiadł przed przeszkloną willą przy Linii Srebrzysto-Białej. Okoliczne posiadłości tonęły już w ciszy i bezruchu. Stanął przed drzwiami, strojnymi w żelazne, kute girlandy i pociągnął za dzwonek.

-- Kto tam? -- odezwało się w domofonie.

-- Czy jest w domu Paraj?

-- Nie przyjmuje nikogo.

-- Mówi Lort.

Cicho szcęknięła zamka. Lort wszedł i zamknął drzwi za sobą. W ciemnym holu zamajaczył cień służącego. Lort wiedział, że czeka go długa, męcząca noc, którą spędzi na trudnej rozmowie z Wszewiedzającym Parajem.

22.

Sto Osiem nie patyczkował się. Tyle razy w życiu wymykały mu się z rąk różne okazje, że wołał nie ryzykować. O świcie stanął przed szefem Służby Specjalnej, kładąc na biurku znaleziony nadajnik Lorta. Szef przez parę chwil medytował nad znaleziskiem, po czym wstał i nacisnął czerwony guzik. Pracownikowi, który się pojawił, wręczył zamknięty w plastikowym pudełku aparat z poleceniem przebadania.

-- Jak się nazywasz? -- zapytał, siadając ponownie.

-- Numer Sto Osiem. Czuwacz Sto Ósemka. Koledzy mówią mi Semka.

-- Słuchaj więc, Sto Osiem. Jeżeli potwierdzi się to, co wczoraj w nocy zauważyłeś na trzecim piętrze pierwszego gmachu instytutu i na podstawie twoich wiadomości schwytamy włamywacza, to czeka cię awans. Wiesz o tym?

-- Tak jest! -- Czuwacz wyprężył się jak struna.

-- Mam nadzieję, że z nowych obowiązków wywiążesz się równie sprawnie, jak ze starych!

-- Tak jest! -- oczy strażnika płonęły jak dwie gwiazdy.

-- Twój awans oficjalnie nastąpiłby w czasie Święta Umysłu. Zostaniesz pasowany na Rozumnego wraz z innymi. Do tego czasu nadal masz pełnić swoje obowiązki.

Zadzwoił telefon Szef podniósł słuchawkę i zmarszczył czoło. Przytaknął gestem głowy i odłożył słuchawkę na widełki.

-- Teraz możesz już iść -- powiedział do czuwacza. -- Na nadajniku są odciski palców. Twój awans jest pewny.

Strażnik wstał i ukłoniwszy się nisko, opuścił pokój. Szef skrobiąc się po niebieskim czubku głowy wykręcił kolejny numer.

-- Inspektor prowadzący sprawę 36 zgłosił się natychmiast do mnie! -- rzucił w mikrofon.

Nie upłynęła nawet minuta, gdy inspektor, czarnogłowy mieszaniec o bardzo jasnej, zielonkawej skórze i wydatnych łukach brwiowych zameldował się w jego gabinecie.

-- Zrelacjonujcie mi sprawę -- szef wskazał na krzesło. -- Jakie postępy w dochodzeniu?

-- No cóż -- młody oficer był nieco zakłopotany. -- Wysłaliśmy ludzi do instytutu, wciąż jeszcze nikt tam nie pracuje z powodu Godów. Oczywiście od momentu włamania cały gmach jest zabezpieczony. Czuwacz w kantorku został uspijony półgodziną dawką gazu, którego skład pozwala przypuszczać, że w całą sprawę był zamieszany chemik pracujący w jakimś laboratorium co najmniej średniej wielkości. Chyba, że składniki gazu pochodzą z kradzieży. Nie mieliśmy jednak do tej pory meldunków o kradzieżach takich substancji, jak snina, spokonol czy spajadryna. Gaz został wstrzelony do akwarium przez lufcik, pusty nabój znaleźliśmy na podłodze. Okno uchylone było mimo zakazu ze względu na parną noc. Nasuwa to również inne przypuszczenia. Napastnik prawdopodobnie znał zwyczaje czuwacza, czy w ogóle innych strażników. Musiał też mieć wyliczony czas, w jakim czuwacze na dachu robią pełne okrążenie. Słowem, musiał to miejsce obserwować.

-- Sugerujesz, że napadu dokonał ktoś z instytutu?

-- Pewność będę miał dopiero po analizie śladów z nadajnika. Kierunek, z jakiego prawdopodobnie został wystrzelony nabój, wskazuje na trzecie piętro pierwszego gmachu. Tam też znaleźliśmy wyrzuconą do pojemnika na śmieci linę z silniczkiem.

-- Kto mógł wejść nie niepokojony na teren instytutu?

-- Nawet do pierwszego gmachu można wejść tylko dając automatowi kupon kontrolny. Albo trzeba być pracownikiem, albo ukraść taką kartę.

-- Sądzę, że ten człowiek jest jednak pracownikiem. Mamy do czynienia z robotą amatora. A jeszcze ten zgubiony nadajnik z odciskami palców. Okropna partanina.

-- Albo bardzo sprytnie zmistyfikowany trop.

-- Jeżeli mistyfikacja, to też bardzo niezręczna. Powiedziałbym toporna. Przecież posiadacza odcisków będziemy mogli znaleźć w krótkim czasie. Także w tym pokoju na trzecim piętrze obcy człowiek musiał pozostawić ślady, nawet jeżeli był tam tylko przedwczoraj. Do mistyfikacji byłoby lepiej zostawić jeden ślad, i to nikły. A gdybym ja to robił, to ukradłbym coś jeszcze oprócz spanodormu. W ten sposób od razu nakierowano nas na właściwy trop.

-- Od wczoraj nasi ludzie przeczesują instytuty pomocnicze, korzystając z przerwy w ich działalności.

Telefon ponownie przerwał rozmowę. Szef. słuchał tym razem z wielką uwagą.

-- Dziękuję! -- zawołał na koniec, wyraźnie ucieszony.

-- Czy masz tutaj -- zwrócił się do oficera odłożywszy słuchawkę -- spis zatrudnionych w instytucie z oznaczeniem ich pokoi?

-- Oczywiście -- odparł inspektor i prawie natychmiast podał szefowi plik kartek.

-- Znajdź mi, gdzie pracuje Rozumny Lort. Oficer przesunął palcem wzdłuż kolumny nazwisk i zatrzymał się przy właściwym. -- Pokój trzysta osiem. Trzecie piętro pierwszego gmachu.

-- Zgadza się. Odciski palców na nadajniku należą do niego.

-- Dostanę nakaz rewizji i aresztowania?

-- Oczywiście...

Szef nie dokończył, bowiem w gabinecie rozległ się kolejny dzwonek.

-- Nie dadzą mi żyć! -- krzyknął i rzucił w słuchawkę -- Halo! -- Tu dowódca Komendy Wiedzący Doorn.

-- Jestem do dyspozycji -- ton szefa złagodniał.

-- Wy prowadzicie sprawę 36?

-- Tak jest.

-- Więc od dzisiaj odbieramy ją wam. Przechodzi w gestię Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. -- A więc wywiad...

-- Tak, właśnie tak. Zrozumieście?

-- Tak jest!

-- Za piętnaście minut oczekuję raportu o dotychczasowym rozwoju śledztwa. I ani minuty później, bo muszę te papiery zabrać na umówione spotkanie z Prezydentem.

-- Według rozkazu -- wyrzucił z siebie szef jednym tchem.

Odłożył słuchawkę i opadł na fotel, rozluźniając kołnierzyk.

-- To był dowódca Komendy -- powiedział do oficera. -- Nie dostaniesz nakazu aresztowania, bo sprawę przekazaliśmy MBP.

Oficer siedział nieporuszony.

-- No co się tak gapisz jak sroka w gnat? Twoja rola skończona! Za dziesięć minut mam tu mieć pełny raport. I już zabieraj się do nowej roboty!

Szef był wściekły. Długo nie zdarzy mu się taka okazja do awansu.

23.

W marmurowej sali pałacu prezydenckiego zapadła cisza. Wszechwiedzący Paraj strzepywał z welwetowej togi niewidzialne pyłki, dowódca Komendy stukał napiętymi palcami w wyglansowaną cholewkę, a prezydent Wszechwiedzący Maksymilius kręcił młynka palcami splecionych na brzuchu rąk. Milczenie przerwał Doorn.

-- Zbyt duże ryzyko. Tak mi się zdaje. Może dałoby się jakoś inaczej. Tego Maska trzeba przydusić. Wybić mu z głowy ten wzór wprost na blaty naszych biurów! Wytrzepać z niego, wyrzucić na lewą stronę, od podszewki dogrzebać się prawdy! -- zapalał się coraz bardziej dowódca.

-- Czy on naprawdę jest głupi? -- przerwał Paraj, kierując swe pytanie do prezydenta. -- Czy też lubi po prostu bez jednej przerwy żartować? To nie jest sytuacja, w której takie żarty bawią.

Ostatnie zdanie powiedział wprost do Doorna. Doorn zamilkł i dalej walił palcami w lewy sztyblet.

-- Nie wiem, nie wiem, nie wiem... -- mamrotał prezydent.

-- Z tego co słyszałem, ten Mask to twardy facet. Nie wiem, co postanowi, ale wydaje mi się, że Lort będzie potrzebował ochrony. Poza tym tego środka jeszcze nie ma. Powinniśmy chyba poczekać, aż on go zsyntetyzuje i wtedy zgarnąć go wraz z owocami jego pracy.

-- Paraj ma chyba rację -- prezydent przestał kręcić młynka i wstał z fotela. Zaczął krążyć posuwistym krokiem po lśniącej posadzce, ciągnąc za sobą szafirowy tren. Skrobał się w zamyśleniu po białej czaszce i przystawał co chwilę.

-- To wielki wynalazek -- stwierdził po dłuższym milczeniu. -- Jeżeli prawdziwy.

-- Lort ręczy za to.

-- A skąd on może wiedzieć?

-- Ja też raczej jestem o tym przekonany -- powiedział Paraj.

-- Phi -- odezwał się Doorn. -- To ciekawe. Paraj nie spojrzał nawet w jego stronę. Nie znosił dowódcy.

-- Chyba nikt -- mówił -- nie zdecydowałby się na tak szaleńczy krok, gdyby nie brakowało do odkrycia dosłownie milimetrów. Może on już ma ten środek, tylko że do doświadczeń zużył cały zapas swojego spanodormu?

-- Właśnie, właśnie -- włączył się znowu Doorn, ściągając brwi. -- Nie podoba mi się szalony krok twego syna. Przecież mógł tę akcję uzgodnić z nami. Byłoby o wiele prościej.

-- Zastanawialibyśmy się pewnie przez rok -- napuszył się Paraj.

-- A tak. Szum w mieście, rozruchy dopiero co stłumione, czuwacz mało nie zabity, drugi oszołomiony, trzeci awansowany. Anarchia!

-- Ale robota została zrobiona!

-- Spokój, panowie -- włączył się zniecierpliwiony prezydent i zasiadł ponownie w fotelu. -- Słuchajcie!

Spojrzeni na niego w skupieniu.

-- Lort postąpił niezbyt roztropnie, ale możemy to puścić w niepamięć. Jeżeli chodzi o tego Maska, to nie możemy zostawić jego sprawy własnemu losowi. Zbyt wielka jest waga wynalazku. A nuż strzeli mu do głowy podać tę wieść do wiadomości publicznej i wyśle wzory chemiczne do Sout i Nordseledii? Ten środek ma dla nas wartość ogromną, ale tylko tak długo, jak długo nie wiedzą o nim oba mocarstwa. Inaczej wyrwą go nam i stłamszą nas jeszcze

dokładniej, panowie. Trzeba Rozumnego Maska nakłonić delikatnie, obietnicami, apelami do jego sumienia narodowego, dopiero w ostateczności środkami, które proponuje Doorn. Musimy mieć ten wzór! Opracujcie szczegółowy plan. Wiem, że się na wzajem, nie lubicie, a że w tym wypadku wasze zdania różnią się diametralnie, sądzę, że plan będzie doskonale wyważony. Dziękuję wam, panowie.

Podnieśli się z foteli i stukając obcasami o błyszczące kafelki posadzki udali się na podjazd, gdzie czekały na nich rządowe busy.

24.

Malenga opadła ciężko, wzbijając tuman kurzu. Mask zatrzymał się przy klatce tych zwierząt, bo bardzo je lubił. Długie, włokące się po ziemi futro, cętkowane w różnych odcieniach brązu i malutkie różki wychylające się z rozkudłanych czupryn sprawiały, że malengi wyglądały szczególnie pocziwie. Odchodząc spojrzął w słońce, złocące pręty okolicznych klatek. Ruszył w dalszy obchód po ogrodzie. Był to jego pierwszy samotny spacer od początku Godów. Oboje z Wlora postanowili nieco odetchnąć. Mask w takich momentach lubił obserwować przyrodę. W końcu był biologiem. Wzdłuż alejki, na którą dostał się schodami pomiędzy szpalerem brzoźników, rosły jego ulubione gazowce. Jeszcze w Powychu hodował w swym pokoju kilka ich gatunków. Teraz właśnie dojrzewały gazowcowe owocniki. Pękate, różno kształtne i różnobarwne kuliste owoce zrywały się z cienkich, nitkowatych łodyg, by wzlecieć pod niebo, gdzie rozsądzone wewnętrznym ciśnieniem pękały, wysypując miliardy nasion prosto w chmury, w wiatr, w ciepłą, gościnną atmosferę Planety. Mask je uwielbiał. Stał patrząc, jak baloniki pękają z trzaskiem, sypiąc białym pyłem na głowy zwiedzających.

25.

Upał dochodził do szczytu. Trzy najcieplejsze dni roku przypadały, na szczęście, na sam koniec Godów, inaczej musiałaby to być następna przerwa w pracy. Tak było na przykład w Nordseledii. Na dalekiej północy najcieplejsze dni wypadały już po zakończeniu święta Godów. Upały nie były tam co prawda tak dokuczliwe, ale także ciężkie do zniesienia. Była to pora corocznych zbiorów energii. Wiele mieszkalnych budynków posiadało energochłonne pasy wzdłuż dachów i ścian i własne akumulatory w piwnicach, jednak główne urządzenia do wychwytywania i magazynowania energii okalały miasto grubym pierścieniem sterczących w niebo obelisków. Wjeżdżając do Grin Krong trzeba było najpierw przebić się przez ten pas kominowatych tulei, które elektrochwytnym lasem wyrastały tuż przed miastem i połączone podziemnymi przewodami transportowały wyłapaną energię wprost do centrali mocy.

Pilk leżał na tarasie i wydawało mu się, że za chwilę wyzionie ducha. Nawet nie dokuczało mu pragnienie pomnożenia, choć okres Godów spędził prawie samotnie, raz czy najwyżej dwa razy korzystając z usług panienek z gabinetów. Teraz, gdy erotyczne emocje mocno już przygasły, na pierwszy plan wybił się upał. Żar gorejący w każdym przedmiocie, w powietrzu, w ciepłej wodzie nie przynoszącej ochłody, w szeleszczących sucho liściach drzew trzykrotkowych, zaścielających trawniki wzdłuż ulicy grubą warstwą. Pilk wręcz widział, jak wilgoć umyka wszystkimi porami roślin w niebo, w oczach schły i więdły kwiaty, opadały owoce, żółkła soczysta trawa. Nadeszło przesilenie. Tony ulatującej w niebo wilgoci skraplały się i opadały kilkuminutowymi ulewami, których siłę porównać można było jedynie z kaskadami wodospadów. Po takim deszczu przez godzinę żyło się w miarę normalnie, potem znów nadchodziła parna noc, w czasie której powietrze parzyło skórę, a płuca z trudem łąpały resztki tlenu, który chyba przypadkiem docierał skądś z górnych warstw atmosfery.

Pilk wstał i natychmiast zrobiło mu się ciemno przed oczami. Musiał nisko opuścić głowę, by napłynęła do niej krew. Niestety nie natężał do kasty, którą stać było na opłacanie mieszkań systemem chłodzących rur. Za to od kilku miesięcy mieszkał w budynku z własnym wychwytywaczem energii, co go niezmiernie cieszyło, nie musiał bowiem przejmować się ogólnymi limitami zużycia kilowatów. Oparł się o balustradę i zaraz z sykiem cofnął poparzone dłonie. Słońce prażyło nadal, a chmury, skłębione fioletowymi kołtunami formowały się dopiero na zachodnim widnokręgu, zwisając nisko nad różowawymi grzybami elektrochwyteków. Naładowane powietrze wpływało szczególnie źle na jego samopoczucie. Chwilami żałował, że nie kupił jonizatora, który pomógłby mu przetrwać okres kanikuły w lepszej kondycji. Właśnie zamierzał z powrotem usiąść na rozgrzanym fotelu, gdy od drzwi dobiegł go basowy pomruk dzwonka. Przez moment wahał się, czy otworzyć, lecz w końcu poczłapał do drzwi, gnany nie tyle ciekawością, co głęboko tkwiącym w nim szacunkiem dla przyjętych norm i form. Otworzył i tuż przed swoim nosem, na wysokości nieco krótkowzrocznych oczu, ujrzał plakietkę inspektora Oddziałów Ochrony. Za plakietką krył się korpulentny młodzieniec z czerwoną głową i wydatnymi brwiami, mocno porośnięty szorstkim, jak się Plikowi wydawało, włosom.

-- To jakaś pomyłka -- wymamrotał Pilk owijając się rozmamłanym szlafrokiem. -- Nic nie zrobiłem.

-- Mądry Pilk? -- młodzieniec uśmiechnął się szeroko.

-- Tak.

-- Bii! Potrzebujemy pańskiej pomocy -- uśmiech nie schodził z twarzy inspektora.

-- Mojej? -- Pilk szeroko otworzył oczy. Nie był pewien czy odbiera ton przybysza we właściwy sposób.

-- Proszę -- wskazał niezdecydowanym gestem wewnątrz mieszkania.

Inspektor dopiero teraz schował trzymaną w wyciągniętej dłoni plakietkę. Przeszli do salonu Officer wręczył Plikowi kopertę.

-- Proszę. Niech pan przeczyta -- powiedział i nie czekając na zaproszenie usiadł na kanapie.

Pilk rozdarł papier i wyciągnął złożoną we czworo kartkę. Nałożył okulary i rzucił okiem na podpis figurujący u dołu strony, po czym niemal bezwładnie opadł na kanapę obok inspektora. List był podpisany przez Wszechwiedzącego Parają. Szybko przebiegał oczami linijki tekstu i czuł, że z każdym przeczytanym słowem coś podchodzi mu do gardła. Przy ostatnim zdaniu nie wytrzymał i zerwał się gwałtownie, wymachując rękami.

-- Niemożliwe! -- krzyczał. -- Niewiarygodne! Mask w moim laboratorium i bez mojej wiedzy wynalazł środek przeciwsenny! To żart!

-- Nie żart -- przerwał mu opanowanym głosem inspektor.

Pilk jakby dopiero teraz dostrzegł jego istnienie.

-- Przecież tego środka poszukiwały całe sztaby naukowców! -- krzyczał do oficera -- To było marzenie każdego z nas, znaleźć ten mityczny aspanol! Mocarstwa wydały na ten cel miliardy! Nasz rząd właściwie nie odgrywał w tym żadnej roli, a co dopiero pomocnicze laboratorium! To ogromny triumf!

-- Właśnie -- potwierdził inspektor. -- Triumf jest naprawdę wielki, tylko trzeba nakłonić tego człowieka, aby ujawnił wzór związku naszemu rządowi. To będzie pańska rola.

-- Jak to? -- zdziwił się Pilk. -- Zapytajcie go sami!

-- Obawiam się, że to nic nie da. Do produkcji tego środka Rozumny Mask potrzebował spanodormu, a sposób, w jaki go zdobył, nie pozostawia wątpliwości co do tego, że nie chciał dzielić się z nami swoim odkryciem. Dlatego pan musi wyciągnąć od niego informację co do metod i składników, on przecież dokonał tego na pańskich oczach.

-- Nic nie wiedziałem o jego eksperymentach! Musiał przeprowadzać je etapami, w ukryciu! Przejrzę jego dzienniki, może z tego da się wysnuć jakieś wnioski, a jeżeli nie, to on także i mnie nie zechce zdradzić tajemnicy.

-- Niech się pan postara. Trzeba go przycisnąć, postraszyć. Może nawet zaszantażować?

-- O nie. Tylko nie szantaż. Do tego się nie posunę.

-- Nawet jeśli uratuje to ojczyznę?

-- Nawet. Cóż to za ojczyzna, która posiłkuje się szantażem w stosunku do swoich obywateli? -- Pilk pogardliwie wyduł wargi.

-- Nawet za cenę awansu...? -- zawiesił głos inspektor.

Pilk przyjrzał mu się uważnie.

-- Awans i tak mi się należy. Muszę go dostać -- powiedział po chwili.

-- Tak, ale niekoniecznie w tym roku. Może dopiero na dwa lata przed śmiercią? Mądrych jest wielu, Wiedzących znacznie mniej.

-- To ohydne -- Pilk opadł na fotel.

-- Niech się pan bardzo stara -- inspektor ocierał mokrą chustką pokryte potem czoło. -- Tytuł Wiedzącego to nie tylko system chłodzący, to także prywatny bus, instytut rządowy lub wojskowy...

-- Dosyć, dosyć! -- w głosie Mądrego Pilka brzmiała rozterka.

-- W każdym razie niech pan to przemyśli. Szczególnie w taki upał.

Po chwili Pilk usłyszał ciche trzaśnięcie drzwi i mógłby zwątpić w prawdziwość całego zajścia, zwłaszcza z powodu obezwładniającego upału, gdyby nie list, który wciąż trzymał w zaciśniętej do białości dłoni. Podniósł się ciężko i powędrował na balkon. Słońce zaszło za

ciemno-pomarańczowe i brązowo-srebrzyste chmury. Ciężki płaszcz nasunął się nad miasto parzącą wilgocią, która strużkami poczyniała ściekać po zacienionych płaszczyznach murów. Za moment przy wtórze grzmotów setki długich, rdzawo-żółtych drucików spełzną ku ziemi przepojone elektryczną energią, przesłonią horyzont czerwoną kurtyną mikrobłyskawic w gigantycznych wyładowaniach, które naładują większość akumulatorów w mieście. Po dwóch bardzo mocnych przyjdzie trzecie wyładowanie, dużo słabsze, po którym zapadnie cisza, zmacona szumem pierwszych grubych kropli deszczu. Ludzie poznikają w czeluściach bram, zakamarkach, pod byle jakimi daszkami, chroniąc się przed ulewą, która zamieni ulice w potoki i równie nagle się skończy.

Pilk odetchnął głębiej, patrząc na sunące nad miastem chmury. Ciągle jeszcze się wahał, lecz coraz jaśniej zdawał sobie sprawę, że nie ma wyboru. Będzie starał się nakłonić Maskę i miał nadzieję, że mu się to powiedzie. Swoją drogą sprytny ten Mask, tak zakamuflować swoje badania! No i zdolny, dokonał przecież odkrycia, na które czekano przez wieki. Tak, bardzo sprytny i zdolny ten Mask.

26.

-- Powiedz mi. Proszę cię, od tego bardzo wiele zależy.
-- Czy pan powiedziałby, będąc na moim miejscu?
-- Rozumiem, że napracowałeś się wiele, bardzo wiele...
-- Nie tak wiele -- przerwał Mask. -- Przypadek. Jak zwykle. Swoją drogą przewidywałem tę rozmowę.

-- Myślałeś, że uda ci się ukraść spanodorm bez niczyjej wiedzy? Chyba nie?
-- Oczywiście, że nie. Wybrałem Lorta specjalnie, bo wiedziałem, że jest synem Parają, i nie dlatego, że jak mu powiedziałem, będzie bezkarny. Po prostu było roi wszystko jedno.

-- Co to znaczy wszystko jedno?
-- Byłem pewny, że nawet ogłaszając wszem i wobec w gazetach o odkryciu aspanolu i informując w ten sposób wszelkie możliwe wywiady i tak nie podaję dostatecznych wiadomości, pozwalających moje doświadczenie odtworzyć. Nie tak łatwo jest trafić na tajemnicę tego związku.

Pilk włożył ręce do kieszeni.

-- A więc próżność -- stwierdził.
-- Być może. Jak pan widzi, jestem próżny, a więc nic z tego. Nie podzielimy się wzorem. Rząd i tak wie o moim odkryciu i nie potrzebuję niczyjego poparcia, tym bardziej pańskiego. Zresztą...

-- Co? -- przerwał mu Pilk.
-- Nie po to kryłem przed panem treść moich doświadczeń, by teraz dzielić się ich wynikami.

-- A gdybym usunął cię z instytutu?
-- Groźba? -- roześmiał się Mask.
-- Ostrzeżenie.
-- Teraz już mogę syntetyzować aspanol w piwnicy, używając dwóch kufli po piwie i garnka na bieliznę.
-- Dobrze. Więc powiem ci całą prawdę. Naiwny jesteś myśląc, że uda ci się zrobić choć jeden samodzielny krok. Oni dowiedzą się tego wzoru, bo tak postanowili. I powiem ci jeszcze, że nasza dzisiejsza rozmowa nie jest moją inicjatywą. Masz rację, że rząd wie o wszystkim. Naciskano mnie, abym wy dobył od ciebie informacje. To pierwsza, delikatna próba z ich strony, potem będą inne i tak do skutku.

-- A może mam szansę?
-- Nie rozumiem cię. Z jednej strony nie szukasz oficjalnej drogi, bo musiałbyś dać im wyniki twojej pracy. To rozumiem. Ale kradnąc ordynarnie spanodorm informujesz ich o swoim odkryciu z samej próżności. Po co? Żeby powiedzieć: A widzicie, zrobiłem, ale wy dostaniecie guzik! Czy nie przesadzasz? Myślisz, że potrafisz nie ugiąć się przed całym aparatem?

-- Dość tego! -- zdenerwował się Mask. -- Nie potrzebuję niczyich pouczeń, a zwłaszcza twoich! Dziwisz się? Czemu się dziwisz? Chyba jestem godny używania miana Mądrego? Co, Pilk?! Po takim wynalazku! Nawet Wiedzącego.

-- Kpisz sobie! Mask spowaźniał.
-- Nie martw się o mnie, Pilk. Ani o wynalazek. Od czego są wymazywacze pamięci?
-- Oszalałeś! -- Pilk złapał go za fartuch. -- Chcesz się okaleczyć!!
-- Jeżeli będą chcieli mnie docisnąć, to nie dowiedzą się nigdy ani jednej literki tego wzoru. Możesz im to powiedzieć -- rzucił Mask i wyszedł z laboratorium trzasnąwszy drzwiami

tak, że zadzwoniło szkło na stołach.

Ostatnia noc Godów. Wlora postanowiła wydać przyjęcie. Mask właściwie wolałby spędzić ten czas wyłącznie w jej obecności, choć czuł, jak z minuty na minutę wygasa w nim pożądanie. Coraz mocniej wracało wspomnienie poprzedzających święto wydarzeń. Znów widział we śnie skotłowany tłum, leżące na ulicach ciała, krew i błyski oślepiaczy. No i jeszcze ta rozmowa z Plikiem. Ostatnio bywał w laboratorium tylko po dwie godziny dziennie. Całe szczęście, że wpadł na pomysł ukrycia spanodormu i zaczynu. Mógł nie obawiać się kradzieży. Prywatny dziennik, ten sam, który oglądał kiedyś Trzynastka, spopielił się w kominku.

Nadchodziła noc. Na ulicach płonęły lampiony, a po deszczu powietrze wreszcie nadawało się do oddychania. Zapowiadała się niezła zabawa. Specjalnie na tę okazję Wlora połączyła dwa sąsiednie mieszkania ze swoim. Oczywiście za opłatą i prawem do udziału w zabawie. Mimo wszystko Mask nie był wesoły. Czuł, że czekają go ciężkie dni. Około jedenastej zaczęli nadchodzić pierwsi goście, każdy obowiązkowo z butelką gwertu. Gwert był już teraz niezbędny. To była w końcu ostatnia noc Godów. Od jutra zacznie się praca, która wypełni niepodzielnie resztę roku. Koniec emocji i rozterek, teraz tylko spokój, systematyczność i chłodna kalkulacja. Czy rzeczywiście? Zostaną przecież mecze piłkarskie, rozpalające widownię do białości, problemy, które trzeba rozwikłać zgodnie ze swoim sumieniem, zniknie tylko seks. Przeszną istnieć kobiety i mężczyźni, będą tylko ludzie. Dorośli i dzieci. Wszyscy rodzaju nijakiego. Ono Mask -- roześmiał się w duchu z tej odmiany.

Wbrew przyjętym zwyczajom uparł się zaprosić na zabawę Trzynastkę. Najwyżej wyjdą razem, jeżeli ten fakt zbyt zmrozi całe towarzystwo. Pomieszczenia powoli zapełniały się ludźmi, z których większość Mask widział po raz pierwszy. Wlora krążyła pomiędzy grupkami gości, usiłując zabawić wszystkich naraz. Maska dolatywały nieśmiertelne dowcipy o Technikach, choć może śmiech, jaki wywoływały, był cichszy niż dawniej. Gwert już musował w głowach, muzyka napełniała swym rytmem cały dom, gorąca i odurzająca jak ta ostatnia noc. Wszyscy pili i palili tak, jakby jutro miał nastąpić koniec świata, a muzyka, falująca dotąd łagodnie, rosła, rozpędzała się, aż poderwała Maskę, który złapawszy Wlorę za ręce ruszył w zwariowanym młynku, zderzając się z innymi tańczącymi. Rytm narastał, wdzierał się głęboko w ciało spotęgowany działaniem dymu, upałem, ciemnością, szmerem głosów dobiegających od splecionych par. Nagle linia melodii załamała się z trzaskiem, przechodząc w zmysłowy werbel oszalałych serc. Kobiety ciskały po kątach rękawiczki, mężczyźni zdzierali nakładki. Obejmowali się teraz już nie w tańcu, raczej w ekstazie, z niemal religijnym uniesieniem. Ostatni godowy taniec w Grin Krongu, na Kontynencie, na Planecie. Wreszcie zapadła cisza, w której słyhać było jedynie spazmatyczne oddechy. Mask na kilka sekund zapomniał o całym świecie, spleciony z Wlorą, dłonią w dłoń. Trwali tak, szczeni palcami, zakotwiczeni w sobie, aż pojednali się, pomnożyli, wsłuchani w swoje myśli, lecz zjednani nie tylko ze sobą, ze wszystkimi, których myśli wypełniały teraz swobodnie całe pomieszczenie. Ich myśli poplątały się, słyszalne dla wszystkich uczestników tej zbiorowej ekstazy, uświęconej tysiącletnim zwyczajem. Trwała noc, noc przesilenia, nasycenia, ostatnia noc Godów, taka sama niemal we wszystkich domach miasta.

Pojednanie skończyło się i tym razem już absolutna cisza zaległa pokoje. Mask i Wlora wolno podeszli ku tapczanom ustawionym wzdłuż ściany i wtedy biolog zauważył Trzynastkę. Obejmował czerwonogłową kobietę. Mask bez trudu rozpoznał teraz dziewczynę. To była Nanna, o której sądził, że spędza Gody z Lortem. Nanna z Technikiem Trzynastką. Nawet nie zdziwił się, nie czując oburzenia w stosunku do tej pary. Nie miał najmniejszej ochoty rozgniewać

Technika lak muchy, choć powinien chęć taką przejawiać. Już dawno myślał inaczej. Może to nawet nie było tak dawno, ale zdawało mu się, że minęły wieki.

Znów zrobiło się niemożliwie gorąco. Pot kapał ze wszystkich. Po drodze każdy zbierał z podłogi swoje nakładki i rękawiczki i wciągał je niechętnie na wilgotną skórę. Wlora szeptała Maskowi do ucha coś, czego zupełnie nie rozumiał. Jego wzrok przykuł postawny mężczyzna siedzący nie opodal. Mask machinalnie odpowiedział na pozdrowienie Trzynastki, nie zauważając niechętnych spojrzeń innych Rozumnych i obserwował nieznanego. Ten mężczyzna, o twarzy bez jednej zmarszczki, wyprostowany i muskularny jak nikt inny w tym pomieszczeniu, miał za pasek wetknięty nóż. Trzonek wystawał przez rozpiętą koszulę. Mask wstał i ruszył w jego kierunku. Czuł nieprzepartą ochotę dowiedzenia się, po co ów człowiek nosi tak ponure narzędzie. Noża nie używało się przecież nawet do ścinania najtwardszych liści. Usiadł przy nieznanym, który patrzył na rozgadane grupki raczej bezmyślnie i minę miał znudzoną.

-- Skąd masz taki piękny nóż? -- zaczął Mask bez wstępów.

-- Zauważyłeś go -- powiedział człowiek i poprawił koszulę, zakrywając wystającą rękojeść.

-- To stare i okrutne narzędzie -- ciągnął biolog.

-- To stary nóż rytualny, ale czy okrutny? Raczej potrzebny.

-- Potrzebny?

-- To nóż do zabijania aspaniaków.

-- Jesteś pewien, że to potrzebne?

Tamten spojrział na Maskę lekceważąco.

-- Jesteś mięczak. Myślałem, że interesujesz się nożami, że kolekcjonujesz je, jak ja.

-- A po co je zbierasz?

-- Choćby po to -- parsknął pogardliwie człowiek -- żeby użyć ich, gdy zajdzie potrzeba.

Mask przyjrzał mu się uważniej. Chłodne oczy mężczyzny, patrzące gdzieś w przestrzeń, zdawały się potwierdzać taką możliwość.

-- Przeciwko komu? -- zapytał Mask wracając do rozmowy.

-- A choćby takim jak ty mięczakom, aspaniakom, tym wszystkim zawszonym katastrofistom, sekciarzom, perwersom. Tej całej zgrai różnych odchyleńców, pomieszanych, nienormalnych, którzy zaśmiecają sobą nasz kraj! Manifestują, rabują sklepy! A zwłaszcza wykończyłbym tych technicznych wywrotowych półgłówków.

-- Jednym słowem załatwiłbyś pół świata! A kto według ciebie ma prawo żyć?! -- w oczach Maski malował się przestach.

-- Ci, którzy szanują prawo i porządek, bezbłędnie wykonują rozkazy, nie próbują poprawiać zarządzeń i nie wzbudzają fermentów jakimiś bzdurnymi ideałami jakiejś wolnej miłości, jakieś tam równości wyssanej z palca, jakiejś zawszonej demokracji!

-- Czyli tacy, jak ty!

-- Mniej więcej -- mężczyzna uśmiechnął się zadowolony.

-- Pewnie gdybyś mógł w ziemie nie spać, to zarżnąłbyś tych wszystkich, o których mówisz!

-- Tamten spojrział na Maskę z politowaniem.

-- To chyba jasne, nie? -- poklepał się po brzuchu, gdzie błyszcząca klinga chłodziła jego ciało. Raptem roześmiał się na całe gardło i walnął Maskę w plecy.

-- Co ci tak gały wyszły na wierzch, kolego? Nie martw się. Jeszcze tę zimę przeżyjesz, bo przecież tego cholernego aspanolu na świecie nie ma!

Przerwał i w udanej wściekłości zmarszczył brwi. -- Ale potem -- dodał -- strzeż się, bo

nie lubię takich mięczaków, jak sto diabłów!

Staruszek musiał mieć ze sto dwadzieścia lat. Mask już dawno nie widział kogoś równie pomarszczonego, komu sflaczała skóra wisiałaby tak bardzo, tworząc kołnierzyk wokół szyi. Obok dziadka siedział drugi, niewiele młodszy. Obaj nie mieli już żadnych tonsur, co znaczyło, że zamieszkiwali Dom Ostatniej Drogi. Mask skręcił w ten pasaż w nadziei, że znajdzie tu jakąś ławkę, na której będzie mógł odpocząć, bo upał ciągle dawał się we znaki. Wszystkie ławki w pasażu, pośrodku którego tryskała lodowata fontanna, były jednak zajęte. Nie zastanawiając się podszedł do sadzawki i nabrawszy w dłonie orzeźwiającego płynu napił się. Staruszkowie przyglądali mu się bacznie. Na starszych ludziach takie zachowanie zawsze robiło wrażenie. Pewnie uznali go za chuligana. Na przekór samemu sobie podszedł do ich ławki.

-- Wolne? -- spytał.

-- Proszę -- odparli niechętnie i przesunęli się.

Powrócili do przerwanej ekscesem Maska rozmowy.

-- Kiedyś też byłem takim buńczucznym młokosem, jak ten -- mówił cicho starszy mężczyzna. -- To było jeszcze długo przed Szóstą Wojną Nordyjską. Miałem dwadzieścia lat, zielono w głowie i powołano mnie do Służby, Pamiętasz tamte czasy? -- szturchnął drugiego staruszka łokciem. -- Ultramar nie wyglądał tak, jak dziś. Nie był takim nędznym skrawkiem obgryzionym ze wszystkich stron przez wrogów. Tragiczna była dla nas ta Szósta Wojna.

Mask szybko liczył w pamięci, ile to lat może mieć mówiący człowiek. Wypadło mu, że około sto trzydzieści. Nadstawił pilnie uszu. Rzadko miał okazję słyszeć o tych odległych czasach z ust naocznego świadka. Rozmowy przed kamerami, w których kombatancki opowiadali jakieś historie wyważonym, przemyślanym językiem, nie przekonywały go zupełnie. Staruszek kontynuował swą opowieść.

-- Pamiętam -- mówił -- jak dziś ten dzień, kiedy dostałem skierowanie na północną granicę. Ultramar wciąż jeszcze bronił niezależności, nie targały nim wpływy to jednej, to drugiej strony, stawialiśmy czoła, choć z każdym rokiem słabiej.

-- Właściwie od osiemset czterdziestego ósmego zaczęło się dziać coraz gorzej -- wtrącił się drugi.

-- Tak. Dzisiaj widzę, że to był przełom. Więc wtedy, jak dostałem to powołanie -- prosto z Powychu, wyobrażasz sobie -- mówiłem: Cóż to jest? Trzeba służyć ojczyźnie. Zrobi się. I piłem wodę z miejskiej sadzawki, jak ten tu -- wskazał palcem na Maska, nawet nie odwróciwszy głowy w jego stronę. -- Piłem wodę, a potem wsiadłem w pociąg i pojechałem. Prosto do strażnicy. Zima była za pasem. Mieliśmy czuwać jak najdłużej. Temperatura już niska, drzewa suche, zresztą wkoło posterunku i tak wszystko wymiecione. Pejzaż wygolony, żeby wroga nie zgubić lunetami w gąszczu. Wydawało mi się, że przetrwam, ile zechcę.

-- Tak, ja też tak myślałem, póki nie zaczęli nam ograniczać jedzenia. To było okropne.

-- Właśnie. Ja też dopiero wtedy zrozumiałem, że to nie przelewki. Porcje więcej niż skromne, codziennie jakieś pastylki. Wszystko po to, żeby nie zasnąć. Wróg przecież jeszcze czuwał. Kto kogo przetrzyma? My ich, czy oni nas? Co tu zresztą ukrywać. Mało pilnie patrzyliśmy w te nasze lunety. Nic mogliśmy się skupić, trudno było myśleć o czymś innym, jak o misce manny, bulce kaszanej czy kilku cytrangach.

-- To samo było na południu. Ja byłem w strażnicy rok później. Wszyscy czuli, że tym razem uderzenie pójdzie od granicy soutuńskiej. Przykręcili nam wtedy śrubę bardziej, niż to było możliwe. Czuwaliśmy do dwunastego listopada. Wyobrażasz sobie?! Dwunastego zasnął ostatni lunetowy, zatrzymując zegar kontrolny. Te ostatnie dni to był koszmar. Nie wiem, jak ja

to przeżyłem. Dziesiątki moich kolegów z plutonu i kompanii wariowały. Karetki odwoziły ich do schronów, gdzie ładowano w nich środki usypiające. Dopiero wiosną były przecież szansę na ich leczenie. Od siódmego listopada ambulanse przestały w ogóle przyjeżdżać. Kilku wariatów uspokoiliśmy po prostu ciosami kolb. W całej strażnicy zostało dwunastu w miarę, normalnych ludzi. A atak nastąpił trzynastego. Oni mieli doskonałe środki pobudzające. Jedenastu sountańskich żołnierzy odebrało nam wtedy cztery tysiące kilometrów kwadratowych terytorium.

-- U nas było podobnie. Pamiętam, jak do gniazda obserwacyjnego wpadł, dowódca i powiedział: "Słuchajcie chłopcy, nasz wywiad ustalił, że oni zaatakują pojutrze o dwunastej w południe. Wytrzymamy?" "Wytrzymamy" -- zawołaliśmy chórem, ciesząc się, że tylko dwa dni. Wolałem już umrzeć w walce, niż czuć dalej. Potworne było to ślęczenie w ciszy, w pustce i ciemnościach, które przez większą część dnia zalewały krajobraz, w pejzażu pozbawionym na przestrzeni wielu kilometrów choćby jednego krzaczka. Stale te same, chude twarze, bladzi żołnierze, stalowe niebo. Mimo ciągłego dogrzewania zimno, coraz zimniej. Koszmar. Doczekaliśmy te dwa dni, kilku przypląciło to zdrowiem. Do śmierci siedzieli potem w domach obłąkanych. I cóż z tego. Nordowie przyszli dzień później, gdy już nikt nie był w stanie ruszyć ręką ani nogą. Jeszcze nie spałem i widziałem czarne pióra na ich kołpakach i płaszcze w kolorach tęczy. Znasz ich mundury?

-- O tak. Wspaniałe. Zwłaszcza te pióropusze.

-- A wiesz, co było w tym wszystkim najgorsze? Leżałem na podłodze i widziałem ich. Byłem bezsilny jak worek pierza rzucony na ziemię. Nie mogłem kiwnąć małym palcem. A oni wyobraź sobie, śmiali się!

-- Niemożliwe! -- młodszy starszek aż podskoczył.

-- Właśnie! Oni jeszcze mogli się śmiać, gdy my już ledwo żyliśmy.

-- Wiadomo. Zawsze mieli więcej pieniędzy.

-- Nordowie? Co ty mówisz? Oni byli po prostu bardzo odporni. Te ich ideały ascezy, ciągle wyrzeczenia, to przecież wspaniałe trening. Tabletki też, ale przede wszystkim ten trening.

-- Nie wierzę w te brednie!

-- Sam widziałem ich mnicha, jak połykał ogień i kładł się na rozżarzonym do czerwoności metalu!

-- I co z tego? To jeszcze nie znaczy, że mógł głodować w jesieni i nie spać!

-- Właśnie, że tak! Już wtedy słyszałem, że oni mają oddziały złożone z takich mnichów, ascetów, którzy potrafią niejedno!

-- A ja ci mówię, że to tylko pieniądze. Wielkie pieniądze i technika!

-- Jaka tam u Nordseledynów technika! Sam widzisz! -- roztoczył ręką wokół siebie. -- Wystarczy dostać się pod ich wpływy i już wszystko przestaje normalnie funkcjonować. Busy stoją, windy popsute, program w wizji tylko jeden, sprzętu domowego w sklepie nie uświadczysz...

-- A ja ci mówię, że to tylko pozory. Na to, na co trzeba, to oni mają pieniądze, zwłaszcza na sprawy militarne.

Mask przestał słuchać klójących się starców. Wstał i odszedł. Pozostali na ławce wciąż wspominali minioną potęgę swego kraju, nie chcąc dopuścić do siebie myśli, że był z góry skazany na zagładę. Wystarczyło popatrzeć na mapę. Gdzie najbujniejsza roślinność, jak nie na równiku? Tu było najwięcej pożywienia, więc już od najdawniejszych czasów parły ku równikowi plemiona z południa i z północy. Zaprawione w trudnych warunkach życia, odporne i silne łatwo wypychały mieszkańców okolic równika z ich terytoriów. I tak z roku na rok zamieniały się tylko miejscami -- raz siedziały tam plemiona z północy, raz z południa, walcząc co roku między sobą. Siły jednak były zbyt wyrównane, a efekt wielusetletnich zmagania taki, że

na północy powstała potężna Nordseledia, na południu równie mocna Soutseledia, a pomiędzy nimi, na spornym wciąż obszarze okolorównikowym bogaty w żywność Ultramar, obgryzany z każdej strony, atakowany i opanowywany metodami nie tylko militarnymi. Mask widział to wszystko jasno i nie oszukiwał się. Był zresztą fatalistą. Uważał, że Ultramar nigdy nie będzie mógł stać się potęgą, był w sytuacji ziarnka piasku pomiędzy dwoma młyńskimi kołami. Iloma ludzkimi istnieniami przypłacił swoje położenie, iloma istotami, wypełniającymi domy dla umysłowo chorych! Długo musiała czekać ludzkość na pierwsze konwencje, zabraniające ataku na pogrążonych we śnie. Cóż -- myślał Mask, idąc zalaną słońcem ulicą. -- zawsze trzeba płacić najwyższą cenę. Na szczęście tamte czasy już nie wrócą, choć kto wie, ile jeszcze problemów czeka na rozwiązanie.

29.

Siedziała w fotelu na biegunach I kiwając się raz w tę, raz w tą, przebierała drutami. Wyglądała bardzo dziwnie. Zawsze śmieszyły go bujane fotele. Poprawił się na legowisku. Podłożył sobie pod plecy stos kolorowych poduszek i obstawiony podręcznikami nie ruszał się całe popołudnie.

-- Prawie cię nie widać zza tych tomów -- roześmiała się.

Spojrzał na nią roztargniony i znowu zagłębił się w zawile wywody.

-- Podobno wczoraj znowu doszło do starć? -- powiedziała głośniejszym głosem. -- Hej, czy dociera do ciebie to, co mówię?!

-- Co? A, do starć. Tak, tak... -- odparł z roztargnieniem i bez zainteresowania. Podniosła oczy znad robótki.

-- Od wczoraj w ogóle nie można z tobą porozmawiać -- rzekła ze złością.

Podniósł na nią błędne oczy, jakby ktoś nagle obudził go ze snu. Machnęła ręką. Przez godzinę trwała znowu cisza.

-- Co ty właściwie wiesz o śniegu? -- przerwał nagle milczenie Mask. Zastanowiła się.

-- No cóż, kilka bajek i legend, no i coś niecoś z przekazów Sekty Śnieżnej. Swego czasu pasjonowały mnie spotkania z Braćmi. Poznałam dosyć dobrze ich katechizm.

-- Mogłabyś opowiedzieć mi coś bliższego?

-- Ale co? Tam jest bardzo wiele dziwnych historii.

-- Tak, żeby było jak najwięcej o śniegu.

-- To opowiem ci o Pierwszym Proroku. Pierwszy Prorok jeszcze jako bardzo młody chłopak odłączył się przy Czarnym Kamieniu od stada. Podobno przy tym kamieniu najczęściej doznaje się olśnienia. Więc on właśnie doznał takiego olśnienia. Poczuli, że nie potrafi zasnąć. Był trochę inny od swoich rówieśników, szczupły i wąły. To był podobno pierwszy człowiek, który nie spał przez całą zimę. Znalazł samotną grotę z gejzerem i zgromadził w niej dużo pożywienia. Usiadł przed jej wejściem, a kiedy wszyscy inni już spali, on czuwał. Tej zimy wszystko dokładnie zrozumiał i wiosną poszedł nauczać.

-- No, a gdzie ten śnieg?

-- Czekaj chwileczkę. Więc któregoś ranka obudził się w swym legowisku i wyszedł jak zwykle przed grotę. Ujrzał, że cały świat stał się biały. I to, co czarne, stało się białe, i to co było zielone, czerwone i niebieskie także pobielalo. Nie było nigdzie ani skrawka innego koloru, niż biały. Wszędzie ziemię pokryło białe, zimne futro.

-- Właśnie -- zapalił się Mask. -- Dlaczego te wszystkie podania głoszą, że śnieg jest biały? Przecież nasze urządzenia chłodzące na przykład okrywają się niebieskim szronem! To nie jest właściwie śnieg, ale coś w tym rodzaju. A zdjęcia z automatu na Płaskowyżu Mgieł ukazują rozległą płaszczyznę koloru czerwonego!

-- Czy ja wiem? Myślę, że już Wszzechwiedzący głowią się nad tymi kolorystycznymi problemami.

-- Może ten śnieg, o którym mówią przekazy nie jest tym samym, który występuje teraz w przyrodzie?

-- Czy to możliwe? -- zdziwiła się Wlora. -- Właśnie próbuję rozwikłać tę sprawę.

-- Wiesz co? -- zerwała się w przyływie nagłego olśnienia. -- Możesz wytworzyć lód w swoim laboratorium.

-- No pewnie.

-- Może warto byłoby zbadać taki lód na obecność mikroorganizmów?

-- Co? -- zerwał się z posłania Mask. -- Rzeczywiście! Że też o tym do dzisiaj nie pomyślałem! Jesteś genialna! Czy nikt jeszcze o tym nie myślał? Może to nie śnieg jest czerwony lub niebieski, lecz zawarte w nim organizmy!

-- Właśnie. Wtedy ten, pokrywający ziemię przy temperaturze 20°K byłby ich pozbawiony.

-- Ale to zdjęcie zimowe! -- mówił gorączkowo Mask, wciągając kaftan. -- Może było zrobione już przy wyższej temperaturze?

-- Dokąd lecis? -- powstrzymywała go Wlora. -- Jak to? Do laboratorium!

-- Wariat -- stwierdziła, lecz już jej nie usłyszał, zbiegając po schodach.

Pociąg sunął pomiędzy wzgórzami posapując i wyrzucając w bezchmurne niebo czarny słup dymu. Tory wiły się, zakręty były ostre i długi wąż, monotonicznie stukocząc, przechylał się na boki. O dachy wagonów szurały rosnące przy torach igłowce i dęby. Już od godziny posuwali się tą dziwną trasą ku małej, końcowej stacyjce, którą Mask widział najwyżej raz, w dzieciństwie, i nie pamiętał już, jak wygląda. Początkowo, gdy katastrof iści wyznaczyli tutaj spotkanie, chciało mu się śmiać i zamierzał nawet zrezygnować z tej rozmowy. W końcu dwieście kilometrów to kawał drogi, a on nie miał zbyt wiele wolnego czasu. Zdecydował się jednak na wyjazd. Ciągle nie potrafił rozwikłać dręczącego go problemu. Zaczyn czekał gotowy na dodanie spanodormu i katalizatora. Właściwie tyle tylko pozostało do zrobienia. Mask wciąż nie mógł się zdobyć na wsypanie do baniaka zawartości dwóch ukradzionych przez Lorta torebek. Odpowiedzialność, z jaką ten fakt się wiązał była ogromna. Maska wręcz przerażały możliwości, jakie staną przed nim otworem i będą jego wyłączną własnością. Przecież na dobrą sprawę mógłby zapanować nad krajem w pojedynkę dokonać rewolucji! Od jakiegoś czasu jednak nie rozpałały go już takie wizje. Jego aspanol nie powinien chyba służyć przyspieszeniu biegu historii. Technicy w odpowiednim czasie sami poradzą sobie w swoich przewrotach, zwyciężą, gdy dojrzeją do tego i gdy warunki staną się sprzyjające. Kto wie, czy przedwczesna interwencja nie zaszkodziłaby im tylko, może objąwszy władzę zbyt wcześnie nie byłiby w stanie pokierować krajem i obronić swoich zdobyczy. Ten sposób wykorzystania wynalazku uznał Mask za stanowczo niewłaściwy. Ostatecznie przekonał go o tym Trzynastka. Co jeszcze mógłby uczynić? Stać się kolejnym dyktatorem? Wymordować wszystkich posiadaczy noży? Ale czy garstka miłośników kultowej broni mogła mieć wpływ na rzeczywistość? Mógłby przekazać władzę w ręce Braci z Sekty Śnieżnej, którzy pewnie zaczęliby w religijnym fanatyzmie mordować innowierców.

Te ciągle wahania męczyły go. Bez wytchnienia szukał potwierdzeń i zaprzeczeń, jakiegoś punktu oparcia, który pozwoliłby mu w końcu podjąć decyzję. Raz i nieodwołalnie zdecydować: dać światu aspanol, czy nie? Czuł, że ten problem przerasta go, że nie potrafi go rozwiązać. Gubił się w labiryncie, który sam zbudował. Jednak mimo wszystko dalej poszukiwał rozwiązania, odpowiedzi na to pytanie, które stało się jedyną treścią jego myśli. Dlatego siedział teraz w pociągu, ciągniętym przez starą lokomotywę. Parowóz zagwizdał przeciągle i echo powtórzyło ten dźwięk, odbity od ścian pagórów nawisłych nad torami. Zbliżyli się do stacji. Na zewnątrz było już chłodno. Mask wstał ze swojego miejsca przy oknie i naciągnął ciepły kaftan. Poza nim w wagonie podróżowało tylko kilku pasażerów. To była mało uczęszczana linia, a mieszkańcy Ultramaru w ogóle podróżowali niechętnie. Przez chwilę przypatrywał się twarzom towarzyszy podróży, jakby chcąc odgadnąć, czy któryś z nich nie jest człowiekiem zdążającym na to samo spotkanie. Zazgrzytały hamulce. pociąg szarpnął, zatrzymując się na peronie. To było właściwie za duże słowo. Peron stanowiła mała, betonowa płyta, nad którą zatrzymał się wagon. Mask wyskoczył na nią. Uderzyło go ostre, górskie powietrze. Wciągnął je głęboko i mocniej zawiązał troczki kaftana, szarpanego wiatrem.

Przy Kamieniu stał niepozorny człowiek z szyją opatuloną grubym szalem.

-- To ze mną miał się pan spotkać -- powiedział zachrypniętym głosem, gdy Mask zatrzymał się niezdecydowany przy obelisku. -- Rozumny Mask, prawda?

-- Tak -- odparł Mask.

-- Jestem przeziębiony, ale zależało mi na spotkaniu się z panem właśnie tutaj. Wiemy o pańskim odkryciu.

Mask zdziwił się.

-- Nie myślałem -- odpowiedział zaskoczony -- że ta wieść rozniesie się tak szybko.
-- Niech się pan nie obawia. Wiemy o tym, bo jeden z Wszechwiedzących, wchodzących w skład Rady, jest Katastrofistą.

Mask uśmiechnął się. Opuścił go chwilowy strach. Coraz bardziej przyzwyczajał się do roli oblężonej fortecy.

-- Nie sądziłem, że tak wysoko postawione osobistości biorą udział w waszym ruchu.

-- No cóż. Nic im to nie zaszkodzi.

-- Tak. A dlaczego chcieliście rozmawiać ze toną właśnie tutaj?

-- Widzi pan ten kamień?

-- Trudno go nie zauważyć. Ma ze dwadzieścia metrów. Wygląda też dziwnie -- jak piramida z zaokrąglonym wierzchołkiem.

-- A zna pan jego historię?

-- To legendarny Czarny Kamień, przy którym Pierwszy Prorok doznał olśnienia.

-- To także, ale mam na myśli inną historię. Historię badań Czarnego Kamienia.

-- Coś słyszałem. Podobno trwają zacięte spory wśród geologów o jego pochodzenie?

-- A co pan sądzi? Czy to twór naturalny, czy sztucznie obrobiony?

-- Nie wiem. Nie jestem geologiem. Słyszałem, że to sześcian, wbity jednym z wierzchołków w ziemię.

-- Tak. To gigantyczny sześcian, który znalazł się tutaj nie wiadomo skąd i jak. Chcemy pana prosić, aby zniszczył pan swój wynalazek.

-- Ależ... -- bąknął Mask zaskoczony nagłą zmianą tematu. -- Dlaczego?

-- On ściągnie na nas nowe nieszczęścia. Zacznie się chaos, który doprowadzi do ogólnego kataklizmu. Pokazuję panu ten kamień, bo jest on jedną z wielu pozostałości po cywilizacji, która istniała tu przed nami, tysiące lat temu i unicestwiła się sama.

-- Skąd pan to wie? -- Mask nie posiadał się ze zdziwienia.

-- Jest więcej takich kamieni Nie tylko ich zresztą. Słyszał pan o obelisku z Bauro? A o tulejach gorydzkich? O posągu odkopanym w szelfie kontynentalnym na północ od zatoki Czerwonych Fal?

-- I co z tego?

-- To wszystko twory naszych poprzedników na Planecie! Ludzi, którzy tu żyli i swój świat skazali na zagładę, a nas, swych potomków, na ciężki żywot!

-- Mówiąc szczerze, nie wierzę w to wszystko. Przecież nie wykluczono naturalnego pochodzenia Czarnego Kamienia, to samo dotyczy obelisku z Baum. A tuleje czy statua z szelfu? Może zbyt pochopnie oceniamy plemiona starożytne jako bandy prymitywnych roślinożerców? Widać zajmowała ich też sztuka i technika...

-- Sam pan chyba w to nie wierzy -- przerwał mu ostro rozmówca.

-- A czemu nie? To, że jak wy twierdzicie, nasza cywilizacja jest wtórna, że narodziła się po jakiejś katastrofie, a my sami jesteśmy zapewne mutantami, nie wyklucza innych możliwości i hipotez!

-- Nasze hipotezy jednak są najbardziej prawdopodobne. Tłumaczą wszystko, łącznie z naszą zwariowaną orbitą.

-- Orbitą? -- Mask znów był zaskoczony.

-- Czy myśli pan, że astronomowie t biolodzy nie głowią się nad tym, jak mogło powstać życie na Planecie? Dlaczego ona jedna w całym układzie ma taką nietypową orbitę?

-- Nie musi mnie pan uczyć, nad czym głowią się biologowie -- przerwał mu urażony Mask. -- Obawiam się, że odpowiedź na to pytanie jeszcze długo nie będzie łatwa i prosta. Jest kilka teorii na ten temat, nie widzę powodu, by wierzyć pańskiej, najmniej prawdopodobnej!

-- A w orbitę też pan nie wierzy?! Temu faktowi nie może pan zaprzeczyć! -- Czegoś więcej spodziewałem się po spotkaniu z wami! -- krzyknął zdenerwowany Mask. -- Szermujecie tylko pustymi hasłami, zupełnie jak inni! Jesteście tak samo zadufani w sobie i nietolerancyjni! Nie będę więcej z panem rozmawiał!

Ruszył ku stacji, pozostawiając oniemiałego Katastrofistę pod ponurą czarną ścianą Kamienia. Sam nie wiedział właściwie, co tak bardzo zdenerwowało go w wywodach owego człowieka. W każdym przecież przekazie i podaniu musiało kołatać się jakieś ziarno prawdy! W końcu wiele było na Planecie rzeczy tajemniczych i nierozwikłanych. Przypomnił sobie niedawno czytaną rozprawę na temat pochodzenia nazwy Ultramaru. Próbowano tłumaczyć ją na wszelkie sposoby, nawiązywano do języków wczesnych plemion południowych, babrano się w językowych zawiłościach. Wszystko na darmo. No cóż, a orbita była rzeczywiście niepodważalna. Wszystkie inne planety układu krążyły po okręgach. Tylko ta jedna, jego ojczysta Planeta, obiegała słońce po mocno wydłużonej elipsie. W pewnym momencie Mask zorientował się, że to fanatyzm wszystkich tych sekciarzy denerwował go najbardziej. Odetchnął z ulgą, gdy na peron wtoczył się powrotny pociąg, posapując i buchając parą. Zapiszczały hamulce. Mask skoczył na stopnie, nim wagon jeszcze się zatrzymał.

31.

-- Nie wiem, o co wam chodzi! -- Trzynastka jak lew krążył po małym pokoiku na poddaszu w dzielnicy Proolerat. -- Zupełnieście powariowali! Przecież to moja prywatna sprawa!

-- Nie jestem o tym przekonany! -- młody Tysiąc Trzysta Piętnastka poderwał się z krzesła i oparł o stół. -- Członek naszej organizacji nie może mieć prywatnych spraw!

-- Pewnie ty ich nie masz! -- Trzynastka zdenerwował się nie na żarty.

-- Spokojnie, kochani -- włączył się w kłótnię starszy, pomarszczony Technik. -- Stapiętnastka ma rację. Można mieć. Trzynastko, swoje sprawy prywatne, ale trzeba też mieć jakąś moralność!

Trzynastka zaniemówił.

-- Gdzie... -- dukał. -- Gdzie ja jestem? Czy to jest siedziba rewolucyjnej organizacji, czy gabinet Pana Prezydenta? Mówicie tak, jak oni!

-- Mamy także swoje prawa! Musimy być wobec siebie surowi.

-- Nawet surowsi niż oni! -- włączył się Stapiętnastka, waląc ręką w stół. Przecież swoim postępowaniem mamy dawać przykład!

-- Więc według was to zły przykład pomnażać się w czasie na to przeznaczonym?!

-- Nie odwracaj kota ogonem! Wiesz dobrze, że nie chodzi o to, żeś się pomnażał, tylko z kim!

-- Zaraz, zaraz! Rozumiem z tego, że mój związek z Rozumną uważacie za coś uwłaczającego godności Technika, za akt niemoralny, czy tak?!

-- No... nie całkiem.

-- Co nie całkiem?! Wiecie, jak powinienem to nazwać? Szowinizmem! Przeżegnacie pałę w drugą stronę, moi drodzy! Jeżeli tak ma się przedstawiać nowa moralność i równość, o którą walczymy, to pięknie dziękuję i nie mamy o czym ze sobą rozmawiać!

-- Uspokój się, Trzynastka -- mitygował go starszy Technik.

-- Wiecie co?! -- krzyknął Trzynastka wyszarpując z kieszeni jakieś zawiniątko i rozwijając je drżącymi palcami. -- Mam was gdzieś! Mam was gdzieś, a ją Kocham!

I mówiąc to cisnął na stół niewielką książeczkę w twardych okładkach.

-- Ależ z ciebie narwaniec -- starszy Technik wstał z krzesła. -- Przecież my tylko dyskutujemy! Czy ktoś mówi, że musisz się z nią rozstać? Wydaje się nam tylko, że jest to niezbyt szczęśliwy zbieg okoliczności.

-- Ja jednak jestem zdania, że trzeba go sprawdzić -- upierał się Tysiąc Trzysta Piętnastka. -- Niech wybiera. Idea albo kobieta!

Trzynastka parsknął pogardliwie.

-- Wiesz, kto ty jesteś? -- powiedział, nachylając się nad młodzieńcem. -- Zwykły gówniarz!

-- Co?! -- Stapiętnastka zerwał się na równe nogi i wydawało się, że rzuci się na Trzynastkę.

-- Spokojnie! -- włączył się starszy Technik. -- Nie skaczcie sobie do oczu! Trzynastka, weź swoją legitymację. Podchodzisz do tego zbyt emocjonalnie. A ty, Tysiąc Trzysta Piętnastka, też się nie wymądrzaj. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. Trzeba ustalić plan akcji na najbliższe dni.

Zebrańnię skończyło się bardzo późno. Właściwie dopiero w nocy. Szybko pożegnał się ze swymi towarzyszami. Nie potrafił rozmawiać z nimi tak, jak przed tą całą aferą. Poza tym nie miał ochoty na wspólną wizytę w palarni. Szedł Liniją Szarą na przystanek busu i zastanawiał się

nad sobą. Nad nią zresztą też. Jego współtowarzysze mieli trochę racji. Nie mówili nic, póki trwały Gody. Różne już związki w życiu widzieli, a o jeszcze dziwniejszych słyszeli. Chodziło im o to, że Trzynastka wcale nie krył się ze swoją miłością do Nanny, wręcz odwrotnie. Bywali na wszystkich ważniejszych przyjęciach i chociaż spędzali czas przeważnie siedząc samotnie w kącie, już sam fakt ich wspólnej obecności zakrawał na bezczelność. Dawniej zdarzały się nawet większe mezalianse, lecz nigdy oparte na tej zasadzie. Najczęściej jakiś Wszechwiedzący lub Wiedzący brał sobie młodą, zdrową Techniczkę, lub jakaś Rozumna wiązała się ze swym służącym Technikiem, choć to ostatnie zdarzało się o wiele rzadziej. Wszystko oczywiście odbywało się w ukryciu i bez żadnych świadków, gdyż taki związek zawsze uwłaczał godności wyżej postawionego. Od niedawna zauważało się co prawda coraz więcej takich par, zwykle byli to Rozumni z Techniczkami, ale nigdy jeszcze nie zdarzyło się, aby taki związek przetrwał dłużej, przez jedne Gody. Trzynastka uważał, że jego towarzysze najzwyczajniej w świecie przestraszyli się. Inna rzecz, że przez obecność Nanny u swego boku zwracał na siebie uwagę przechodniów, stołowników i w ogóle każdego, kto znalazł się w ich pobliżu. To było niekorzystne dla konspiracyjnej przecież Organizacji, której był członkiem. Przyspieszył kroku. Od Nanny dzieliło go kilkanaście kilometrów. Teraz już nieustannie potrzebował jej obecności, nie przypuszczał, że tak mocno zwiąże się z tą kobietą. Była bardzo ładna, ale nie o to przecież chodziło. Właśnie takiej kobiety potrzebował i ona potrzebowała kogoś takiego, jak on. Na szczęście bus stał już na pętli i czekał. Rozklekotana karoseria podzwaniała w takt pracy silnika. Z daleka niebieski trójkołowiec z obłym dachem i zadartym ogonem statecznika przypominał wielką, trzęsącą się rybę. Ryba w ataku febry -- pomyślał Trzynastka, wsiadając do wnętrza pojazdu.

Tak jak myślał, czekała na niego. Gdy tylko otworzył drzwi usłyszał jej drobne kroki i zaraz potem ujrzał ją tuż przed sobą. Rzuciła mu się na szyję.

-- Nareszcie jesteś! Nie mogłam się już doczekać. Myślałam, że cię zatrzymali, albo że stało się coś złego.

-- Wiem, co przeżywasz, kiedy tam idę, ale nie mogę przecież przestać działać z twego powodu -- odparł i pocałował ją w czoło.

-- Wiem, ale nie potrafię przestać się bać.

-- No, już dobrze. Jesteśmy razem, zjemy kolację, poczytamy chwilę...

-- Iii... no... -- przerwała i zawstydzona przytuliła policzek do jego szorstkiej twarzy.

-- Tak, tak -- mruknął rozbawiony, całując ją znowu.

-- Więc chodź szybko do kuchni, kolacja już gotowa. Ugotowałam dzisiaj pora, żebyś wiedział, jaki był wielki, musiałam go przekroić na pół -- jej głos dobiegał już z sąsiedniego pomieszczenia. Była ruchliwa jak jesienny wiatr.

-- Nie chciał się zmieścić w garnku! -- informowała go dalej, dzwoniąc talerzami. Wszedł do ciepłej, jasnej kuchni.

-- Czego oni chcieli? -- zapytała, gdy już kończyli jeść.

-- Kto? -- nie zrozumiał.

-- No ci twoi, z Organizacji.

-- Ach, to. Nic ważnego. Przyjrzała mu się badawczo.

-- Nie chcesz mi powiedzieć -- stwierdziła.

-- Po prostu uważam, że nie ma o czym mówić.

-- Jeżeli to tajemnica...

-- Ależ skąd -- roześmiał się. -- Z kobietami tak zawsze. Powiem ci, żebyś nie umarła z ciekawości. Mieli zastrzeżenia co do mojego prowadzenia się. Moja postawa moralna, rozumiesz...

-- Tak myślałam! -- krzyknęła triumfalnie.
-- A twierdziłeś, że kto jak kto, ale oni nigdy z takich powodów nie odsuwają się od swoich przyjaciół!
-- Toteż wcale się nie odsunęli. Mieli tylko wątpliwości.
-- Niedługo będziemy skazani wyłącznie na samych siebie -- powiedziała wesoło, ale minę miała nietęgą. -- Nie przeraża cię to?
-- Jakoś nie -- odparł i pogłaskał jej dłoń. Poczochnęła mu włosy.
-- Przy tobie się nie boję -- szepnęła. Wstali od stołu i Nanna poszła przygotować kąpiel.
-- Wiesz co? -- odezwał się, gdy leżeli już w pokoju. -- Nie powiedziałem im, że jestem perwersem, który się pomnaża w miesiąc po zakończeniu Godów.
-- Nie martw się-- mruknęła, wtulając się w niego całym ciałem. -- I tak wkrótce to poznają po twoich podkrążonych oczach.
-- Nie martwię się. W końcu mam ciebie -- szepnął i pogładził ją po szczupłych palcach.

32.

Olbrzym Getur Dewian szalał na zielonej płycie. Jego potężny cień przesuwiał się wzdłuż szeregu uzbrojonych w hełmy głów jak tajfun, wywołując na twarzach grymasy bólu i wyzwajając przekleństwa, sypiące się niczym błyskawice. Getur Dewian to był oczywiście jego pseudonim zawodowy, w życiu prywatnym był bowiem, jak wszyscy gracze. Technikiem numer Trzysta Sześćdziesiąt Sześć Tysięcy Dziewięćset Dziewięćdziesiąt Siedem. Było to nazwisko trudne do zapamiętania dla miłośników piłkarstwa i kibiców drużyny Czerwone Talony. Dawniej drużyna nazywała się po prostu Talony, ale odkąd stała się zespołem nie do pokonania, wielu jej napastników dorobiło się czerwonych tonsur. Oczywiście zaraz potem przestawali grać, a na ich miejsce zjawiali się inni, nowi kandydaci na wielkich zawodników i miernych Rozumnych. Getur Dewian był jednym z wielkich i już rychło spodziewał się dostąpić zaszczytu przemalowania czaszki. Od dwóch sezonów był czołową gwiazdą drużyny, a dzisiaj przechodził samego siebie. Każde jego dojsście do piłki wyzwalało na widowni spazmy, jeden gigantyczny wrzask unosił się znad stadionu w bezchmurne, jesienne niebo Grin Krongu. Napinając wszystkie mięśnie szturmował Getur ciała swych przeciwników, rozdając ciosy na lewo i prawo, taranując opancerzoną piersią znajdujących się najbliżej i wbijając w brzuchy wijących się z bólu wrogów zamkniętą w hełmie czaszką. Skrzydłowi prowadzili go bezbłędnie, gdy zbliżał się do środka pola. Na krótko oddał im piłkę, a sam włączył się w spiralę. Wyszedł z niej nie bardzo orientując się w kierunku, raczej intuicyjnie zgadując położenie Pierwszego Kręgu i puścił się pełnym biegiem naprzód. Obrońcę, wyrastającego jak spod ziemi, udało mu się minąć zwodem, drugi biegł za nim, wyciągając rozpaczliwie ręce, by choć końcami palców zaczepić o tułów przeciwnika. Dewian nie zwalniając biegu zrobił obrót i dzielił siedzącego mu na plecach obrońcę splecionymi pięściami w kark. Tamten upadł jęcząc, a trybuny zanosły się histerycznym gwizdem. Getur staranował złożony z trzech zawodników mur i ujrzał pod stopami linię pierwszego Kręgu. Krzyknął do najbliższego napastnika swojej drużyny, dając mu hasło. Teraz piłka zaczęła wolno wędrować w jego kierunku, co chwilę zmieniając właściciela. Zawodnicy padali gęsto, lecz zaraz zrywali się i biegli do przodu, by znaleźć się na właściwej pozycji. Wreszcie udało im się zawiązać sznur, którego końcem był Getur i piłka bezpiecznie wędrowała z rąk do rąk, niedostępna dla przeciwników, których błyskawicznie formowane zaporowe mury kładły się pokotem na płytę. Dewian miał już piłkę w rękę. Klucząc mknął niczym błyskawica. Wszystkich pozostawił w tyle, tylko wymiatacz Minkin, gwiazda spirali, dotrzymywał mu kroku. Getur minął linię Drugiego Kręgu i już wiedział, że nikt nie może mu odebrać wielkiego punktu. Nagle poczuł uderzenie w stopy. Minkin chwycił go żelaznymi palcami za łydki. Getur, szarpnął się, biała płaszczyzna punktu była już o kilkadziesiąt centymetrów. Udało mu się wyrwać z uchwytu jedną nogę, którą kopał teraz po głowie wczepionego w niego Minkina. Tymczasem nadbiegali już inni obrońcy. Getur wparł się łokciami w trawę i wlokąc za sobą zapierającego się Minkina przełożył dłoń z piłką poza białą płaszczyznę, która była granicą wielkiego punktu. Tłum na stadionie szalał. Kibice wstawali z miejsc tupiąc i wyjąc. Kolorowe serpentyny posypały się na płytę boiska, strzelały petardy, nad trybunami załocili się chmury konfetti. Przeciągły gwizd ze stu tysięcy płuc słychać było na wiele kilometrów od stadionu. Czerwone Talony prowadziły 1:0, a wielki punkt zdobył rewelacyjny Getur Dewian. Tylko dwóch ludzi nie powstało z miejsc, by wyrazić swój aplauz. Siedzieli o kilka metrów od siebie, nie widząc się nawet nawzajem. Lort myślał o swoich pieniądzech, o procencie, który miał dostać od wynalazku Maski. Mecz go właściwie mało obchodził. Przyszedł tu z nudów. Siedzący nie opodal Czuwacz

Sto Osiem był zbyt pochłonięty marzeniami, by zwracać uwagę na otoczenie. Przychodziły mu do głowy najfantastyczniejsze pomysły i plany na przyszłość i ciągle martwił się, że coś pochrzani w czasie uroczystej inicjacji.

Getura Dewiana zniesiono z boiska. Ciągąc wymiatacza uczonego swej kostki doznał zwichnięcia stawu. Żegnał go huragan braw.

33.

Obudził ją jakiś hałas. Otworzyła oczy, próbując przeniknąć panujące w pokoju ciemności. Jakby z kuchni dobiegł krótki szelest i szuranie. Spuściła nogi na dywan i wstała ostrożnie. Nie zrobiła więcej niż dwa kroki, gdy poczuła zaciskającą się na szyi pętlę. Szarpnęła się z nagłym łomotem serca, lecz na próżno. Mocne dłonie coraz bardziej zaciskały sznur, a czyjeś kolano wbijało się w krzyże. Chciała krzyknąć, ale z jej ust wydobył się tylko charkot. Nagle ciemność pokoju rozświetliła zapalka potarta przez drugiego z napastników. W jej słabym świetle ujrzała dwie pary rąk w grubych, twardych rękawicach. Jedne trzymały zapalki, drugie spoczywały na jej ramionach, dociskając pętlę. Niewrażliwi? -- przemknęło jej przez myśl, gdy brutalnie popchnięta padała na fotel. Ten z zapalkami włączył nocną lampkę. Zobaczyła teraz, że obaj mieli na twarzach maski. Krzyknęła przerażona. Stojący za nią mężczyzna natychmiast zatkał jej usta dłonią. Poczula zapach świeżo wyprawionej skóry chomika.

-- Nie wrzeszczyć! -- dobiegł ją groźny szept i dłoń w twardej rękawicy zwolniła ucisk. Mogła teraz odetchnąć swobodniej.

-- Ooo... o co... chodzi? -- wykrztusiła z trudem, masując obolałą krtań.

Stojący przed nią mężczyzna zapytał:

-- Rozumna Aspaz, tak?

-- Tak, ale nie rozumiem, czego mogą ode mnie chcieć Oddziały Ochrony?

-- Nie jesteśmy z żadnych Oddziałów -- powiedział drugi człowiek.

-- Nie wiem, skąd jesteście i nie wiem kim jesteście, ale wiem, że napadliście mnie bez powodu!

-- Proszę się nie denerwować i mówić ciszej. To nie jest takie pewne, że nie mamy powodów.

-- Kto dziś napada bez powodu -- wtrącił się drugi. -- Właściwie powinniśmy się obrazić. Wzięła nas za chuliganów.

-- Więc o co chodzi? -- dopytywała się zdenerwowana.

-- Wreszcie konkretne pytanie. Już myślałem, że trzeba będzie użyć sznura, by przywrócić właściwy układ.

-- Więc? -- ucięła dość ostro.

-- Jesteś Soutseledynką.

-- Raczej byłam. Mam obywatelstwo Ultramaru.

-- Nie obchodzi nas twoje obywatelstwo! Jesteś Soutseledynką!

-- Nie. Obywatelką Ultramarul.

-- Czy ona naprawdę myśli, że można tak łatwo zmienić skórę? -- zwrócił się jeden mężczyzna do drugiego. -- Jak dokumenty?

-- Widzę przecież, że jesteś Soutseledynką! -- stwierdził stanowczo stojący za jej plecami.

-- O co wam chodzi?! -- krzyknęła histerycznie.

-- Nie bój się. To nic złego, że jesteś Soutseledynką. My też jesteśmy Soutseledynkami.

Dopiero teraz jej oczy rozszerzyło paniczne przerażenie. Wtuliła się w oparcie fotela, jakby chciała zniknąć.

-- Widzisz? -- powiedział jeden z napastników w kierunku towarzysza. -- Już się uspokoila.

-- No to teraz wyjaśnimy sprawę. Pamiętasz, co mówiłaś do Superdyktatora na wiecu inicjacji?

Aspaz milczała.

Mężczyzna kontynuował:
-- Przypomnę ci. Wszystkie wtedy przysięgałyście...
-- Wiem! -- przerwała mu.
-- No więc? -- włączył się drugi. -- Twoje koleżanki dotrzymały słowa, a ty zwałaś i zmieniałaś sobie papierki. Czy naprawdę myślisz, że rozkazy Superdyktatora, które obowiązują cały naród souteledyński, ciebie nie dotyczą?
-- Nie, skądże -- wycofywała się pospiesznie.
-- Właśnie. Wiedziałem, że grzeczna z ciebie dziewczyna, a ta zmiana obywatelstwa, to tylko taki żart. Więc mogę ci już powiedzieć, że przynieśliśmy dla ciebie polecenie od Superdyktatora. Jesteś mu bardzo potrzebna.
-- Ja? W jaki sposób? -- zdziwiła się.
-- Dotarły do niego wieści o pewnym ważnym wynalazku, którego dokonali ci wszawi Ultramarczycy. Rzecz w tym, że jego autorem jest twój były składnik do pary, ojciec twojego dziecka. Rozumny Mask.
-- Mask? -- roześmiała się. -- A cóż on mógł wynaleźć? -- Nie śmiej się, idiotko! -- syknął stojący za nią mężczyzna: -- Nie potrafiłaś nakłonić tego cymbała, żeby z tobą został choć na jeszcze jedne Gody i przysporzyłaś nam samych kłopotowi.
-- Przecież nie wiedziałam -- wyszeptała wystraszona.
-- Mniejsza z tym, czy wiedziałaś czy nie. Teraz musisz to naprawić.
-- Ale jak? -- krzyknęła, zrywając się z fotela. Mocne pchnięcie przywróciło jej poprzednią pozycję.
-- Twoja sprawa. Jesteś przecież kobietą i matką jego dziecka!
-- Tak, ale Gody przecież się skończyły, więc moja kobiecość jest bez znaczenia! On zresztą już przedtem miał mnie dość!
-- Wiemy to nie gorzej od ciebie. -- skrzywił się cynicznie drugi z napastników.
-- Dziecka także już nie mam!
-- Ale my możemy ci powiedzieć, w którym Powychu jest twój syn. Wykorzystując tę wiadomość możesz się z nim spotkać i wycisnąć z niego ten wzór.
-- I pamiętaj -- powiedział stojący za oparciem fotela. -- Mamy cię na oku.
Wyciągnął z kieszeni złożoną we czworo kartkę i podał jej.
-- Tu jest adres -- rzekł -- spotkamy się za trzy dni i mam nadzieję, że będziesz miała dla nas dobre wieści.
-- Nie próbuj tylko teraz hałasować -- ostrzegł drugi i zgasił zapaloną przez siebie lampkę. Ledwie dosłyszalnie trzasnęły drzwi. Aspaz siedziała bez ruchu w fotelu z kartką w dłoni i śladem po sznurze na szyi. Wiedziała, że przyjdą znowu. Przed Gwardią Superdyktatora nie było ucieczki i potrzebnego im człowieka potrafili wydostać nawet spod ziemi. Martwiło ją tylko jedno. Wątpiła, czy potrafi przekonać do siebie Maskę, czy on zechce sprzedać wynalazek za wiadomość o dziecku i jej urok. Trudno nawet było nazwać wątpliwościami tę prawie pewność przegranej.

34.

Trzech jasnoskórych mężczyzn palących pod murem przy Linii Amaranowej zgasiło pety o chodnik. Ruszyli w stronę instytutu, mieszczącego się o dwie przecznice stąd. Po chwili znaleźli się przed żelazną furką i niskim murkiem, oddzielającym tonący w zieleni ogród budynku od ulicy. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że byli to Nordycy. Tylko oni mieli wąskie, wydłużone oczy, zdecydowanie owalne, a nie okrągłe. Rozejrzawszy się bacznie, weszli na teren instytutu. Spóźnionego przechodnia dobiegł tylko z ciemności cichy brzęk tłuczonego szkła.

35.

Zrozpaczony Pilk walił się pięścią po głowie.

-- To okropne, okropne! -- wyrzucał z siebie co chwilę, rozglądając się po własnym gabinecie. Cała dokumentacja instytutu, zapiski badań z wszystkich lat zamienione w stos pomiętych papierów, zaścielały dywan. Szuflady rozbitego biurka również wytrząśnięto na wierzch tego śmietnika, tak że kolorowe tusze pozalewały stronice dzienników.

Mask obawiał się, że trzeba będzie Mądryemu Plikowi zaaplikować jakieś środki uspokajające. Pozostałe pomieszczenia przedstawiały podobny widok, a laboratorium Maska zamieniono wręcz w istną sieczkę.

-- Dlaczego? -- pytał Pilk i wydawało się, że zaraz się rozplące.

Mask wzruszył ramionami. Trzynastka stał. nieporuszony i przyglądał się bałaganowi. Szkody wyrządzone w instytucie były bardzo duże. Szef już wiedział, że w tym roku nie uda się dokończyć badań i odtworzyć wielu eksperymentów.

-- Wszystko zniszczone -- biadał -- wszystko!

-- Nie ma się co załamywać -- powiedział spokojnie Trzynastka.

Nikt cię nie pyta o radę -- odezwał się jeden z kierowników pracowni.

Technik zmierzył go chłodnym spojrzeniem, lecz umilkł.

-- Zawiadomił pan Niewrażliwych? -- spytał Mask. -- Zawiadomiłem, choć nie wiem. po co?

-- Jak to? -- zdziwił się również obecny starszy laborant.

Pilk tylko machnął ręką ze zniechęceniem. Uważał, że nie należy mówić więcej, niż się musi. Dla niego było oczywiste, że to Oddziały Ochrony maczały palce w tej rozróbie, a nawet jeżeli nie. to i tak wątpił w skuteczność ich pomocy. Pewnie szukali dokumentacji doświadczeń Maska, albo jakichkolwiek śladów jego badań, nie dowierzając widocznie relacji Pilka. Został na lodzie. Był załamany. Najlepsze lata swego życia ma za sobą, tytuł Wiedzącego wymknął się bezpowrotnie, a na koniec tak bezwzględnie pozbawili go laboratorium. Jedyne miejsce, które naprawdę lubił i w którym mógł przebywać zawsze. Serce mu się krajało, gdy patrzył na pogruchotane półki, strzaskane menzurki, kolby, termotrony i aparaturę symulującą. Rozwidlacze. witomierze, to wszystko, z czego był dumny, zaścielało teraz połyskującą miazgą podłogę. I jakby nie dość było zniszczeń, poszarpana, pomięta dokumentacja pracy jego życia.

-- Okropne -- zaczął znów zbolalym głosem.

-- Bez przesady -- przerwał mu Mask. -- Cieszymy się, że nie puścili wszystkiego z dymem.

-- Zniszczyli wszystko tak dokładnie -- powiedział Pilk i spojrział na Maska z wyrzutem -- że nic musieli już podpalać.

-- Możliwe -- odparł Mask ostro, wyprowadzony nieco z równowagi całą tą sytuacją. -- Możliwe, ale biadoleniem i załamywaniem rąk nie naprawimy szkód. Nie ma co medytować -- Okropne -- jęknął Mądry Pilk. Mask obrócił się na pięcie i wyszedł.

36.

Szli z Aspaz kasztanową aleją, Powietrze tchnęło jesiennym chłodem, było ostre. Spotkali się przypadkiem w palarni, tej samej, w której wiosną tak go zawstydził ten Mądry, jak mu tam było.

-- Co za dziwne miejsce -- powiedział, gdy stanęła nad jego łóżą. -- Stale spotykam tu jakichś ludzi.

Uśmiechnęła się.

-- Mogę usiąść? Wspaniały przypadek. Umówiłam się tu, ale skoro cię spotkałam, to chyba chwilkę porozmawiamy.

Zjedli kolację, wypalili po fajce i teraz szli aleją wzdłuż szpaleru rudych drzew, syjących po ziemi kolczastymi owocami. Schyliła się i podniosła jeden z nich.

-- Wyjątkowo dorodne w tym roku -- stwierdziła ważąc kasztan w dłoni.

Mask głęboko zaczerpnął powietrza. Rzeczywiście, takie kasztany pamiętał tylko *t* dzieciństwa, kolce zielonej kulki miały z kilka centymetrów długości.

-- Ale tak naprawdę -- powiedział -- dlaczego chciałaś się ze mną zobaczyć?

Skóra wokół jej ust pociemniała, jak zawsze, gdy czuła się niepewnie. Znał to.

-- Pięknie tu -- zmienił temat udając, że nie dostrzega jej zakłopotania.

Istotnie, aleja przedstawiała się imponująco. Drzewa musiały mieć po kilkaset lat, bo ich konary były niezwykle grube, a grona owoców zawieszane bardzo wysoko.

-- Chciałam ci powiedzieć, że miałeś ze mną syna! -- wyrzuciła jednym tchem.

Przystanął. -- To świetnie -- powiedział. Przez chwilę szli w milczeniu. Droga wychodziła pomiędzy niskimi domkami na szeroką łąkę. Tutaj właściwie kończyło się miasto, szeroki pas trawy oddzielał ostatnie wille od linii energochłonnych tulei. Czarne walce kilkudziesięciocentymetrowej wysokości wyglądały z daleka jak jakaś nowoczesna dzielnica. Asfalt się skończył i weszli na trawę, szklistą już i szeleszczącą niemiło suchymi badylami.

-- Widzę, że nie cieszysz się za bardzo tym, co ci powiedziałam? -- wróciła do przerwanej rozmowy.

-- Cieszę się -- odparł i przysłonił ręką zmrużone oczy, spogląda jąc w kierunku tulei. -- Cieszyłbym się tak samo, gdyby to była córka. Byłem przekonany, że nic złego ci się nie wydarzy. Dzieci nie umierają teraz często.

-- Nie miałbyś ochoty go zobaczyć? Stał jak wryty. Zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

-- Wiesz -- wydusił z siebie w końcu -- Nie byłem przygotowany na taką propozycję. Skąd wiesz, do jakiego Powychu go przydzielili?

-- Czy to ważne? Grunt, że znam adres i zapłaciłam pewnej Technicze, żeby pozwoliła mi się z nim widywać.

Mask zawahał się: W Aspaz zaszła jakaś zmiana. Od lat nie rozmawiali ze sobą w ten sposób. Właściwie zawsze traktowała rodzenie jako smutny finał pomnażania się. Mask uważał jej postawę w tym względzie za nieco odchylną od normy, ale tolerował jej podejście, choć czasami drażniło go to. Nie spodziewał się po niej takiej przemiany.

-- Co cię napadło? --zapytał.

-- Dziwisz się? Przecież to chyba normalne, instynkt, -- Przesadzasz. Przecież zwykle kobiety nie robią takich rzeczy. To zresztą zabronione.

-- Sama nie wiem, skąd się to we mnie nagle wzięło.

-- A nie próbowałaś przypadkiem odnaleźć naszego poprzedniego dziecka?

-- Przecież to już prawie dorosły człowiek. Ewidencja, karta, jego dawne imię zostało już zamazane. Na inicjacji otrzymał nowe i zapewne przydział pracy!

-- No tak, zapomniałem, że minęły już prawie trzy lata. Nagle coś zakotłowało się pod ich stopami.

-- Chomik! Łap go! -- krzyknęła Aspaz. Mask nie poruszył się. Aspaz popędziła za niezdarnie biegnącym zwierzęciem. Wkrótce zasłonił ją łań trawy. Mask ruszył jej śladem. Z daleka dolatywały go jej pohukiwania, potem usłyszał tępe uderzenie. Przyspieszył kroku. Ujrzał ją na małej polance pomiędzy zagonami traw. Aż go zamurowało. Aspaz trzymając chomika za tylną łapę waliła nim o ziemię. Raz po raz, z całej siły. Zaciśnięte usta białą wąską kreską. Na jej dłoni zastygła strużka krwi. Mask skoczył ku niej i zamierzył się, jakby chciał uderzyć ją w twarz. Zamarła, patrząc na niego nieprzytomnym wzrokiem. Wypuściła martwego chomika z dłoni i minęła Maskę, nie zatrzymując się. Wiedziała, że przegrała swoją grę. Teraz już jej nie uwierzy. Była wściekła. Przeklęty chomik! Czy to jej wina, że nie potrafi opanować tego odruchu? Soutańskie Powychy różnią się trochę od innych. Uczy się w nich również polowania. Mask jeszcze długo stał nad uśmierconym zwierzątkiem. Nie pierwszy raz widział Aspaz polującą, zawsze jednak robiło to na nim piorunujące wrażenie. Zastanawiał się, jakimi metodami można z łagodnego roślinożercy uczynić tak bezwzględnego łowcę. Soutańskie ideały bezwzględnego posłuszeństwa często doprowadzały do takich wynaturzeń. Jak mógł się związać z Soutseledynką na długie trzy lata? I jeszcze teraz niemalże uwierzył w jej nagłą zmianę, w przebudzenie się instynktu macierzyńskiego.

Wracał do miasta, zastanawiając się, czego mogła chcieć od niego. Nie potrafił jednak tego rozstrzygnąć.

37.

Miejszem ważnych uroczystości państwowych był w Grin Krongu Plac Trzech Kolorów. Ten najstarszy plac w mieście widział już niejedną koronację i niejedno zaprzysiężenie nowego prezydenta. Okalające go budynki przypominały swą architekturą budowane na północy igloo. Miały kopulaste sklepiona dachy, wejścia oddzielone wyraźnie od reszty muru, okna wypełniane lustrzanym szkłem w odcieniu całe ściany. Dawniej wyglądały nieco inaczej, w oknach nie było zwierciadlanych szyb, a mury zdobiły nieliczne ornamenty, które potem uznano za zbędne.

Dzisiaj również plac był przystrojony flagami. Na podium zasiadał Prezydent, marmurowe płyty pokrywał czerwony dywan. Wokół Prezydenta można było dostrzec wszystkich członków Rady we własnej osobie, co zdarzało się raz do roku, właśnie dziś. Tej najważniejszej uroczystości, jaką była Inicjacja, nie ważył się opuścić nawet sam Paraj, któremu wiele uchodziło. Po obu stronach podwyższenia i wzdłuż schodów stały równe szpalery wojska w paradnych mundurach. Na głowach kołpaki przystrojone piórami, kaftany ze srebrnych łusek i czarne, plecione buty defiladowe. Gali dopełniała szabla i proca wiszące u pasów. Tłum falował, każdy stawał na palcach, by zobaczyć jak najwięcej, błyskały lornetki. Z głośników sączyły się marsze, a oficerowie wciąż przebiegali wzdłuż szeregów, pokrzykując zwyczajowo i od czasu do czasu zmieniając szyk. Czekano na młodzieńców, którzy mieli nadejść od Linii Zielonej i na panny, które winny ukazać się w wylocie Linii Fioletowej. Nad obiema ulicami powiewały transparenty, w oknach wystawiono portrety Prezydenta i członków Rady, mury domów udekorowano flagami, plakietkami, złotymi kluczami, laskami i innymi symbolami wiedzy. Wkrótce podniosła się wrzawa, powędrowały w górę nabijane cekinami chorągwie i rozległy się pierwsze takty pieśni "O Grin Krong, Grin Krong". W wylotach ulic ukazały się pierwsze szeregi przystrojonych w białe tuniki" młodych ludzi. Przedstawiciele Rady wstali ze swych miejsc, wojsko wzniosło w górę szable i przy dźwiękach fanfar postacie w białych szatach wkraczały na plac szereg za szeregiem półtanecznym, lekko sztywnym krokiem. Pierwszy rząd zatrzymał się u podnóża schodów. Hymn skończył się i znów zabrzmiały marsze. Widzowie sypali pod nogi nadchodzących specjalnie na ten dzień hodowane goździki. Nagle zaległa cisza. Orkiestra umilkła i rozległa się komenda. Młodzież przyklękała. W pierwszym szeregu klęczał Getur Dewian, kilka rzędów za nim, wśród starszych, czuwacz numer Sto Osiem i jego żona, Sześćset Szóstka. Dziś mieli otrzymać nowe imiona, nowe karty tożsamości i nowy przydział pracy. Sto Ósmy drżał cały oczekując na moment, w którym Wszechwiedzący Paraj podejdzie do niego, oprze dłoń na jego ramieniu i powie: Witam cię wśród Rozumnych i nadaję imię Minge, po czym wielkim stemplem wycisnie czerwone kółko na czubku jego głowy. Prezydent rozpoczął długie przemówienie, w którym podkreślał doniosłość Inicjacji i ciężar odpowiedzialności, jaki biorą na swe barki ci, którzy do dziś byli tylko czystymi kartami, które teraz pokryte zostaną czerwienią, symbolem rozumności. Jak to zwykle bywa, nikt nie słuchał Prezydenta, nawet Lort, który przez lustrzane szyby przyglądał się klęczącemu czuwaczowi numer Sto Osiem.

Wszechwiedzący Paraj czekał w swym urządzonym ze smakiem gabinecie, umeblowanym w stylu epoki wczesnopurytańskiej. Siedział w skórzanym fotelu z dłońmi splecionymi na brzuchu. Ten gest sprawiał, że Paraj czuł się pewniej, może był po prostu bardziej skupiony i nie gubił tak często wątku. Był zwolennikiem teorii, że na każdy problem wystarczy odpowiednia pozycja. Swego czasu, gdy istniało jeszcze niewielkie księstwko Trawiang, nie wiadomo dlaczego tak długo tolerowane przez oba mocarstwa, przyjeżdżał z niego do Grin Krongu pewien mnich. Paraj chętnie go gościł. Surowy klimat wysokich gór i pierwotnej przyrody sprzyjał powstaniu swoistej filozofii, nazwanej przez jego twórców trwaizmem. Według owego starego mnicha wystarczyło przybrać odpowiednią pozycję i trwać w niej przez pewien czas, aby olśnienie i rozwiązanie dręczących problemów przyszło samo. Podobnie zresztą wyglądało leczenie ślepej kiszki czy reumatyzmu. Paraj przed laty był bardzo przejęty trwaizmem i nawet studiował co bardziej skomplikowane pozycje, lecz potem, gdy mnich przestał go odwiedzać, zamknąwszy się w klasztorze po podbiciu Trawiang, porzucił te męczące praktyki. Z tamtych czasów pozostał mu między innymi gest splatania rąk na brzuchu i Paraj musiał przyznać, że pomagał mu rzeczywiście. W dzisiejszej rozmowie szczególnie potrzebował spokoju, lecz gdy ujrzał tego smukłego młokosa z czerwonym łbem, tego skończonego idiotę Rozumnego Mask, całą filozofię diabli wzięli i koniuszki palców zaczęły mu drgać z tłumionej złości. Mimo to uśmiechnął się do wchodzącego dobrotliwie i wzrokiem wskazał krzesło naprzeciw.

-- Słucham cię, Wszechwiedzący -- odezwał się Mask, usiadłszy.

-- Tak -- zaczął Paraj, z trudem nadając głosowi łagodny ton. -- Pewnie się dziwisz, dlaczego wezwałem cię do siebie. Do tej pory nie interesowałem się tobą i może to był z moje strony błąd, ale i ty nie jesteś bez winy.

-- Nie dziwię się -- powiedział Mask. Paraj mlasnął z niezadowoleniem i przygryzł wargi.

-- Co cię nie dziwi? -- spytał. -- To, że cię wezwałem, czy to, że się tobą nie interesowałem?

-- Ani jedno, ani drugie.

-- Wnoszę z tego, że pewnie doskonale wiesz, o co mi chodzi?

-- Przypuszczam tylko.

-- Więc?

-- Wolalbym to od ciebie, Wszechwiedzący, usłyszeć.

-- Nie będę owijał. Jestem zaniepokojony. Dowiedziałem się, że dokonałeś ważnego odkrycia i nie, chcesz go nikomu udostępnić. To niedopuszczalne!

-- Nieprawda! -- powiedział Mask z udawanym oburzeniem. W głębi duszy był całkiem spokojny. -- Nie mam.. najmniejszego zamiaru przywłaszczać sobie czegokolwiek. Żeby to udowodnić, mogę w każdej chwili zniszczyć mój wynalazek przy świadkach, a swoją pamięć...

-- Nie gorączkuje się, mój drogi -- przerwał mu Paraj. -- Może się źle wyraziłem. Nie szło mi o to, że chcesz z niego sam czerpać korzyści, ale że nie chcesz podzielić się tym wspaniałym odkryciem z całym narodem, ze światem, który by cię za to podziwiał!

-- Z całym narodem...? -- zapytał Mask i zamilkł, przypatrując się swoim stopom. -- To znaczy z kim?!

-- Jak to z kim?

-- Z panem? Z pańskimi kolegami z Rady? A może z Organizacją Techników. Kto to jest ten naród?!

--Naród to wszyscy Ultramarczycy. Chyba tak podstawowych spraw nie muszę ci tłumaczyć. My, Wszechwiedzący, jesteśmy tego narodu prawnymi przedstawicielami.

-- Więc zrobmy tak. Udostępnicie mi jutro studio wizyjne, a ja odczytam wzór i podam punkt po punkcie w ogólnoswiatowym programie... no, ostatecznie w. ogólnokrajowym -- roześmiał się, ubawiony nowym pomysłem -- albo nie, dzisiaj w nocy zsyntetyzuję aspanol i jutro od rana będziemy na Placu Trzech Kolorów rozdawać każdemu po porcji!

-- Piękna propozycja -- uśmiechnął się kwaśno Paraj. -- Widzę, że nic nie przesadzono, opisując mi twoją głupotę. Jesteś ograniczony, Mask.

-- Czy wezwał mnie tu pan po to, bym usłyszał kilka epitetów? Paraj zerwał się z fotela czerwony ze złości.

--Jak śmiesz! -- wrzasnął -- w ten sposób do mnie mówić! Dawno nie widziałem tak bezczelnego typu!

Mask podniósł się.

-- Siadaj!! -- ryknął Paraj. -- Wstaniesz, kiedy ci pozwolę.

Osunął się na swój skórzany fotel i z trudem łapał powietrze. Do salki wpadło dwóch czarnogłowych z jakimiś buteleczkami. Podbiegli do fotela.

-- Widzisz -- powiedział cicho Paraj, kiedy już przyszedł do siebie. -- Jestem stary i chory. Chyba, nie można mnie posądzać o to, abym z twojego odkrycia chciał czerpać korzyści dla siebie.

-- Nie wątpię w to. Nie dla siebie chce pan korzyści, tylko dla swojej kasty.

-- Ta kasta może być również i twoja.

-- Kiedy?

-- Choćby zaraz. Ktoś, kto wynalazł aspanol zasługuje przecież na tytuł Wszechwiedzącego.

-- Na pewno? Przed chwilą dowiedziałem się, że jestem idiotą. Paraj skrzywił się.

-- Posłuchaj mnie, Mask. Nie kłóćmy się. Możemy być przyjaciółmi, w końcu nie chodzi przecież o słowa!

-- Więc nadaję się na Wszechwiedzącego?

-- Oczywiście. Wątpisz w to? Wyobraź sobie, jakie perspektywy masz przed sobą. Nowy dom, co najmniej jak mój, służba, która zdejmie ci z barków przyziemne kłopoty, przeszkadzające w myśleniu, własny bus, abyś szybko mógł dotrzeć do miejsca, które zechcesz odwiedzić...

-- A wie pan, że nie zależy mi na tym wszystkim?

-- Na tym może ci nie zależeć, ale pomyśl o możliwościach realizacji własnych programów naukowych, wszystkie laboratoria kraju będą do twojej dyspozycji! Czy to nie wspaniałe. Tylko za ten jeden wzór.

-- Nie! --wyrzucił twardo Mask i sam zdziwił się łatwości, z jaką odrzucił owe propozycje.

Wszechwiedzący Paraj milczał i patrzył w twarz Maska, jakby szukał tam oznak szaleństwa.

-- Ty jesteś obłąkany, Mask -- wyszeptał wreszcie. -- Sądzisz, że uda ci się zatrzymać postęp, że nie odkryjemy tego prędzej czy później? Całe zastępy uczonych pracują nad tym od lat, dzień i noc!

-- I co wymyślili?

-- Brak efektów jeszcze o niczym nie świadczy, przecież sam wiesz, że wystarczy czasem trochę szczęścia. Będziemy mieli aspanol tak czy tak. Może za rok, może za dwa.

-- A może za sto lat -- stwierdził spokojnie Mask. -- Ja miałem wyjątkowe szczęście.

Myśli pan, że tak łatwo trafi się znowu taki zbieg okoliczności. Są przecież miliony kombinacji.

-- Wiemy, że użyłeś spanodormu, znamy substancje pobierane przez ciebie do twoich badań... Zresztą chyba sam wiesz, że każde, nawet przypadkowe odkrycie można powtórzyć, dysponując solidną wiedzą, odrzucając kolejne alternatywy, potwierdzając krok po kroku słuszność teoretycznych rozważań...

-- No to będziecie tak posuwać się krok po kroku przez całe wieki. Ale ma pan rację Postępu nie da się zatrzymać Ktoś kiedyś dokona tego, co ja. Może to będzie też przypadek, a może po prostu zwykła formalność, finalizująca teoretyczne rozważania. Może czasy będą inne, ludzie mądrzejsi bardziej dojrzałi...

-- Skąd to możesz wiedzieć?

-- Mogę przypuszczać, że nie będziemy raczej przez te lata cofać się w rozwoju.

-- Nie o to mi chodzi. Skąd możesz wiedzieć, kim będzie człowiek, który zsyntetyzuje aspanol? Może odda ten środek w niepowołane ręce i zostanie on użyty do celów, którym dzisiaj usiłujesz zapobiec? Tego przecież nie możesz przewidzieć!

-- Nie mogę odpowiadać za wszystkie narody i pokolenia Planety! Nie mogę i nie chcę! Potrafię odpowiadać tylko za samego siebie. I coraz bardziej jestem przekonany, że powinienem zniszczyć aspanol, bo nie dorośliśmy do tego odkrycia!

-- Nie wyprowadzaj mnie z równowagi, Mask! Wydawało mi się, że mam do czynienia z rzeczywiście Rozumnym, ale ty chyba jednak nie jesteś godny tego miana! Przemawia przez ciebie idealizm i zaślepienie! Dla jakichś wyspanych z palca ideałów jesteś gotów powstrzymać rozwój Planety! Jakim prawem uzurpujesz sobie możliwość decydowania o losach milionów ludzi, którzy żyją obok ciebie?! Może twój wynalazek uratuje tysiące istnień od nędzy, może ocali im życie.

-- A może pozbawi ich tego życia...?! Paraj zachnął się i nerwowo splótł ręce.

-- Ty się po prostu boisz odpowiedzialności, Mask. Boisz się podjąć decyzję, której konsekwencje obciążą ciebie! Ale tak nie jest. Wszyscy będziemy ponosić odpowiedzialność.

-- To nie strach -- przerwał mu Mask, jakby ocknąwszy się z zamyślenia. -- Ja decyduję z pełną świadomością. A jakim prawem podejmuję taką decyzję? Prawem znalazcy, który złote jajko wyrzuca na śmietnik, prawem szaleńca, który woli ciche, ubogie bytowanie od bogactw, sławy i wszystkiego, co się z tym wiąże!

Wszzechwiedzący zaczerpnął głęboko powietrza, jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie odezwał się. Wypuścił powietrze z sykiem i oklapł w swym krytym skórą fotelu. Wyglądał jak stary łach, ciśnięty na oparcie. Pomarszczone powieki na wpół zakrywały zmęczone oczy.

-- Wyjdź stąd -- wyszeptał po długiej chwili milczenia. -- Nie mogę na ciebie patrzeć.

Gdy tylko za Maskiem zamknęły się drzwi, nakręcił numer. Czekał ze słuchawką przy uchu, aż ktoś odbierze telefon. -- Jestem bezsilny -- powiedział do słuchawki. -- Przekazuję ci go, Prezydencie. Tobie i Doornowi. To już ostatnia szansa.

39.

Trzej mężczyźni w czarnych kaftanach siedzieli w jego mieszkaniu. Zobaczył ich już otwierając drzwi. W szczelinie wejścia do gabinetu ujrzał nogi jednego z nich. Nie zapalając światła w przedpokoju szybko ruszył w tamtym kierunku, żeby sprawdzić, czy to nie przywidzenie. W blasku gabinetowej lampy wyglądali jak manekiny. Przez ułamek sekundy miał nawet ochotę dotknąć jednego z nich, żeby się przekonać, czy nie jest sztuczny, ale właśnie w tym momencie mężczyźni się poruszyli.

-- Jestem agentem wywiadu -- powiedział.

-- I oni również są agentami. Wskazał na swoich dwóch towarzyszy.

-- Ja... jakimi agentami? -- wybąkał Mask.

-- Tymi. którzy rozpruli pańskie laboratorium. Jasne?

-- Tak.

-- No właśnie -- ucieszył się wyraźnie mówiący, widząc błysk zrozumienia na twarzy Maski.

-- Jesteśmy też Nordseledyńczykami -- stwierdził z dumą. -- Dlatego nie będę kręcił.

-- Szczerść, równość, wolność -- wyrecytował.

-- Szczerść przede wszystkim!

-- A równość w obrębie kast -- dodał cicho Mask.

-- Słucham? -- agent przechylił się ku niemu wraz z fotelem.

-- Nic, nic -- odparł już głośno biolog.

-- Co to ja mówiłem? Aha, o szczerści. Wie pan, po czym się poznaje nordseledyńskiego agenta? -- zawiesił głos.

-- No? -- zapytał Mask zmęczonym tonem.

-- Jeżeli zapyta go pan: "Kim jesteś?" on odpowiada: "Jestem nordseledyńskim agentem".

Więc uprzedzając pańskie pytanie przedstawiłem się od razu. A teraz powiem panu jeszcze, czego szukaliśmy w pańskim laboratorium i niestety nie znaleźliśmy.

-- No bo tam tego nie było -- stwierdził Mask.

-- No właśnie. Więc przyszliśmy tutaj w nadziei, że dojdziemy w tej kwestii do porozumienia... -- zakończył szeptem.

-- Mogę być szczerzy? -- spytał Mask.

-- Ma pan obowiązek być szczerzy! -- wyprężył się agent w fotelu.

-- No więc nic mnie wasze nadzieje nie obchodzą. Nie mam zamiaru ułatwiać wam znalezienia tego, czego szukacie.

-- To bardzo miłe, że w rozmowie z nami przyjął pan nasze zasady. Będę teraz usiłował wpłynąć na zmianę pańskiej decyzji -- rzeki i poprawił się, jakby przygotowując do dłuższej przemowy.

-- Mam jedno pytanie -- Mask podniósł palec do góry.

-- Proszę.

-- Czy może mi pan powiedzieć, do czego zostałby mój wynalazek zastosowany?

-- Odpowiem zgodnie z prawdą. Nie wiem. Nie wiem, do czego zostanie zastosowany, ani co to dokładnie za środek. Znam tylko jego nazwę, mniej więcej wzory podobnych związków i mam również w pamięci kilkadziesiąt różnych reakcji chemicznych, które mogą być przydatne przy sprawdzaniu pańskich słów i przy poszukiwaniu samej substancji. Nie wiem jednak, do czego będzie zastosowana.

-- No tak. Mogłem się tego spodziewać. Jedyłą metodą, aby szczerzy agent nie zdradził

celu swej misji, jest go w tej sprawie nie uświadamiać. Jak się pan uchował, nie słysząc o tym związku i jego możliwych zastosowaniach? Przecież o tym mówi każde dziecko, to marzenie całych narodów, wręcz legenda!

-- Uchowałem się w Koszarach. Szef powiedział: Słuchaj, Levoine Sęki! Jesteś szczery i powinieneś być szczery, ale wtedy będziesz złym agentem. Więc żebyś mógł być szczerym człowiekiem i zarazem wzorowym agentem wywiadu, pewnych informacji nie będziemy ci po prostu dostarczać. Tyle o mnie. Wracając do naszej sprawy: czy mamy użyć przemocy?

Mask poczuł, że cała historia przybiera nieprzyjemny obrót. Gorączkowo szukał w pamięci jakiegoś wyjścia. Właściwie już wcześniej doszedł do wniosku, że czym prędzej powinien iść do wymazywacza pamięci, bo wokół niego zaczynało się robić gorąco. Sęk w tym, że wymazywacze nie byli instytucją legalną i w tym względzie Mask musiał liczyć na Trzynastkę. Sam nie znał nikogo, kto trudniłby się tym procederem, czy choćby zakładaniem blokad. Siedzący w fotelu agent uśmiechnął się wyczekująco.

-- Chyba nic z tego nie będzie -- powiedział Mask, siląc się na swobodny ton. -- Mam założoną blokadę, więc jeśli nie odegramy taśmy, trudno wam będzie czegoś się dowiedzieć.

Mężczyzna podniósł się, nie przestając się uśmiechać. Zbliżył się do Maska tak, że zasłonił sobą cały pokój.

-- To, że jestem szczery, nie oznacza jeszcze, że wierzę w byle bujdę -- stwierdził i nim Mask zdążył się zasłonić, potężny cios wgniół mu nos w twarz. Biolog zawył z bólu i zakrył rękami usta. Z pomiędzy palców pociekła krew. Pomyślał, że nos już chyba stracił.

-- Jest jeszcze jedna ważna zasada naszego narodu -- powiedział agent, rozprostowując stłuczone o nos Maska palce. -- Wyrozumiałość. Jestem bardzo wyrozumiały i tolerancyjny, dlatego daję ci szansę. Wrócimy tu Jutro, a ty sam przygotujesz taśmę. Chodźcie, chłopcy.

Skinął na dwóch milczących drabów i skierował się do drzwi.

-- Aha -- rzucił jeszcze od wyjścia, przypatrując mu się wąskimi oczami -- pewnie nie wiesz, że twój syn okazał się aspaniakiem i teraz grzeje przytulną klatkę w laboratoriach Generała Wszechwiedzącego Passata! Och, źle wyglądasz, Mask -- dodał, kręcąc głową. -- Ale ciesz się, że nie przewidziałem twojego sprytu i nie wziąłem na dzisiejsze spotkanie specjalisty od pamięci. Miałeś szczęście, co?

Mask mruknął coś niewyraźnie, lecz agent nie czekał już na potwierdzenie. Zniknął wraz z kompanami w ciemnym korytarzu.

Mask pobiegł do łazienki i puścił sobie na nos zimny prysznic. Woda chłodziła rozpaloną twarz. Przez dobrą chwilę polewał się lodowatym strumieniem, a potem spojrzął w lustro. Krew już nie ciekła, ale nos trudno było odnaleźć w zwałach opuchlizny. Postanowił natychmiast pojechać do lecznicy, a później zobaczyć się z Trzynastką. Wychodząc z domu rozmyślał o ostatniej nowinie przekazanej przez nieproszonego gościa. Czy to rzeczywiście możliwe, by jego syn był aspaniakiem?, I o co chodzi z tym Generałem Passatem? Po raz pierwszy usłyszał to nazwisko.

40.

Na szczęście prześwietlenie wykazało, że kość jest cała. Prosto z lecznicy Mask skierował kroki do domu Wlory, lecz nie poszedł na górę. Powędrował kręconymi schodami w dół, mijając garaże i skręcił do piwnic. Wygrzebał z kieszeni klucz i zapalivszy światło szedł wzdłuż szeregu drzwi, aż trafił na te oznaczone numerem mieszkania Wlory. Przekręcił klucz. Piwnica była niewielka, lecz wystarczająco obszerna, by pomieścić urządzenie parownicze i baniak z zaczynem. Włączył aparaturę do kontaktu i zamknąwszy starannie drzwi wyciągnął ze schowka spanodorm. Naderwał brzeg plastikowej torebki. Spanodorm skrzypiał w palcach i opalizował pięknym, niebieskim kolorem. Mask długo wpatrywał się w ten proszek, ostatnie ogniwo, które miało spoić razem substancje tworzące aspanol. We wzroku miał prawie miłość. Rozważania, teorie, decyzje i wahania, wszystko to przestawało mieć znaczenie, gdy rozpoczynał się eksperyment. Wtedy Mask zapominał o całym świecie. Wpatrzony w oscyloskopy, czujniki, aparaturę pomiarową, biegając pomiędzy kolbami, probówkami i tyglami podskakującymi na ogniu stawał się zupełnie innym człowiekiem. Znikał gdzieś chłód, który zawsze mu towarzyszył, parował, jak podgrzewane przez niego ciecze. Mask naprawdę żył tylko podczas eksperymentu. Teraz także czuł to napięcie, emocje hazardzisty w decydującej rozgrywce. Z wewnętrznej kieszeni wygrzebał niewielką torebkę. Znajdował się w niej mialki, biały proszek, utrwalacz, który wystabilizuje ów chwiejny związek na okres około sześciu tygodni. Mask był pewien, że pewnego dnia znajdzie lepszy stabilizator, utrwalający aspanol na dłuższy czas. Półtora miesiąca to bardzo mało, zwłaszcza że ostatni składnik... Tak, to był właśnie ten przypadek. Jak dziś pamiętał moment, kiedy się to stało. Zwyczajny eksperyment z zaczynem, badali go przecież od dwóch lat na wszystkie sposoby. Te badania właśnie dobiegały kresu. Zaczyn był substancją oddaną ich instytutowi pomocniczemu do szeregowych badań testowych. Jeden ze związków nie rokujących większych nadziei. W toku badań niekorzystna opinia instytutów rządowych i wojskowych potwierdziła się w całej rozciągłości. Tylko Mask wiedział, że było inaczej. Cóż to był za zbieg okoliczności! W eksperymencie DTA 6678 "a" na zaczyn działało niewielką ilością spanodormu. Nad baniakiem, w którym toczyło się doświadczenie, na małej półeczce Mask trzymał niedojrzałe cytrangi. To był jego prywatny eksperyment, zauważył bowiem, że opary zaczynu przyspieszają dojrzewanie owoców. Wsypując spanodorm do baniaka potracił półkę z cytrangami i niedojrzałe kolby stoczyły się do gorącego naczynia. Klął wtedy, aż samemu wędły mu uszy. Był przekonany, że zmarnował całe doświadczenie, a przecież na każdą porcję spanodormu potrzebne było osobne zezwolenie. Już czuł, jak ochrzani go Mądry Pilek, ale eksperymentu nie przerwał. Na powierzchni zaczynu powstały jakieś dziwne, kolorowe zacieki, a potem na brzegach baniaka zaczęły się krystalizować długie, niebieskie igły. Proces ten przebiegał bardzo gwałtownie. Mask na wszelki wypadek szybko dosypał utrwalacza. Już wytworzone, nieutrwalone kryształki rozpadły się w ciągu dwóch godzin. Utrwaloną substancję przeniósł na kolonię pierwotniaków i wstawił do zamrażarki. Spały tam w temperaturze 220°K. Taka była normalna procedura. Wtedy stał się ten cud. Czujniki zanotowały wznowienie procesów życiowych. W ciągu następnych godzin pierwotniaki radziły sobie coraz lepiej, wykazując dużą żywotność. Następnego dnia Mask powiedział Plikowi, że przez przypadek zmarnował spanodorm. Dokładnie opisał mu całą historię, przemilczając jedynie swoje odkrycie. Otrzymałszy nową porcję spanodormu poprowadził doświadczenia dalej. Podzielił spanodorm na części i jednej użył do przeprowadzenia poleconego mu testu. Z czystym sumieniem mógł wpisać do dziennika wynik negatywny. Zaczęły się teraz dni żmudnej pracy nad odtworzeniem

przebiegu tamtego zajścia. Nadchodziła jesień i pora snu. Kończył mu się przydzielony spanodorm. Ostatnią jego porcję zużył do doświadczenia z cytrangami tego samego gatunku i stopnia dojrzałości, jakie miał wtedy. Cudem .zdobył je w maleńkim sklepiku, który sprowadzał owoce z północy. Nie miał już jednak czasu na potwierdzenie wyników. Kolonię pierwotniaków musiał zamknąć w lodówce wraz z innymi zestawami z całego laboratorium. W ostatniej chwili przed ostatecznym opuszczeniem instytutu przeprowadził jeszcze test na chomiku. Drżał o wynik, kładąc się do snu. Lecz wynik okazał się dobry. To zestaw alkaloidów niedojrzałej cytrangi był składnikiem podstawowym, spanodorm jedynie katalizatorem i spoiwem nowego związku. Oderwał się od wspomnień i wyjął z torby trzy dorodne owoce o zielonej skórce. Wrzucił je w podgrzany zaczyn, który natychmiast się zakotłował. Dosypał niebieskiego proszku i utrwalcza. Spiralna chłodnica skraplała gwałtownie produkt odpadowy, a na ścianach baniaka zaczynały już pobłyskiwać gęstym futrem niebieskie igielki. Mask zgarniał je ostrożnie na papierek, kruszył i przesypywał do szczelnego pudełka. Trzymał we własnych, drżących rękach legendarny aspanol jako pierwszy człowiek na Planecie. W innych okolicznościach pewnie szalałby z zachwytu, ale teraz myślał o czym innym. Zastanawiał się, gdzie odnaleźć Trzynastkę. Wreszcie przypomniał sobie, że przecież widywał go z Nanną.

Kiedy wyłączył aparaturę, na zewnątrz wschodziło słońce. Małe pudełeczko zawierało porcję, która mogłaby wystarczyć dla kilkunastu osób. Mask zdjął but i schował aspanol w wydrążony specjalnie obcas.

41.

- Nie, spodziewałem się, że cię tutaj zastanę. Chciałem wziąć od Nanny tylko twój adres.
- Mieszkamy razem. Wejdz -- Trzynastka zaprosił go do środka. -- Miałem zamiar się z tobą skontaktować. Od dwóch dni nie ma cię w instytucie...
- Hej, kto tam przyszedł?! -- dobiegł ich głos Nanny.
- Mask! -- odkrzyknął Trzynastka w głąb mieszkania.
- Och, cieszę się, że cię widzę -- powiedziała z uśmiechem, który jednak prawie natychmiast znikł z jej twarzy. -- Jak ty wyglądasz?! Co się stało?!
- Nie będę ukrywał, że nie przyszedłem do was z wizytą towarzyską. Potrzebuję waszej pomocy, Trzynastka!
- Chodź do pokoju, Nanna zrobi nam soku.
- Wszyscy depczą mi po piętach! -- zaczął gwałtownie, siadając na tapczanie. -- A ty myślałeś, że będzie inaczej! Ja wiem, że dokonałeś wielkiego odkrycia i wiem też, jakiego ono jest rodzaju. Miałem nawet zamiar z tobą o tym pomówić, ale...
- No?
- Wydaje mi się, że nie będzie potrzeby użycia go w naszej sprawie.
- Myślałem i o waszej Organizacji. Czy ty dokładnie wiesz, co to za odkrycie?
- Nie. Tak dokładnie to nie wiem tego do dzisiaj. To znaczy, domyślam się, że to jest aspanol. Naprowadziły mnie na to wyniki, które podglądałem w twoim prywatnym notatniku. Pierwotniaki żyjące sobie całą parą przy 220°K to albo cud albo aspanol. Ja trochę interesowałem się biologią, zanim zostałem Technikiem.
- Tak. To jest aspanol. Teraz mogę ci to otwarcie powiedzieć. Zresztą trzymanie tego w tajemnicy nie ma już sensu. Nie zależy mi na tym.
- Od kradzieży dokonanej przez Lorta?
- A o tym skąd wiesz? -- zdziwił się Mask. Ach, zapomniałem, że twoja Organizacja ma mnie na oku.
- Już nie moja. Ich.
- Jak to? Co się stało?!
- Widzisz, jakoś znieśli, że na czas Godów związałem się z Rozumną, po długiej i ostrej dyskusji przeboleli również i to, że po Godach z nią zamieszkałem, ale niedawno spotkałem takiego młodego zagorzańca, Tysiąc Trzysta Piętnastkę, a Nanna szła uwieszona mojej szyi. Perwersa już nie mogli znieść i zwyczajnie skreślili mnie ze swojej listy.
- Nie przejmuj się -- szepnęła do niego Nanna, która właśnie weszła, niosąc na tacy szklanki z sokiem.
- Mask zamyślił się.
- Masz do nich żal, tak jak ja kiedyś -- odezwał się po chwili. -- Pamiętasz naszą rozmowę w Sabbidzkim Meloniku?
- Pamiętam. Miałeś chyba rację, sądząc że tak się ta cała rewolucja potoczy. Nie mam jednak do nich żalu. Właściwie nie widzę innej możliwości. Przez całe wieki kształtowano ich w ten sposób. Żyli w nietolerancyjnym społeczeństwie i podlegali najcięższej dyskryminacji. Teraz na pewno nie mogą być obiektywni. Jeżeli zwyciężą, to choćby podświadomie będą dążyć do zdobycia tego, czego im zawsze brakowało. Władzy, pieniędzy, bezkarności Nic mogę mieć o to do nich żalu, są po prostu ludźmi.
- Szkoda tylko, że nie dożyjemy czasów prawdziwej równości. Dopiero któreś z następnych pokoleń zrealizuje nasze plany.

-- Tak -- odparł Trzynastka. -- Tak będzie. I to bez aspanolu. Sam nie wiem, jak to wszystko wymyśliłem! -- roześmiał się. -- Zwykły Technik!

-- Namawiam go, żeby to spisał -- włączyła się Nanna z uśmiechem.

-- Nabija się ze mnie -- objaśnił Trzynastka i szturchnął ją w bok. -- Ale wracając do sprawy, jak mogę ci pomóc?

-- Boję się, że się do mnie dobiorą. Dotychczas wszystkim odmówiłem udostępnienia aspanolu. Na dobitkę wieść o nim rozeszła się bardzo szybko, pewnie przez Lorta.

-- No to jeszcze. Sektę Śnieżną będziesz miał ,na karku.

-- Jak to?! -- wystraszył się Mask.

-- Nie wiedziałeś, że Lort jest członkiem Sekty? -- zdumiał się Trzynastka. -- A kto już do tej pory próbował cię przekonać?

-- Najpierw Pilka, myślę, że na zlecenie naszego wywiadu albo Oddziałów Ochrony. Potem Lort zażądał procentu od zysków z patentu, Katastrofiści nalegali, żebym zniszczył aspanol, chciał mnie kupić Wszzechwiedzący Paraj, czyli najwyższa kasta Białogłowych, a wczoraj w nocy zastałem w swoim gabinecie trzech agentów z Nordseledii, którzy zrobili mi z nosa knedel. Aha, no i miałem dziwne spotkanie z Aspaz. Nie wiem, czego chciała.

-- Co mówiła?

-- Że może pokazać mi naszego syna. --Sądzę, że Aspaz się sprzedała.

-- Możliwe. Ona jest Soutanką, więc posłuszeństwo ma we krwi.

-- To jeszcze nie wszyscy, którzy będą cię napastować, Mask. Nie wymieniałeś Prezydenta, ani Generała Passata.

-- Kto to jest ten Passat? Wspomniał o nim jeden z tych wspaniałych nordyjskich agentów.

-- O ile mi wiadomo, Generał Passat zajmuje się sekcją eksperymentalną. W Zjednoczeniu Instytutów Wojskowych -- dodał Trzynastka, widząc, że Mask nie bardzo pojmuje.

-- A więc wynika z tego -- włączyła się Nanna -- że jest tylko jedna grupa osób, które pomogłyby ci, nie wymagając udostępnienia im aspanolu. Katastrofiści.

-- Wiem -- odparł Mask -- ale zanim nawiążę z nimi kontakt, może być za późno. Trzynastka poklepał go po ramieniu.

--Wiem, o jakie wyjście ci chodzi -- rzekł spokojnym głosem. -- Aspanol masz już zsyntetyzowany?

-- Tak.

-- Więc wymazywacz pamięci.

-- To chyba jedyna droga. Na razie wystarczy blokada no i muszę się gdzieś zamelinować. Na szczęście do zimy został tylko miesiąc.

-- Chcesz użyć aspanolu? --, zapytała ostrożnie Nanna.

-- Jestem coraz bardziej przekonany, że powinienem go zniszczyć. Z drugiej strony chciałbym na własne oczy zobaczyć zimę. Wciąż o tym myślę. Tylko zobaczyć, rozumiecie mnie? Tak niewielu ludzi widziało zimę! Byłbym chyba pierwszym człowiekiem na Planecie, który mógłby o tym opowiedzieć, napisać, który by to przeżył! Zobaczyć śnieg! W lodzie, który się osadza na naszych zamrażarkach żyją pewne mikroorganizmy, które sprawiają, że jest on niebieskawy. Zdjęcia, które zrobili zeszłej zimy na Płaskowyżu Mgieł pokazują płaszczyzny w kolorze różowym. Może to też bakterie, które rozwijają się na przykład dopiero wtedy, gdy temperatura zaczyna już wzrastać? Jaki naprawdę jest śnieg?! Widzicie, ja jestem po prostu ciekawy. Nie mogę ryzykować, oddając aspanol w inne ręce, choć może postęp naszej cywilizacji byłby wtedy dużo szybszy.

--Rozumiem -- powiedziała powoli Nanna.

- Postęp albo nowe wojny. Ty zaś jesteś tylko ciekawy.
- Posłuchaj -- przerwał im Trzynastka, który od dłuższej chwili intensywnie nad czymś rozmyślał. -- Znam jednego wymazywacza. Pracuje dla Organizacji, ale powinien się zgodzić.
- Wiesz, dlaczego przyszedłem do ciebie? -- spytał Mask. -- Bo ci ufam, a to jest w mojej sytuacji najważniejsze. Wymazywacz też może człowieka wykończyć. Wystarczy, że zrobi kopię zapisu.
- Temu można ufać. Jeżeli się zgodzi, to będzie uczciwy.

42.

Mask nie bez obawy wkładał głowę pomiędzy bieguny potężnego elektromagnesu. Stojący obok Trzynastka trzymał w ręku zdjęty zapis jego pamięci. Gdy Mask zapragnie poznać treść wymazanego fragmentu, wystarczy tygodniowy seans, który wsączy w czasie snu anulowane wiadomości z powrotem do jego mózgu. Taśma z zapisem była tak mała, że można było schować ją do pudełka od zapalek.

Wymazywacz krzątał się koło swojej aparatury, pomrukując coś do siebie. Wreszcie powiedział:

-- Gotowe. Proszę zamknąć oczy. Mask zacisnął powieki, lecz spodziewany ból nie nastąpił.

-- Można już otworzyć -- usłyszał głos. Co otworzyć? Kto to mówi? Podniósł powieki, by zobaczyć, o co chodzi. Siedział na fotelu, a obok stało dwóch obcych facetów.

-- Gdzie ja jestem? -- spytał.

-- Jestem wymazywaczem -- przedstawił się uprzejmie starszy z mężczyzn. -- Właśnie wymazaliśmy panu pamięć. To jest pana przyjaciel, Technik Trzynastka. Nie pamięta go pan.

-- Podałem się wymazaniu pamięci? Dlaczego? -- dopytywał się Mask.

-- Tak -- odezwał się młodszy, który miał być niby jego przyjacielem. -- To znaczy nie całkiem wymazaniu. Podałeś się blokadzie, w związku ze swym odkryciem aspanolu.

-- Co? -- podskoczył w fotelu Mask. -- Odkryłem aspanol?

-- Właśnie -- stwierdził bez zdziwienia wymazywacz. -- Zrobiłem głębokie mazanie.

Prawie cały ostatni rok. Teraz uspię pana i podłączę zapis blokowany. Pełny zapis schowamy i zwrócimy, kiedy pan zażąda.

-- Już mi go oddajcie! Nie przypominam sobie, żebym miał ochotę na taki zabieg! Kim wy w ogóle jesteście i jakim prawem! -- wrzeszczał Mask i usiłował wyrwać się z fotela, przytrzymały go jednak pasy. -- Puśćcie mnie!! Bestie!! -- wydierał się, widząc, że starszy facet przygotowuje strzykawkę. -- Rozwalę to wszystko, jak mnie natychmiast nie rozwiążecie!!

Wierzgnął rozpaczliwie, gdy igła wkłuła mu się w żyłę i zasnął.

Ktoś gwałtownie szarpnął go za rękę. Otworzył sklezione powieki i ujrzał rozmazany zarys postaci. Po chwili obraz wyostrzył się.

-- Zbudź się. Już po wszystkim -- mówił nachylony nad nim Trzynastka.

Mask bardzo powoli orientował się, gdzie jest. Ten stan bardzo przypominałby mu budzenie się z zimowego snu, gdyby nie suchość w ustach i lekkie mdłości.

-- I jak tam? -- odezwał się wreszcie, dotykając głowy., -- Napędziłeś nam niezłego stracha! Gdybyś wiedział, jak narozrabiałeś!

Trzynastka z podziwem kręcił głową. Obok stał uśmiechnięty dobrotliwie wymazywacz.

-- Ludzie dzielą się na dwa typy -- powiedział. -- Jedni są zrezygnowani, drudzy wpadają w szal. Ty należysz do tej drugiej grupy.

Mask nie pytał, gdzie jest pełny zapis. Miał zaufanie do Trzynastki. Spróbował sobie przypomnieć wzór. Na darmo. Pamiętał, że wynalazł aspanol, ale jak?

-- Kto cię uczył twojego zawodu? -- spytał starszego człowieka. -- Kompletnie nie mogę sobie przypomnieć wzoru!

-- Możesz mieć też inne drobne braki, ale nie przejmuj się tym. Pełna pamięć wróci ci, gdy podłączysz zdjęty zapis. Blokady często obejmują także boczne pasma obok sekwencji, których chciałeś się pozbyć. Ja to jeszcze nic. Gdybyście wiedzieli, do czego dochodzą mnisi w

trawiandzkich klasztorach! -- perorował, składając narzędzia.

-- Pewnie zapominają o nieprzyjemnych sprawach trwając w jednej z tych zwariowanych pozycji -- roześmiał się Mask.

-- Skąd wiesz? -- spytał wymazywacz i roześmieli się wszyscy razem.

43.

-- Ale mnie urządziłeś! -- Lort pienił się z wściekłości.
-- A cóż mogłem więcej? -- Wszechwiedzący Paraj tylko jednemu człowiekowi pozwalał na siebie krzyżeć. Miał niewiarygodną słabość do tego chłopaka.
-- Nie udało mi się go przekupić, a nie da mnie należy użycie siły.
-- Mam nadzieję, że Doorn wyciągnie z niego, co trzeba. Inaczej sam się tym zajmę.
-- Oszalałeś? Przecież nie jesteś przeszkolony w tym kierunku?! Nie potrafiłbyś ,skrzywdzić nawet muchy!
-- A może potrafię? Znam kogoś, kogo uczono polować w soutuńskim Powychu i komu zależy na tym wzorze nie mniej, niż mnie!
-- W soutuńskim? Chyba zupełnie straciłeś rozum! Przecież nie chcesz chyba współpracować z souteledyńskimi agentami!!
-- Czemu nie? Jeżeli będę musiał, to nie zawaham się. Zrób coś, zamiast tu siedzieć z idiotycznie założonymi rękami!
-- Myślałem, że masz jakieś ideały! -- Wszechwiedzący Paraj był u kresu cierpliwości.
-- Owszem, mam!
-- Nie jest dla ciebie ważna ojczyzna, nauka...
-- Oj, stary! -- uciał Lort brutalnie. -- Moim ideałem jest kupa forsy, tytuł Wszechwiedzącego i stanowisko Mistrza Białego Puchu! I jeszcze, żeby jakieś techniczne nasienie nie sprzątało mi dziewczyny sprzed nosa, gdy ja jestem zajęty czymś innym i żeby na dokładkę nie afiszowało się z nią przez całą jesień.
-- Mogę ci przecież dać, ile tylko zechcesz!
-- Kicham na to!? -- wrzasnął Lort. -- Mam swoją własną forszę? Tylko zrób coś, bo... I pamiętaj, że cię ostrzegalem! Żebyś nie był zaskoczony gdy dowiesz się, że aspanol jest w Souteledii i twój synek także! -- Obrócił się na pięcie i wybiegł z pokoju trzaskając drzwiami. Paraj zerwał się z fotela, ale było za późno. Lubił te chwile, gdy syn był przy nim, lubił z nim dyskutować, ale niekiedy Lort przerażał go i wtedy Paraj dziękował Najwyższemu za zakaz kontaktów między rodzicami a dziećmi. Kto wie, jakim Lort byłby Wszechwiedzącym, a gdyby nie zakaz, byłby nim z pewnością. Paraj nieraz wyrzucał sobie, że złamał ten zakaz. Cóż, wielka to pokusa mieć prawie nieograniczoną władzę i nie skorzystać z niej. I tak walczył ze sobą przez długie lata, nim zdecydował się poznać bliżej tego jednego syna, choć przecież co roku miał dzieci z różnymi kobietami. Musiał to zrobić, musiał poznać owoc swego najcudowniejszego związku, miłości swojego życia. I często teraz, w chwilach szczerości, musiał przyznawać się sam przed sobą, że owoc ten pozostawiał wiele do życzenia. Był impulsywny, rozkapryszony i przede wszystkim słaby. Paraj zaś doskonale wiedział, jak niebezpieczny może być człowiek, słaby dysponujący rozległą władzą. Całe szczęście, że obowiązywał ten tyleż konieczny, co przykry zakaz.

Podszedł do telefonu i powoli wykręcił dwa numery. Prezydenta i Doorna.

44.

"Od jutra w naszych sklepach, we wszystkich naszych sklepach -- mówiła z naciskiem piękna kobieta o grubo naszminowanych ustach -- możecie zakupić śliworele!" -- Wysunęła na dłoni duży, granatowy owoc, lśniący niemal geometrycznym owalem. -- "Śliworele są najpożywniejszym pokarmem, jaki znam! -- zachwycała się, wydymając wargi nad mrugającym znaczkiem firmy POKARMNIK. -- W każdej ilości i dla każdego! Zwłaszcza panie, które są w ciąży, a któraż z nas nie jest?! -- tu przerwała i wypięła dumnie okrągły brzuszek -- powinny zjadać śliworele! Pamiętaj: POKARMNIK!" -- wyszeptała jeszcze, nim znikła, a na jej miejscu pojawił się zgrabny stos śliworeli, ułożonych jak kule armatnie.

"Wszyscy mieszkańcy i goście Grin Krong -- krzyczał tryskający zdrowiem tłuszcioch o błyszczących wargach. -- Za tydzień -- tu błysnęły kartki kalendarza. -- Zapamiętajcie! Za tydzień czekamy na was na polanach lasu Turana! Specjalnie dla was drużyna zwycięskich kucharzy soutseledyńskich z Jehonu... -- i tu sześciu grubasów w efektownych kitlach zrobiło do widzów perskie oko -- przygotowuje przyjęcie, jakiego jeszcze nie widzieliście! -- grubas piał z zachwytu, a wargi zrobiły mu się coraz bardziej mokre od wydzielanej obficie śliny. -- Mistrzowie Kontynentu zapraszają was na rzodkwie, selery, potrawy marchwiano-kapustne we wszystkich smakach oraz na sałatki sporządzone z dodatkiem ostrych soutseledyńskich przypraw!" -- Grubas oblizał się i zniknął.

"Przybądźcie, a wyjdziecie uszczęśliwieni! -- wyrecytował mieszany chór dobrze już grubiutkich kobiet i mężczyzn. -- Wymarzone potrawy waszego życia już od pierwszego listopada w stołowni Sabbidzki Melonik."

Teraz, cała malownicza grupa udawała, że biegnie, a za ich plecami przewijał się film z krajobrazem. Wreszcie zdyszani stanęli pod szyldem stołowni, lecz okazało się, że długa kolejka wydiera już sobie karnety. "Karnet na wszystkie potrawy tylko 25 truksów" -- powiedziała najbliższa kamery panienka. "Owoce równikowe bezpłatnie". "Pospieszcie się!" wrzasnęli wszyscy razem machając rękami i zniknęli.

45.

- Generał Passat?
- Tak jest!
- Wiesz, kto mówi?
- Oczywiście, poznałem natychmiast.
- Mam pomyslną dla ciebie wiadomość.
- Tak? Więc słucham.
- Prezydenta już zawiadomiłem. Możesz przystąpić do akcji.
- Wspaniale.
- Nie jestem taki zadowolony jak ty, czuję, że to nic nie zmieni. -- To się okaże.
- No to powodzenia, generale!
- Dziękuję. Postaram się zrealizować plan.
- Oby ci się udało.
- Bii!

46.

Trawy uschły już niemal całkowicie. To przykre, oglądać liściowniki zasuszone jak w zielniku. Szablowate klingi pomarszczyły się i zwinęły w komiczne trąbki. Owoce spadały istnym gradem, dojrzałe, jeszcze jędrne i pożywne. Na polach kombajny kończyły już zbiory. Tyraliery tych smoków pracujące dzień i noc w coraz większych ilościach zjeżdżały do baz. Rozpoczął się okres najadania się po dziurki w nosie. Codziennie rósł tłum w stołowniach. Przy stolikach, zarezerwowanych aż do zimy, grupy przyjaciół lub współpracowników spędzały coraz więcej czasu, u zenitu stołownie były pełne niemal bez przerwy przez całą dobę. Liczył się jedynie pokarm i sen. Sen krótki, raczej drzemka, jak przez wiosnę i lato, lecz uczyły nawet i całodzienne. Nad miastem pojawiły się klucze motyli, które jako pierwsze zmierzały ku ciepłym grotom. Raz były to wielkie, talerzowate równikomodliszki, kiedy indziej niepozorne białawki, przemierzające w wędrówce do swoich zimowych leż niemal cały Kontynent. Spichlerze pęczniały od ziarna gromadzonego na przyszłoroczne siewy. Wzdłuż ulic jak grzyby po deszczu wyrastały dziesiątki straganów zawałonych owocami i warzywami we wszystkich kolorach tęczy. Wizja niemal bez przerwy nadawała apetyczne reklamówki, instytucje i mieszkańcy przystępowali do zabezpieczania budynków na zimę tak, by przetrwały huragany i mrozy. Przekupki zachęcały do kupowania gorących kaczanów, których rubinowe końce wystawały z parujących kotłów. Chwilami zawiewał już silny wiatr. Przymrozki dochodzące do 290° ścinały nocą ostatnie wegetujące rośliny. Proces zamierania życia gwałtownie przybierał na sile. Zwierzęta przystępowywały do obżarstwa, nie płosząc się przed podglądającymi je ludźmi. Najadanie się przybierało charakter wesołej, wspólnej zabawy, z życiowej konieczności robił się radosny obrządek. Na brązowe, pobrużdżone pola wyjeżdżały pługowniki, obracając zużytą glebę olbrzymimi lemieszami. Pracowali już tylko ci najniezbędniejsi.

Mask stał w oknie niewielkiego mieszkania Trzynastki w dzielnicy Proolerat i obserwował ulicę. Wolał nie wychodzić bez potrzeby. Już dwa tygodnie spędził w tym dobrowolnym więzieniu, jeszcze raz zastanawiając się nad wszystkim. Doskwierał mu dokuczliwy głód. Co prawda Trzynastka i Nanna, oraz poinformowana przez nich o sytuacji Wlora dostarczyli mu pożywienia, ile tylko mogli, jednak było to o wiele za mało. Mask nie zgłosił się po swoje karnety w obawie przed rozpoznaniem, a nawet największe oszczędności nie pozwoliłyby w tym dziwnym okresie na zaspokojenie potrzeb. Apetyt wzrastał kolosalnie, biesiadnicy co dnia przesuwali dziurki w swych paskach, pęcznieli i zaokrąglali się w oczach. Niektórzy przybrali już na wadze trzykrotnie.

Mask patrzył na nadciągające chmury. Chyba już ostatnie kolorowe chmury w tym roku. Czuł, jak gwałtownie przyspiesza mu tętno. To szła ostatnia elektryczna burza, zasnuwając miasto upiornym, różanozłotym poblaskiem.

47.

"To montador! Czy znasz go? Ma smak jabłek i wiosennej trzciny! Lubisz montadory? Patrz na stragany POKARMNIKA! Patrz, jak lśnią pasiaste płaszcze montadorów! Ze skórki zupa, z soczystego mięszu deser, z pestek kompoty, lodygi jako pełnowartościowe drugie danie! Cóż za cudowna roślina! Tylko POKARMNIK sprowadza ją dla ciebie do Grin Krong jesienią!"

"Mam problem" powiedziała pierwsza pani do drugiej. "Nie wiem, czy kupić nową suknię, ta już pęka w szwach". "Nie przejmuj się, moja droga, ja miałam ten sam problem w zeszłym roku i wiesz, co zrobiłam?" powiedziała druga.

"Nie mam pojęcia" -- skarżyła się pierwsza. "Oddałam suknię do przeróbki w zakładzie usługowym "Szerszy niż Dłuższy", a pieniądze przeznaczyłam na zakup nordyjskich melonów" -- zachwyciła się nad sobą druga pani. "To wspaniałe" -- wykrzyknęła pierwsza. "Punkty usługowe Szerszy niż Dłuższy są rozmieszczone w całym mieście, po trzy w dzielnicy! Terminy jednodniowe!" -- krzyczała druga. "I do tego będę jeszcze miała pieniądze na melony!" -- wrzeszczała pierwsza. "I na montadory firmy POKARMNIK" -- wydierała się druga.

Mask wyłączył wizję.

48.

Czarny bus, który zajechał pod odrapaną kamienicę przy Linii Brunatnej wyrzucił z wnętrza dwóch mężczyzn w lustrzanych okularach. Niższy z nich, w owiniętym wokół szyi szaliku, dźwigał podłużny pokrowiec, wyższy, w ciepłej czapce naciągniętej na uszy i grubych rękawicach, przytupywał niespokojnie. Dzień był wyjątkowo chłodny, właściwie był to już pierwszy podmuch zimy. Mężczyzna z futerałem rozejrzał się, jakby niezdecydowany, w którą stronę ma iść, po czym wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenie ze swym towarzyszem, przeciął skosem ulicę i wszedł do ponurej sieni. Wyższy podążył za nim. Po skrzypiących i chwiejnych schodach wdrapali się na ostatnie piętro. Wyższy wyszperał z kieszeni pęk kluczy i bez problemu otworzył drzwi na strych. Przez klapę wydostali się na dach. Dach nie był specjalnie spadzisty i po obu stronach zabezpieczały go balustrady z metalowych prętów. Podczas gdy wyższy rozglądał się po dachu, niższy rozsunął błyskawiczny zamek pokrowca. W szparze błysnęła oksydowana lufa i okular precyzyjnej lunetki. Z bocznej kieszeni, futerału mężczyzna wyjął tłumik i spokojnym, systematycznym ruchem wkręcił go na lufę. Wyższy zakończył lustrację okolicy, po czym gestem wskazał metalową barierkę. Obaj podeszli do skraju dachu i ostrożnie nachylili się nad kanałem ulicy. Wyższy wskazał okna budynku po przeciwnej stronie. Jego towarzysz kiwnął głową ze zrozumieniem i powrócił na środek dachu. Wypróbował jeszcze przyczepność podeszew do śliskiej blachy i podniósłszy karabin podszedł do najbliższego komina. Był stąd doskonały widok na interesujące go okna. Wyższy tymczasem usiadł obok i zaciągnął się dymem z fajki. Mężczyzna w szaliku utkwiał wzrok w lunecie i czekał nieruchomo.

49.

Gdy Mask się obudził, było już szaro. Sięgnął do wyłącznika nocnej lampki i uniósł się na łokciach. Usłyszał tylko dźwięk tłuczonego szkła i świst tuż koło ucha. Pocisk zarył w ścianę, obrywając kawał tynku. Mask rozpląszczył się na łóżku jak żaba, lecz następny pocisk drąc prześcieradło tuż u jego stóp zmusił go do opuszczenia tej niepewnej kryjówki. Stoczył się na podłogę i usiłował jak najszybciej podczołgać się do okna, gdzie miałby najpewniejszą osłonę. Trzeci pocisk osmalił mu grzbiet, powstrzymując jego marsz ku ścianie. Pot wystąpił Maskowi na czoło, poczuł, że cały jest mokry i drży. Przyszło mu do głowy, że następny strzał rozłupie mu czaszkę, lecz strzelec jakby na chwilę przerwał. Mask zerwał się i dopadł muru pod parapetem w chwili, gdy następny świst rozcinał powietrze. Zapadła cisza. Może dadzą sobie spokój -- pomyślał.-- Przecież nie mogą tam siedzieć w nieskończoność. Chyba już ktoś zauważył strzelaninę i dał znać, gdzie trzeba. W tej sekundzie zadrżała ściana, pod którą się ukrywał. Odskoczył, zapominając, że nie wolno mu wstawać. W miejscu, gdzie przed chwilą znajdowały się jego plecy rozżarzony pocisk prześwidrował mur i wyrwawszy się z niego podążył ku następnej przeszkodzie jak płonący owad, zatapiając się w niej po dalszym ułamku sekundy. Oczy Maska rozszerzyło przerażenie. Na oślep rzucił się ku drzwiom wyjściowym. Nie myślał już o niczym, chciał tylko czym prędzej opuścić to pomieszczenie. Usłyszał jeszcze jedno bzyknięcie, zanim wypadł na korytarz budynku. Zbiegł w dół po trzy stopnie. Usłyszał wycie syren. Zatrzymał się przylepiony do ściany, ciężko dysząc. Przed domem z piskiem hamowały busy OOSS, błyskając żółtymi reflektorami. Rozległy się krzyki, a potem salwa. Trzy krótkie serie i parę pojedynczych strzałów. Zamknięta do tej pory brama otwarła się i do sieni wszedł inspektor z kilkoma ludźmi.

-- Co pan tu robi w tej piźniamie? -- spytał Maska, zatrzymując się w pół drogi ku schodom.

-- To... to do mnie... do mnie strzelano! -- wyjąkał zaszokowany Mask.

Inspektor kiwnął na swoich ludzi, którzy byli już na półpiętrze.

-- Nie leżcie tam! Mamy go! -- zawołał, a do Maska powiedział: -- Miał pan szczęście.

Zdążyliśmy w ostatniej chwili. Gdyby pan tak wyskoczył tą bramą... no, no... Musimy pana zabrać, spisujemy, protokół i zobaczymy, co dalej.

Popchnął Maska ku otwartej bramie. Gdy wychodzili na ulicę, ujrzeli odjeżdżający właśnie ambulans ze zwłokami dwóch mężczyzn, z których jeden był strzelcem wyborowym.

50.

Przesłuchania na komisariacie wlokły się ślamazarnie. A jeszcze, gdy się dowiedzieli, że nie odebrał karnetów!

-- Dlaczego nie odebrał pan karnetów, Mask? -- pytał go otyły już porządnie inspektor.

-- A jest taki obowiązek? -- odpowiedział Mask naiwnym pytaniem.

-- No, niby nie, ale przecież narażał się pan na groźbę głodu. A może stać pana na samodzielne wyżywienie?

-- Może.

-- W takim razie powinien pan udokumentować źródło tak wielkich dochodów. Mask zdenerwował się.

-- Czy ja jestem do cholery oskarżonym, czy też ofiarą napaści?!

-- Oczywiście, że ofiarą -- inspektor ani na chwilę nie tracił zimnej krwi. -- Ale może pan chyba poinformować nas o różnych okolicznościach, które mogłyby wyjaśnić motyw tej napaści?

-- Co tu mają do rzeczy moje dochody?

-- Motywem napadu mógł być rabunek, spadek po panu czy coś takiego, skoro jest pan tak bogaty...

-- W porządku -- przestał się upierać Mask.

-- Nie jestem taki bogaty. -- Biolog był już bardzo zmęczony. Odkąd lekarze wyprowadzili go z szoku czuł się tylko zmęczony. Zmęczony i głodny.

-- Więc musiał pan cierpieć na niedożywienie -- kontynuował spokojnie inspektor. --. Sam pan się skazał na głód? Na to nieszczęście, z którym tyle. lat walczyliśmy? Nie chce pan korzystać z naszych socjalnych zdobyczy? Przecież nasi przodkowie stawili niejedne dziesiątki lat nad stworzeniem systemu karnetów pokarmowych! Przedtem tysiące wyrobników zależne były od ziemskich potentatów, którzy skupiali w swym ręku handel żywnością i uzależniali od siebie biedaków! Zagarniali majątki, spekulowali, tworzyli własne gwardie, które rozprawiły się z nieposłusznymi...

-- Wiem, wiem -- przerwał Mask zniecierpliwiony. -- Tych wspaniałych wykładów słuchałem już w Powychu i szalenie mnie cieszą nasze zdobycze socjalne. Ja tylko chciałem przeprowadzić na sobie mały eksperyment -- palnął pierwsze kłamstwo, jakie mu przyszło do głowy.

-- A może... -- inspektor zawahał się. -- Nie jedliście z innych powodów?

-- Jakich?

-- Na przykład... -- ważył słowa -- religijnych? Wie pan, że są takie sekty...

-- Tak -- nie pozwolił mu zacząć następnego wykładu Mask. -- Wiem. Zwłaszcza o Sekcie Śnieżnej, której, jak się orientuję, Oddziały Ochrony szczególnie nie lubią.

-- Co to znaczy: nie lubią? -- wpadł mu. w słowo inspektor. -- Oddziały Ochrony to nie panienki na wakacjach czy niejadki w Powychu, żeby sobie lubili albo nie lubili. W każdym wypadku kierujemy się wyłącznie interesem ogólnym i to, że ścigamy członków Sekty Śnieżnej jest takim interesem poddyktowane.

-- I usprawiedliwione? -- spytał Mask sarkastycznie.

-- Inspektor zmierzył go niechętnym spojrzeniem.

-- A skoro już o Sekcie -- rzekł opanowanym głosem -- to znane nam są pańskie kontakty z tą organizacją "religijną".

-- Raczej usiłowanie kontaktu.

-- Właśnie. Coś panu powiem. Skoro nie jest pan członkiem Sekty, skoro nie ma pan tyle pieniędzy, żeby się samemu wyżywić to tylko jedno przychodzi mi do głowy!

-- Cóż takiego? -- spytał Mask z ironią.

-- Będziemy musieli zrobić panu test. Test na aspaniactwo! Nie widzę innego wyjścia! -- zakończył inspektor triumfalnie..

-- Inspektorze -- powiedział Mask, podnosząc się z krzesła. -- Nie wiem czemu, ale ciągle mam wrażenie, że to ja jestem aresztowany, a nie sprawcy zamachu!

-- Ma pan rację tyle, że oni nie mogli zostać aresztowani, gdyż zostali zabici na miejscu. A od pana usiłujemy po prostu dowiedzieć się czegoś bliższego na temat tej mętnej historii.

W tym momencie zadzwonił telefon. Inspektor przez kilka minut, przytakiwał monosylabami do słuchawki, a po skończonej rozmowie powiedział:

-- No, jest pan wolny. Wszystko się wyjaśniło. To oni byli z Sekty Śnieżnej. Może pan odejść.

Mask przekroczył próg Komendy. Kiszki przewracały mu się z głodu.. Nie uszedł nawet trzech kroków, gdy przyczepił się do niego jakiś czarnogłowy. Mask usiłował odejść, mimo że wyraźnie usłyszał skierowane do siebie pytanie:

-- Rozumny Mask?

Biolog szarpnął rękaw, przytrzymywany przez tamtego, ale obcy nie dawał za wygraną. Mask nie miał nawet siły żeby porządnie go skłąć.

-- Zgadza się -- westchnął zrezygowany.

-- Nie będę się przedstawiał -- odrzekł na to czarnogłowy. -- Pan Prezydent chciałby z tobą rozmawiać. Mam nadzieję, że nie odmówisz mu tej przyjemności. Zaprasza cię na wspólny posiłek.

-- A mogę odmówić?

-- Oczywiście -- powiedział człowiek z uśmiechem i zaraz dodał. -- Ale obawiam się, że Prezydent nie mógłby tego przeboleć.

Ostatnie wydarzenia nauczyły Maskę prawidłowego interpretowania takich uwag. Bez słowa już zawrócił ku czarnemu busowi, wskazywanemu przez obcego. Czarne myśli rozpraszała nieco nadzieja na porządną ucztę.

51.

-- Rozmawiamy już od godziny -- stwierdził Prezydent pociągając kolejny łyk napoju. -- A ja nie pomyślałem o pańskim żołądku. Sam zaczynam już odczuwać głód. Może przejdziemy do jadalni, gdzie dadzą nam posiłek godny dwóch takich wielkich indywidualności, które wydała ziemia.

Przenieśli się do sąsiedniej marmurowej sali, której przepych mógł równać się tylko z bogactwem pałacowej jadalni cesarza Gadyana VIII. Kandelabr słał na zastawiony srebrnymi półmiskami stół tęczę rozszczepionych przez diamentowe kryształki promieni.

-- Siadaj i nie krępuj się -- zaprosił Prezydent. -- Myślę, że chwilę pogawędzimy przy tym stole.

Mask jeszcze dobrze nie usiadł, a już zabrał się do jedzenia. Zauważył pobłażliwy uśmiech Prezydenta, a nawet, jak mu się zdawało, obsługujących kelnerów. Był jednak tak głodny, że nie przejmował się tym; Napchał pełne usta kleistego kaszaku i zagryzł główką sałaty. Cała sytuacja, w jakiej się znalazł, i nic dobrego nie wróżące okoliczności owej wizyty zeszyły na plan dalszy. Ważny był tylko stół, błyszczący, bogaty, zastawiony kuszącymi owocami o zamszowych skórkach i jarzynami lśniącymi jak polakierowane. Gdy zaspokoił już pierwszy głód, nabrał pełną garść drobniutkich, granatowych jagód, wyspał je do ust i odchylił się w fotelu.

-- Mam nadzieję, że ci smakuje -- przerwał długie milczenie Prezydent i pociągnął tęgi łyk źródlanej wody z karafki o długiej, rzeźbionej szyjce.

-- Och, tak -- odparł Mask i sięgnął po jeszcze jedną porcję jagód.

-- Więc myślę, że teraz dojdziemy wreszcie do porozumienia. Mówią, że wspólny jesienny posiłek wiąże ludzi.

Mask przestał jeść i słuchał uważnie, czując, jak powraca poprzednie napięcie.

-- Coś w tym chyba jest -- kontynuował Prezydent. -- Czuję, że zostaniemy przyjaciółmi. Jak będzie?

-- Czemu nie -- wzruszył Mask ramionami.

-- No to napisz ten wzór, choćby na tej serwecie, -- Prezydent skinął na kelnera, który natychmiast podbiegł z długopisem.

Mask poczuł dziką satysfakcję. Kto wie, czy nie uległby pokusie, by móc spożyć do końca ten wspaniały posiłek, by spożywać takie uczyty już każdej jesieni, by czuć się wreszcie bezpiecznie i spokojnie. Kto wie, czy nie załamałby się, gdyby mógł.

-- Bardzo chciałbym panu Prezydentowi pomóc -- stwierdził z żalem. -- Ale, niestety, nie potrafię. Ten wzór wyleciał mi jakoś z pamięci. Nie bardzo nawet wiem, jak to się stało, że wynalazłem aspanol, z czego i po co.

Prezydent zaśmiał się nerwowo, jego tłuściutka twarz z małymi oczkami pociemniała.

-- Wiem, że ty się lubisz targować Ale już nie musisz. Zapewniam cię, że otrzymasz wszystko to, co mam ja. Jestem gotów nawet zrezygnować ze swojego stanowiska. Ty będziesz Prezydentem. Czy to ci też nie odpowiada?

Mask zaniemówił z wrażenia. Nie spodziewał się takiej propozycji i stwierdził w duchu, że Prezydent oszalał. Zaraz jednak przyszło opamiętanie. Przecież być Prezydentem to nic nie znaczy. Nie utrzyma się ani przez jedną kadencję, nie przeprowadzi ani jednej reformy bez poparcia całej tej zgrai, na której poparcie nie mógł liczyć.

-- Nie chcę być Prezydentem -- powiedział spokojnie. -- Nie chcę być Wszechwiedzącym. Chcę, żebyście mi dali święty spokój.

-- Chyba żartujesz -- roześmiał się Prezydent.

-- Nie.

Wszzechwiedzący cisnął na podłogę zerwaną z szyi serwetę.

-- Zaczynasz mnie denerwować, Mask -- rzekł zduszonym głosem. -- Czego ty właściwie chcesz? Nie spodziewasz się chyba, że oddamy ci absolutną władzę w państwie, albo że inni oddadzą ci władzę na Kontynencie?! Przecież to ty sam specjalnie wybrałeś Lorta, żeby nas tym sposobem zawiadomić o swoim odkryciu! Ciągłe nie odpowiada ci cena?!

-- Chciałem was zawiadomić, ale czy dlatego, by sprzedać wam mój wynalazek?

-- W takim razie oszalałeś. Rzuciłeś wyzwanie naszej Kaście, Państwu, władzy! Nie żartuj, bo to się może źle skończyć. Bądź rozsądny i przyjmij naszą cenę. Tytuł Wszzechwiedzącego i członka Rady. Jeżeli chcesz, nawet Prezydenta. Tylko oddaj nam swój wynalazek.

-- Nie -- odpowiedział Mask po raz setny.

-- Czy muszę apelować do twego sumienia, jako obywatela Ultramaru? Zrozum, że nasze państwo potrzebuje tego wynalazku, jak nikt inny. Aspanol pozwoliłby Ultramarowi stać się znowu potęgą! Taką jak było Cesarstwo Równikowe Ultramaru! Zapanowalibyśmy nad Kontynentem!

-- Jak pan zamierza tego dokonać? -- zapytał Mask ciekawie.

-- Jak? Oddziały naszej armii, zaopatrzone w aspanol, bardzo łatwo opanują newralgiczne punkty wrogich mocarstw. Skafandry nie stanowią problemu, zresztą ma je każde laboratorium na jakim takim poziomie. Wyobrażasz to sobie?!

-- Tego się właśnie obawiałem -- stwierdził Mask z westchnieniem.

Nie był już głodny. Pił zimną wodę i przyglądał się rozjarzonemu kandelabrowi.

-- Macie gdzieś te. traktaty, o które tak zabiegaliście i które zostały w końcu podpisane przez wszystkie narody? -- na pół stwierdził, na pół zapytał Mask.

-- Jakie traktaty?

-- Te o nienaruszalności spokojnego snu.

-- Ach... -- Prezydent zawiesił głos. -- A któż będzie mógł nam zarzucić, że naruszyliśmy traktaty, skoro zapanujemy nad wszystkimi?

-- Właśnie. Zwycięzców się nie sędzi, prawda? Wie pan co, panie Prezydencie -- stwierdził Mask wstając. --Nie mamy o czym mówić. Pozwolę sobie opuścić pana.

Prezydent przez chwilę milczał, wpatrując się w twarz swego rozmówcy, po czym nacisnął dzwonek, znajdujący się w rogu stołu.

-- Mask, pojedziesz teraz do naszych laboratoriów -- rzekł łagodnym tonem. -- Spotkasz się tam z Generałem Passatem. On powinien cię przekonać.

-- Nigdzie nie pojedę! -- krzyknął Mask. -- Nie interesują mnie wasze doświadczenia! Nie będę dyskutował już z żadnym generałem. Dosyć się nagadaliśmy!

-- Zamknij się! -- Prezydent diametralnie odmienił ton, a jego twarz zrobiła się niemal sina. -- Nie do ciebie należy podejmowanie decyzji. Wydałem rozkaz i wykonasz go natychmiast!! Moje wszystkie dotychczasowe propozycje możesz uważać za niebyłe! Teraz inaczej z tobą porozmawiamy! Będziesz jeszcze błagał o śmierć. Rozumny!!

Dwa typy, które wpadły do sali, wykręciły Maskowi ręce. Biolog był tak zaskoczony, że nawet się nie bronił. Chociaż po prawdzie nie mógł się przecież spodziewać innego obrotu sprawy. Od dawna dobrze wiedział, że skoro już dostaną go w swoje ręce, to nie wypuszczą tak łatwo. Dwaj goryle wywlekli go z pokoju i popchnęli schodami w dół. Z parteru cichobieżną windą zjechali do głębokich podziemi, Płaski, ruchomy korytarz zawiódł ich przed stalowe wrota, które rozbłysły czerwonymi lampami, gdy chodnik zatrzymał się przed nimi, Jeden z

eskortujących Maska facetów zszedł z ruchomego pasa i powiedział coś do zainstalowanego przy framudze mikrofonu. Światła zapłonęły zielenią i brama, złożona z płyt zbrojonej stali i żelbetu, rozsunęła się z metalicznym łomotem. Za progiem stało trzech żołnierzy w dopasowanych, zielonkawych mundurach, z gołymi głowami. Sufit długiego korytarza, który zaczynał się za drzwiami, jarzył się białym światłem. Blask ten miał imitować światło dzienne, lecz powodował tylko tyle, że twarze ludzi otaczających Maska wyglądały upiornie, jakby wszyscy tutaj padli ofiara śmiertelnej epidemii.

-- Może Prezydent trochę przesadził? Może chciał cię postraszyć i postraszył za bardzo?

Generał Passat był człowiekiem zaskakująco młodym. Mask wyobrażał sobie, że ujrzy nalanego starca o przekrwionych oczach, tymczasem Passat nie przekroczył chyba jeszcze trzydziestki. Kręcił się po pokoju, w którym zostawiono Maskę, jakby ani chwili nie mógł usiedzieć na miejscu.

-- Nie jest tak źle -- ciągnął. -- Jeszcze możemy dojść do porozumienia. Ja nie jestem zwolennikiem takich metod, jak Doom. Moim zdaniem na to zawsze jest czas -- przerwał dla nabrania oddechu. -- Najpierw obejrzymy sobie wspólnie nasz instytut. Słyszałeś chyba o Sekcji Aspaniaków?

-- Nic konkretnego. Chyba same plotki -- odezwał się. wreszcie Mask, podnosząc głowę. Do tej pory patrzył w podłogę i udawał, że nie słyszy.

-- Plotki, mówisz... -- perorował dalej Passat. -- Więc zobaczysz, jak to naprawdę wygląda. Mamy aspaniaków, którzy żyją tu nawet od dwunastu lat! W tym roku umarł najstarszy, AB 8. Chciałbym zdjąć ci kajdanki, ale nie wiem, czy mogę ci zaufać -- zmienił nagle temat.

-- Przecież i tak daleko nie ucieknę.

-- Prawda, ale szkód mógłbyś narobić, kto wie?

-- Mnie już, i tak wszystko jedno, generale -- odparł Mask zrezygnowany.

-- Świetnie -- ucieszył się Passat. Wyciągnął z kieszeni kluczyk i wyswobodził przeguby więźnia z uścisku. Gdy nachylał się nad Maskiem, wyszeptał ledwie dosłyszalnie:

-- Spotkamy się w nocy.

Mask chciał coś odpowiedzieć, ale w porę przypomniał sobie o podsłuchu i kamerach, które z pewnością ich śledziły.

-- No to chodźmy -- powiedział już normalnym tonem generał.

Wyszli na ten sam, jaskrawo oświetlony korytarz, którego chropowate ściany przypominały, że znajdują się w podziemiach. Podłoga wyłożona była połamanymi, białymi kafelkami. Mask zadrżał lekko i Passat to zauważył.

-- Zimno tutaj. To dlatego, że dzisiaj robimy generalne wietrzenie -- wyjaśnił. -- Jesteśmy ponad pół kilometra pod ziemią. Aparatura utrzymuje temperaturę i wilgotność na mniej więcej stałym poziomie, ale że obieg powietrza jest zamknięty, od czasu do czasu musimy wietrzyć. -- Skręcili w boczną odnogę korytarza, zakończoną grubymi metalowymi drzwiami z całym systemem zasuw i śrub. Przed drzwiami stał wartownik. Passat wyszeptał mu hasło do ucha. Tamten zasalutował i odstąpił na bok. Generał zwolnił zasuwę i drzwi rozwarły się z chrzęstem. Za nimi rozciągało się pomieszczenie zupełnie niepodobne do poprzednich. Nie przypominało ani bunkra, ani piwnicy. Szli korytarzem szerokości porządnej ulicy, wyłożonym miękkim, krótko przystrzyżonym dywanem, który doskonale tłumiał kroki. Granatowa barwa kobierca odbijała się w lustrzanym suficie. Po obu stronach, za przeszklonymi ścianami, znajdowały się sale zastawione aparaturą, której Mask nie widział nigdy w życiu. Na styku ścian i sufitu biegł szereg lamp, ślących przez skomplikowane filtry dziwne, złotawo-różowe światło.

-- Ta część gmachu -- przerwał milczenie generał -- to sekcja A. Idziemy właśnie wzdłuż laboratoriów pomocniczych. Im bliżej będziemy centrum sekcji, gdzie znajdują się pomieszczenia aspaniaków, tym wyższa będzie temperatura.

Rzeczywiście, już od chwili Maskowi było coraz duszniej. Za szklanymi ścianami wrzała praca. Ludzie w białych kitlach kręcili się między przewodami, różnobarwne węże podrygiwały spazmatycznie, tykały czujniki, buczały kondensatory, korytarz wypełniał zapach rozgrzanych

kabli.

-- Co ci ludzie tutaj robią? -- spytał Mask.

-- To mało ważne -- machnął ręką Passat. Korytarz skończył się, by przejść w dwa rozwidlone, wąskie tunele, również przejrzyste.

Mask ze zdziwieniem dostrzegł przez jedną z wielkich szyb salę operacyjną. Chirurg pochylony nad rozkrwawioną raną mówił coś do młodego, wysokiego asystenta, słuchającego z uwagą. Mask widział tylko ruch ust lekarza.

-- Ściany są przezroczyste dla łatwiejszej kontroli -- powiedział nie pytany o nic Passat.

-- W tych czarnych otworkach umieszczone są kamery. Obserwują cały ciąg laboratoriów. To jest olbrzymia sekcja. Co wiesz o aspaniakach? -- zmienił nagle temat. -- Pewnie się nimi interesowałeś, skoro w końcu wymyśliłeś aspanol?

Generał przystanął, Mask także. Passat pokręcił głową z podziwem i znowu ruszył z miejsca.

-- Jak ty to zrobiłeś? -- mówił raczej do siebie, niż do biologa, sunąc dalej korytarzem.

Zbliżyli się do dwuskrzydłowych, szklanych drzwi, widocznych tylko dzięki pulsującym na zielono obramowaniem. Przejrzyste płaszczyzny rozsunięły się automatycznie, wpuszczając ich do środka i zaraz zasunęły z cichym sykiem. Byli jakby na okrągłym wybiegu, z którego promieniście odchodziły szeregi wyjść. Passat skierował się do najbliższych drzwi. Mask wszedł za nim, czując, jak serce wali mu gwałtownie, a twarz pokrywa się nienaturalnymi wypiekami. Nie był psychicznie przygotowany -- na spotkanie z aspaniakami. Właściwie chwilami nawet wątpił w ich istnienie. Nigdy w życiu przecież nie spotkał się z kimś takim. Selekcja odbywała się już w najniższych oddziałach Powychu, skąd nienormalnie rozwijające się dzieci kierowano do grup specjalnych. Przekazy historyczne? Cóż, to tylko słowa. Trudno było sobie na ich podstawie wyobrazić to niesamowite zjawisko. Aspaniaków traktowano tak, jak baśniowe krasnoludki, może tylko groźniejsze, gdyż podobno czynili niezłe spustoszenia, gdy udało im się przetrwać pierwszą zimę. Byli legendą i Maskowi mocniej załomotało serce, gdy Passat powiedział:

-- Jesteśmy na. miejscu -- i stanął z boku, by odsłonić mu widok.

Biolog z rozpędu postąpił jeszcze krok do przodu i bezwiednie oparł się rękami o przezroczystą ścianę. Prawie przestał oddychać. Za szklaną płaszczyzną widniało wewnątrz mniej więcej normalnego mieszkania. Duży pokój, a obok kuchnia. Na niskim tapczanie siedziała para aspaniaków. Byli olbrzymi. Mężczyzna liczył chyba z metr dziewięćdziesiąt, kobieta około metra siedemdziesiąt. Oboje byli bardzo szczupli, tak szczupli, że wydawało się niemożliwe, aby mogły ich utrzymać tak wychudzone i wyciągnięte w górę konstrukcje. Mężczyzna miał bardzo jasną skórę, porośniętą dość mocno na głowie, piersiach, pod pachami i w dole brzucha czarnym włosiem. Kobieta była prawie nieowłosiona i równie jasnoskóra. Oboje mieli niesamowite, wąskie oczy o migdałowym kształcie, z nieprawdopodobnie błękitnymi tęczęwkami, Kobieta miała długie, złotawe włosy, opadające aż na chude plecy. Mask z coraz większym przerażeniem lustrował tę parę. Najmocniejsze jednak wrażenie zrobiły na nim ich usta. Wargi mieli różowe i wąskie, prawie zupełnie nie wypukłe, tak że wyglądały jak przyklejone do twarzy. Mask nie wyobrażał sobie, jak takimi niedorozwiniętymi wargami można chwycić pokarm. Mężczyzna, siedzący na tapczanie, czytał coś w rodzaju gazety, składała się ona z samych obrazków i to czarno-białych. Kobieta leżała, wpatrzona w sufit. Nagle wstała i zbliżyła się do przezroczystej ściany tak, że stała naprzeciw Maska. Wpatrywała się w szklaną płaszczyznę uporczywie, jakby coś w niej dojrzała. Mask odskoczył od ściany jak oparzony. Poczuł na ramieniu dotknięcie ręki generała.

-- Uspokój się -- powiedział Passat -- szyby od tamtej strony są nieprzejrzyste.

-- To potworne! -- wydusił z siebie biolog. -- Okropne!

Gwałtownie odwrócił się od pomieszczenia aspaniaków.

-- Teraz się nie dziwię, że ich zabijano -- krzyknął. -- To przecież nie ludzie! To jakieś potwory zniekształcone nie wiadomo jaką chorobą!

Generał przypatrywał się widowisku za szkłem w milczeniu. Kobieta odeszła od ściany i usiadła z powrotem na tapczanie, wracając do kontemplowania sufitu.

-- Oni nie są chorzy -- odezwał się wreszcie Passat. -- Gdyby to była choroba, dawno już znaleźlibyśmy jej przyczyny i sposoby leczenia. Przeprowadziliśmy tysiące testów, operacji...

Przerwał i zamyślił się.

-- Oni są inni. Po prostu inni niż my -- ciągnął dalej po chwili. -- Genetycznie. To mutanci. Po prostu nie zapadają na zimę w sen. I tyle. Śpią codziennie przez około jedną trzecią doby.

-- Bardzo długo -- stwierdził zaszokowany Mask.

-- To tylko jedna, zasadnicza różnica. A jest ich dużo więcej. Zauważyłeś ich dziwne usta? Wiesz, że oni żywią się nie tylko roślinami?

-- Co?!! -- w Masku aż zakipiało. -- To potworne!!

-- Początkowo próbowaliśmy ich tego oduczyć, ale okazało się, że białko zwierzęce jest im niezbędne do życia. Są w nim aminokwasy, których nasze organizmy nie potrzebują. Oni natomiast muszą dostarczać swemu organizmowi owych aminokwasów i do tego celu służą im te usta. Mają specyficznie skonstruowane zęby, którymi rozrywają i trą kawałki strupieszalnych zwłok. Potrafią nawet zabić żywe zwierzę, żeby je pożreć.

-- Niech pan przestanie -- poprosił Mask, czując wzbierające mdłości.

-- Wyjdźmy stąd-- Passat popchnął Maska w stronę drzwi.

Już w progu biolog obejrzał się za siebie. Kobieta zanurzyła dłoń o długich, szczupłych palcach we włosach, porastających czaszkę aspaniaka. Mask wyobraził sobie, że nie we włosach, lecz w samej czaszce i czym prędzej odwrócił wzrok, jakby bał się ujrzeć strugi krwi bryzgające na ścianę.

-- Po co mi to pan pokazał?! -- krzyczał już na korytarzu.-- Po co miałem oglądać te okropieństwa?! Co to ma wspólnego z aspanolem!

-- Może -- odparł powoli generał. -- Może to pomoże ci podjąć decyzję? Pomyśl, co by się stało, gdyby, oni opanowali Planetę.

-- Przez tysiące lat im się to nie udało!

-- Bo wytworzyliśmy doskonały system eliminacji! Nawet z ksiązek zniknęły rozdziały mówiące o aspaniakach. Społeczeństwo żyje w poczuciu, że nic mu nie zagraża, całą czarną robotę i świadomość niebezpieczeństwa przejęły na siebie Oddziały Ochrony Spokojnego Snu Ale wbrew pozorom wcale nie jesteśmy bezpieczniejsi. Dawniej taki mutant nie miał szans na przeżycie zimy, przetrwali nieliczni, ci, którym wyjątkowe zbiegi okoliczności to umożliwiły. Czy ty wiesz, jakich spustoszeń dokonywali w swoich stadach? Teraz przeżycie nie stanowiłoby już dla nich problemu. Wystarczy, że dobiorą się do skafandrów i magazynów żywności. Potrafią zabijać, Mask. Rozrywają na strzępy chomiki, zające, nawet krowy. Czy chciałbyś spędzić z tą parą najbliższych kilka godzin?

Biolog wzdrygnął się i zimny pot wystąpił mu na czoło. Passat ujął go za ramię i ponownie wprowadził do wnętrza.

-- Popatrz na nich. Może chcesz zaczekać na porę karmienia?

-- Wyjdźmy stąd -- poprosił Mask słabym głosem, obserwując smukłe, jasne postacie snujące się po pokoju.

Generał zaprowadził Maska do małego pomieszczenia, prawie celi. Zostawił mu kilka

godzin do zastanowienia i obficie nakryty stół. Biolog jadł, chociaż zupełnie nie miał apetytu. Instynkt jednak był silniejszy. W trakcie posiłku poczuł tak duże zmęczenie, że spełzł z krzesła na legowisko i zapadł w sen. Prześladowały go koszmary. Śniły mu się ulice Grin Krong pełne jasnoskórych, ogromnych chudzielców, kolebiących się w cienkich taliach. Olbrzymy ścigały przez place i chodniki stada małych, piszczących z przerażenia chomików. Na placu Różowym, zamienionym w wielką stołownię, pożerali je, rozdarte na strzępy...

Zbudziło go szarpanie za rękaw. Otworzył oczy. Nad nim stał generał Passat.

-- Możemy mówić bezpiecznie -- wyszeptał. -- Zerwałem kable systemu podsłuchowego.

-- Kim ty właściwie jesteś? -- dopytywał się Mask, jeszcze nie całkiem rozbudzony.

-- Generał Passat -- przedstawił się Passat. -- A co ty myślałeś?

Roześmiał się i kontynuował:

-- Nie, nie. Nie jestem członkiem żadnej organizacji, ani żadnej dziwacznej sekty, ani przebrany mnichem trawiandzkim, ani tym bardziej Technikiem. Jestem generałem. Po prostu chcę ci pomóc. Inaczej zginiesz tu i przeznaczą cię na pokarm dla aspaniaków.

Mask poczuł, że musi mu zaufać, chcąc czy nie chcąc. Musiał skorzystać z pomocy, wiedział, że w przeciwnym razie nie wyjdzie z tego instytutu. Nie wyjdzie, jeżeli nie zgodzi się na współpracę. A przecież bardzo chciał zobaczyć zimę, sprawdzić swój wynalazek na sobie.

-- Dlaczego chcesz mi pomóc? -- zapytał.

-- Przecież nie za darmo! Zaraz wyjaśnię ci całą sprawę. Otóż postanowiłem przejąć władzę w Ultramarze. Ja sam -- generał Passat. Na pewno nie słyszałeś o zeszłorocznym buncie aspaniaków na naszym Oddziale. Nie udało mi się wtedy przeprowadzić zamachu do końca. Nasze pułapki i automatyczne systemy ochrony okazały się zbyt sprawne. Wtedy właśnie zginął AB 8, którego już od dawna przyuczałem do buntu. Mieli opanować spichlerze i zlikwidować kilka osób, potem bym ich sam wykończył. A teraz znowu nadeszła właściwa chwila. Powiedz sam, czy to nie zrządenie losu? Spadasz mi jak z nieba!

-- Wiesz, że odmówiłem już współpracy dwóm wywiadom, Katastrofistom, Parajowi i Prezydentowi? -- Mask bez skrupowania mówił generałowi "ty".

-- Oczywiście, że wiem. Przecież to na rozkaz Prezydenta znalazłeś się tutaj. Mnie jednak nie odmówisz i powiem ci, dlaczego. Jesteś już po prostu zmęczony, Mask. Wyglodzony i zaszczuty, a stąd nie ma wyjścia. Masz do wyboru śmierć, albo udział w moim planie. Widziałeś aspaniaków. Ci ohydni mutanci, którzy lęgną się z nas samych, są w stanie rozszarpać cię w kilka minut, potrafią też przez kilka dni utrzymywać ofiarę przy życiu, pożerając ją po kawałku, bo zawsze co świeże mięso, to świeże.

Mask poczuł, że nogi robią mu się miękkie. Nie wyobrażał sobie nigdy tak wielkiego okrucieństwa. Na Planecie nie było żadnych przykładów aż tak krwiożerczego postępowania. Nawet ludzie nie nauczyli się dobrze bić, ani zabijać. Te smukłe, wąskookie potwory przerażały go.

-- Tylko tyle masz mi do powiedzenia? -- odezwał się ze sztucznym spokojem po długiej chwili milczenia.

-- Nie. Chcę, żebyś wiedział, do czego zmierzam. Przeprowadzę reformy. Zlikwiduję Kasty, wprowadzę równość, pozbedziemy się obcych wpływów i wreszcie zapanuje sprawiedliwość.

-- Zgoda -- powiedział z rezygnacją Mask. Nie miał innego wyjścia.

53.

-- Dlaczego oddałeś go Passatowi?! -- wrzeszczał Paraj, wściekły.
-- A czemu nie? Passat ma swoje metody i to takie, które przynoszą rezultaty. --
Prezydent nie przejawiał zbytniego zaniepokojenia całą sprawą.
-- A wie pan, Prezydencie -- włączył się Doorn -- że on wypuścił tego Maska? Czy on miał rozkaz i zezwolenie na wywiezienie go z instytutu?
-- Miał rozkaz zdobyć zaufanie więźnia i chyba mu się to udało.
-- To znaczy? -- zapytał z powątpiewaniem Paraj.
-- Doszli do porozumienia. Passat posłał Maska wraz z dwoma swoimi ludźmi po zapis. Oni mają pozwolić mu uciec, ale trzeci będzie go śledził. Mask doprowadzi go do celu.
-- Nie podobają mi się plany Passata -- stwierdził Doorn.
-- Fakt -- powiedział Paraj. -- Passat jest ryzykantem. Jego plany są napięte do ostatnich granic i czasami wręcz szalone. Ale przecież musimy stosować ryzykowne metody, by pokonać sprytnego i upartego przeciwnika. Ty, Doorn, jesteś też dobry, ale na prostych, twardych wrogów. Takich, co to ich trzeba rozłupać jak orzechy, żeby się dostać do jądra. Mask to nie orzech. Dlatego go nie dostałeś.
-- A czym jest Mask? -- Doorn pogardliwie wyduł wargi.
-- Raczej miękką jagodą, z której trzeba delikatnie wybierać pesteczki. Ty, Doorn, nawet nie rozróżniłbyś ich od miąższu.
-- Nie przeczę, że brak mi finezji, jednak moje metody są zawsze skuteczne. A Passat balansuje na krawędzi. Poza tym nie jestem go pewien.
-- Przecież sprawdzaliśmy go wielokrotnie.
-- On jest sprytny. Mogliśmy coś przeoczyć. Małeńki drobiazg, z którego może rozpuścić się lawina.
-- Boisz się go po prostu!
-- Tak.
-- No dobrze -- włączył się milczący de tej pory Paraj. -- Czy masz jakieś podstawy, by się go bać, czy to tylko złe przeczucia?
-- O czym wy w ogóle mówicie?! -- podniósł głos Prezydent.
-- O czym!?! -- rozzłościł się Doorn. -- A zeszłoroczny bunt aspaniaków w jego instytucie? Niby był bez winy, ale kto wie, jak było naprawdę?!
-- Jesteście przeczuleni. Zresztą nie ma się o co kłócić. Musimy być ostrożni, jak zawsze.
-- Prezydent zawiesił głos -- ale tym razem postaramy się dłużej nie spać, choć czuję ogromną senność. Masz, Doorn, jakieś dobre środki na czuwanie?
-- Mam, ale one nie o wiele je przedłuża. Tydzień to góra, oczywiście bez uszczerbku dla zdrowia. Jeden z oddziałów otrzyma środki i zadanie czuwania nad rozwojem wypadków. Moi ludzie mogą przetrwać jakieś dwa tygodnie.
-- Dobrze -- odparł Prezydent. -- Poza tym podstawisz na miejsce tej sfingowanej ucieczki także swojego człowieka, Doorn, i on będzie ich śledził.
-- Cieszę się. Prezydencie, z twojego rozsądku -- rzekł Paraj, wstając. -- Teraz nikomu nie można ufać.

54.

Bus z warkotem sunął przez chłodną noc. Na zaciągniętym chmurami niebie nie świeciła ani jedna gwiazda. Dwaj oficerowie, siedzący po bokach Maska, patrzyli wprost przed siebie, na biały prostokąt rozświetlonej reflektorami jezdni. Pojazd zdążył gdzieś w okolice Amarantowej i Sabbidzkiego Melonika. Unikał głównych ulic i kluczył przecznicami, stale zwalniając i przystając na skrzyżowaniach. Mask ważył w myślach wszystko, co usłyszał od generała Passata i szukał możliwości wybrnięcia z sytuacji. Zanosilo się na decydującą rozgrywkę. Domy, wzdłuż których jechali, sprawiały wrażenie wymarłych. O tym, że ich mieszkańcy jeszcze nie śpią snem zimowym świadczyły odsunięte żaluzje, nie broniące metalowymi płytami dostępu do okien.

Mask wiedział, że jeden z pilnujących go oficerów jest zaufanym człowiekiem Passata. Pamiętał też, na jakiej ulicy powinien wyrwać się strażnikom. Bus miał stanąć obok palarni, przy której znajdowała się zielona brama. Tą bramą można było dotrzeć do sąsiedniej przecznicy. lub przejść wiszącą estakadą nad skrzyżowaniem. Wybór drogi należał do Maska. Skręcili właśnie w tę ulicę. Z daleka świecił już kolorowy szyld palarni. Mask wyjął z rękawa twardą, gumową gruszkę, którą wsunął mu tam Passat. Teraz już wiedział, że przekupiony został oficer siedzący od strony krawężnika. bus nagle zahamował gwałtownie, chcąc uniknąć zderzenia z ruszającym sprzed palarni pojazdem. Mask bez zastanowienia wyszarpnął z rękawa gruszkę. Ujrzał przerażenie w oczach oficera, gdy opuszczał już rękę do ciosu. Mężczyzna osunął się na oparcie fotela. Kierowca, który zauważył wszystko w lusterku, dodał gazu i w tym momencie spadł na jego głowę cios zadany przez drugiego z eskortujących. Zwalił się na kierownicę, przyciskając klakson, który zawył przeciągle. Maskowi mignęła strużka krwi, sącząca się po policzku kierowcy i jednym skokiem znalazł się na zewnątrz.

-- Teraz mnie! -- syknął oficer.

Mask pochylił się do wnętrza pojazdu. Klakson wył, z palarni wyjrzała jakaś zaciekawiona głowa. Trzeba było działać szybko, hałas za chwilę zbudzi pół miasta.

-- Szybciej -- wściekał się szeptem strażnik. Mask zdecydował się, gdy błysnęły lustrzane drzwi palarni. Uderzył, może trochę za mocno i trzasnąwszy drzwiczkami ruszył prosto do zielonej bramy i pognał schodami w górę. Oglądając się, czy nikt go nie ściga, lecz za nim było pusto. Po krętych stopniach dostał się na trzecie piętro, skąd prowadził nadziemny pasaż. Przez przejrzyste ściany estakady widział teraz ulicę. Bus wyglądał z góry jak pluskwa, klakson ryczał. W kilku oknach zapaliły się światła. Noc oblepiała Maska zimną czernią. Pasaż przeszedł w dwie rozwidlające się drogi. Mask skręcił w prawo, w stronę sąsiedniego kwartału budynków. Stamtąd prowadziła na Amarantową droga, prosta i dobrze już znana. Na moment przystanął w małej niszy z telefonem. Wrzucił monetę i gorączkowo nakręcił numer. Długo nikt nie podnosił słuchawki, aż w końcu rozległ się głos Nanny.

-- Tak, słucham.

-- Obudziłem cię? -- wysapał w mikrofon zdyszany.

-- Kto mówi?! -- ożywiła się Nanna. -- Ja, Mask.

-- Rany święte! Co się z tobą działo?! Myśleliśmy, że już po tobie!

-- Słuchaj uważnie, Nanna. Nie mam czasu opowiadać ci teraz co zaszło. W każdym razie uciekłem i muszę natychmiast spotkać się z Trzynastką. Czy on był w swoim mieszkaniu?

-- Właśnie szedł do ciebie, gdy wydarzyła się ta cała chryja. Z daleka widział, jak ładują trupy, a ciebie zabiera patrol. Trzynastka organizował nawet wśród Techników oddział, który mógłby cię może uwolnić, gdyby wieźli cię na jakieś przesłuchanie albo na Wyspę. Baliśmy się,

że cię zamęczą! Zresztą on tu jest. Oddaję mu słuchawkę.

-- Mask! -- usłyszał znajomy głos. -- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że się znalazłeś! Gdzie teraz jesteś?

-- Na rogu Amarantowej. Uciekłem z transportu. Nie mogę więcej mówić!

Mask przerwał, gdyż zdawało mu się, że od strony skrzyżowania dobiega jakiś stukot. W nocnej ciszy, zalegającej miasto, słychać było ten hałas szczególnie wyraźnie.

-- Trzynastka -- rzucił szeptem w mikrofon. -- Spotkamy się w starej fabryce papieru na przedmieściach Satha Sabbi. Znasz to miejsce?

-- Tak.

-- Więc jutro rano o siódmej. Czekaj na mnie, nawet gdybym się spóźnił. Przyjdę na pewno. Kończę, bo ktoś chyba za mną idzie.

Odłożył słuchawkę i głębiej wcisnął się w niszę. Po chwili ostrożne kroki zbliżyły się do słupa, na którym wisiał telefon. Mask niemal wtopił się w ścianę. Czuł, że ktoś czai się zaraz za krawędzią kolumny. Jak mógł najciszej ruszył w tamtą stronę. Ujrzał plecy mężczyzny w grubym płaszczu i naciągniętej na uszy. czapce. Obcy usłyszał go w ostatniej chwili i obrócił ku niemu pucołowatą twarz. Mask uderzył go prosto między oczy. -- Czy aspaniacy są naprawdę tacy okropni? -- pomyślał. -- Mnie to już idzie jak z płatka. Mask bał się, że w najbliższym czasie przyjdzie mu kogoś zabić i nie wiedział, czy okaże się do tego zdolny. Passat, który przygotowywał kryjówkę na zimę dla nich obu, będzie musiał zginąć. Mask był pewien, że generał nie dotrzyma danego mu słowa. Albo on, albo Passat. Taka była alternatywa.

Uderzony mężczyzna zwałił się na bruk z takim łoskotem, jakby pod płaszczem miał ukryty cały arsenał. Mask nie zastanawiając się dłużej ruszył w kierunku Pałacu Snów, na którego zapleczu mieściła się ich melina. Zimowa kryjówka dla niego i generała Passata.

55.

-- Wytłumacz mi, jak to było!! -- ryczał w słuchawkę Prezydent.

-- Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Drogę im zajęchał jakiś prywatny bus i koło palarni musieli zahamować... Załatwił wszystkich trzech naszych ludzi i zbiegł.

-- Przecież miał uciec w innym miejscu!

-- Może mu się coś pomieszało. Wszystko odbyło się zgodnie z planem, tylko że o jedną przecznicę za wcześnie. Może nie wytrzymał nerwowo?

-- No i co teraz będzie?!

-- Przewidziałem i taką możliwość -- odparł spokojnie Passat. -- Na trzech skrzyżowaniach przed planowanym miejscem ucieczki umieściłem swoich ludzi. Jeden z nich go widział. Niestety zgubił trop.

Passat wolał nie informować Prezydenta, że Mask załatwił agenta. Sam był tym zaskoczony i zaczynał mieć wątpliwości, czy przyjął słuszną linię postępowania w stosunku do Maska. Biolog był inteligentnym i odważnym facetem i należało bardziej na niego uważać. Rozgrywka, w której brali udział musi mieć tylko jeden finał. Generał wiedział, że Mask nie może się tego zakończenia domyślić, gdyż. wtedy zacznie walczyć na śmierć i życie, nie mając nic do stracenia.

-- Nie chcę o tym słyszeć! -- wrzasnął Prezydent, przerywając tok myśli Passata. -- Jutro rozpoczyna się Pora Snu! Wszyscy zejdą do Pałacu! Pojutrze chcę go widzieć u siebie!

W przeciwnym razie skończę z tobą. Musisz go znaleźć, Passat, bo jak nie, to sam go znajdę przy pomocy Oddziałów Ochrony, a rozumiesz, co to będzie oznaczać dla ciebie?! Pojutrze obaj macie być u mnie z aspanolem! Inaczej będzie kiepsko! -- Prezydent trzasnął słuchawką, aż zadźwięczał aparat.

W porządku -- pomyślał Passat -- o nic innego mi nie chodziło. Przetrywamy te poszukiwania, a potem, staruszk, kiedy już uśniesz, zrobimy swoje. Ani się obejrzysz, jak twoje miejsce zajmie generał Passat.

56.

Wiatr uderzał odłamanym kawałkiem framugi o mur, powodując regularne, ponure dźwięknięcia. Hala zionęła tą samą rdzawą pustką, którą Mask pamiętał z poprzedniej wizyty. Zakratowane, pozbawione szyb okna wpuszczały niewiele światła, które z trudem przesączało się przez grubą warstwę chmur. Od wczoraj, od momentu ucieczki Maska z wojskowego busu, bez przerwy padał deszcz. Zimne, duże krople z monotonnym łoskotem waliły o blaszane dachy. żaluzje i parapety. Od czasu do czasu mocny podmuch, ciągnący gdzieś od oceanu uderzał zgęszczonym tumanem wodnej zawiesiny ze zdwojoną energią. Mask przemierzał puste hale wsłuchany w swoje kroki i regularny stukot oberwanej framugi, odmierzający czas. Mieszkańcom miasta pozostało do rozpoczęcia Pory Snu kilkanaście godzin. Gdy Mask dotarł do ostatniej hali, ujrzał Trzynastkę, opartego o ścianę. Poznał go właściwie tylko po uśmiechu i znajomym błysku w oczach. Trzynastka przypominał piłkę stojącą na cienkich nóżkach.

-- Wyglądasz kwitnąco -- powitał go Mask.

-- Jak zwykle na zimę. Wiesz, że z trudem tutaj wylazłem? Ważę tyle, że nadaję się już tylko do Pałacu Snów. Ale co z tobą? Masz zamiar kontynuować swój eksperyment?

-- Muszę to zrobić. Przecież nie było doświadczenia na ludziach. Chonuki nie oznaczają jeszcze potwierdzenia.

-- To ryzykowne -- stwierdził Trzynastka.

-- Zawsze jest jakieś ryzyko. Muszę to wypróbować na sobie. Jestem w końcu naukowcem i to mój wynalazek.

-- Uparty jesteś.

-- Owszem -- przyznał Mask.

-- Z trudem uwierzyłem, że udało ci się wyrwać z łap Niewrażliwych.

-- Bo też by mi się i nie udało, gdybym nie był trochę aktorem. Udałem, że przekonały mnie wywody pewnego generała i wypuścił mnie. Trzynastka, teraz musisz mi powiedzieć gdzie jest mój zapis.

Odwrócił się gwałtownie, usłyszawszy za plecami jakieś kroki i szuranie.

-- Nie bój się -- uspokoił go Technik. -- To idzie niespodzianka.

-- Jaka niespodzianka?

-- Zobaczysz. Z daleka nie poznał jej sylwetki. Dopiero gdy podeszła całkiem blisko.

Poruszała się statecznie i w niczym nie przypominała tamtej lekkiej, zwiewnej Wlory, którą spotkał na wiosnę.

-- Cudownie, że przyszłaś -- powiedział cicho, gładząc ją po twarzy.

Patrzyła na niego zatroskana, a uśmiech, który udało jej się przywołać na twarz był bardzo smutny.

-- Co ci jest? -- zapytał.

-- Nic -- wyszeptała -- nie przejmuj się.

-- Przepraszam, że tak długo nie przychodziłem...

-- Wiem, że nie mogłeś. I pewnie nie będziesz już mógł...

-- Wlora, przecież cię prosiłem -- włączył się Trzynastka tonem wyrzutu.

-- Zaraz, zaraz -- przerwał im Mask. -- O co wam chodzi?

-- Widzisz... -- Trzynastka dobierał słowa. -- Ona się martwi, że to ostatnie wasze spotkanie.

-- Nie tylko ja, ty też się martwisz! -- krzyknęła Wlora oskarżycielsko.

-- Co wy opowiadacie? Przecież nie mam zamiaru przypłacać życiem mojego odkrycia!

Spotkamy się na wiosnę. Świta mi w głowie pewien plan. Nie będę wam zdradzał szczegółów, bo nie ma na to czasu. Która godzina? -- spytał nagle Mask.

-- Piętnaście po dziewiątej -- odrzekła Włora ponuro.

-- Za niecałą godzinę rozlegną się syreny. Mamy bardzo niewiele czasu. Trzynastka, gdzie jest mój zapis?!

-- Masz wszyty pod pachę. Mikroskopijne cięcie. Wymazywacz uważał, że tak będzie najlepiej.

-- Co?! -- pod Maskiem ugięły się nogi. -- Cały czas miałem go przy sobie?!

-- Właśnie. Ten wymazywacz to stary konspirator. Wiedział, że nie przyjdzie im do głowy szukać mikrofilmu pod twoją skórą.

-- Jak on to zrobił? Nawet nie czułem, nic mi nie przeszkadzało!

-- Tyleś przecież, jak wszyscy, to nie czułeś. Powinieneś namacać go bez trudu. Jak chwycisz już w palce to wypchnij ku powierzchni skóry. Masz nóż -- Trzynastka wyciągnął z kieszeni niewielki skalpel. -- Wystarczy centymetrowe cięcie, bardzo płytkie.

-- I co dalej?

-- Za pomocą tego urządzenia przekopiujesz zapis na zwykłą taśmę -- rzekł Technik, podając mu aparat wielkości pudełka zapalek i mały magnepter.

-- Co to za urządzenia? -- spytał Mask, obracając w dłoni mniejsze pudełko, -- Mikrofon. Wojsko używa ich powszechnie. Duża oszczędność zapisu no i łatwość, ukrycia. Tutaj podłącza się kabel. A tu masz elektrodę, którą zakładasz za uchem -- wskazał metalową przysawkę. -- Wystarczy jedna noc, żebyś sobie przypomniał wymazane fragmenty. Dla pełnego utrwalenia pamięci potrzebnych jest pięć całonocnych seansów.

-- Teraz nie będę miał już czasu na pełne utrwalenie -- powiedział Mask. -- Chyba dopiero na wiosnę. Spotkamy się po przebudzeniu w Sabbidzkim Meloniku.

-- Tylko wy dwoje -- rzekł Trzynastka.

-- Czemu? -- zdziwił się Mask.

-- Zapominasz, że jestem Technikiem i moje miejsce jest w Proolerat.

W tym momencie zawyły syreny. Słysząc je było z daleka i całkiem z bliska, ich wysoki ton w jednej sekundzie wypełnił przestrzeń. Zalały dźwiękiem tonące w deszczu miasto i zrujnowaną fabrykę papieru.

-- Chyba musimy się rozstać -- powiedział Mask. -- Nie martw się. -- Przygarnął Wlorę do siebie i szepnął jej do ucha: -- Spotkamy się na wiosnę, na pewno, tylko może nie będę miał na imię Mask.

W jej oczach najpierw odbiło się zaskoczenie. a potem błysk zrozumienia. Uśmiechnęła się i w tym uśmiechu była już nadzieja na szczęśliwe zakończenie całej tej awantury. Mask też wierzył, że wszystko musi dobrze się skończyć. Musiał wierzyć. Inaczej nie miał szans na przetrwanie i doskonale o tym wiedział. Pożegnał się z Trzynastką jak z niezawodnym przyjacielem, na którym zawsze można polegać. Stali się takimi przyjaciółmi, choć Mask nigdy nie przypuszczał, że jeden z najbliższych mu ludzi będzie Technikiem.

-- Bii! -- powiedział Trzynastka. Mask patrzył, jak oddalają się ich sylwetki, stąpające ciężko po mokrej posadzce. Zniknęli w perspektywie opuszczonych hal. Pozostał jedynie deszcz, łomot oberwanego żelastwa i wycie syren, które przez osiem godzin będzie rozlegać się nad całym Kontynentem.

Ulice prowadzące na Plac Dobrego Snu zatłoczone były pojazdami i ludźmi. Większość mieszkańców dojeżdżała pod sam Pałac busami Milibutranu. Wyglądało na to, że nagle zakończyły się wszelkie remonty i naprawy taboru. Działały krzeselka, sunące w górę wzdłuż schodów. Fala ludzi, napływająca ku Pałacowi ze wszystkich dzielnic miasta rosła, by po czterech godzinach przybrać rozmiary rwącej rzeki, morza głów, prącego systematycznie do celu.

Mask postanowił przeczekać te osiem godzin w fabryce. Zagłuszał głód, pijąc wodę z dostarczonej mu przez Trzynastkę manierki. Czas dłużył mu się potwornie. Siedział na stosie pogruchotanych maszyn i rozmyślał. Swoją drogą podziwiał zapobiegliwość generała Passata. W ich kryjówce czekała z pewnością wspaniała uczta, od której wizji nie mógł się Mask uwolnić. Wstawał i niezgrabnie chodził z kąta w kąt. Co jakiś czas wystawiał głowę na deszcz i zastanawiał się, czy przyjdzie tu patrol, czy też ominie opuszczoną fabrykę w przekonaniu, że nikt nie mógł przecież zabłąkać się na jej teren. Gdyby nie konieczność czuwania, mógłby przynajmniej odtworzyć sobie zapis. Zżerała go ciekawość, gdzie to też schował wyprodukowany aspanol. Tymczasem na zewnątrz rozszalała się istna ulewa. Gnane wichurą chmury wylewały z siebie tony zimnej, przyprawiającej o dreszcze wody. Mask obawiał się, że w przypadku, gdy znajdą go Niewrażliwi, będzie miał ograniczone możliwości ucieczki. Tusza narastająca od kilkunastu dni zwałami tłuszczu krępowała ruchy. Pocieszał się faktem, że Niewrażliwi też nieźle przytyli w tym czasie i nie mieli nad nim tak wielkiej przewagi. Tyle że kule nie zwolniły biegu z powodu jesiennego żarcia i trudniej będzie przed nimi umknąć. Zastanawiał się, jak dotrzeć do kryjówki, nie narażając się na spotkanie z patrolem. Nie miał pojęcia, jak wygląda sytuacja, gdy wszyscy już śpią, a po mieście krążą tylko specjalne służby, kładące się z tygodniowym opóźnieniem. Nie wiedział, jak dużo jest tych patroli, czy łatwo można ich uniknąć. Był zdany wyłącznie na własny instynkt i metodę prób i błędów.

Wycofał się od okna i usiadłszy z powrotem na kupie żelastwa, podłączył elektrodę. Po chwili spał, oparty o ścianę, a treść zapisu sączyła mu się do ucha.

W mieście pozamykano już wszystkie okiennice. Zaryglowano stalowymi płytami bramy budynków. Do bramy Pałacu biegli już ostatni ludzie. Tłok panował jeszcze tylko u szczytu schodów i w hallu, gdzie ważono się, zwracano karty tożsamości i rozmawiano o nadchodzącej zimie i porze zimowego snu. Żegnali się znajomi, Powychy w równych szeregach zstępowały w podziemia własnymi windami do klasowych spalni. Gdzieś tam, pomiędzy tymi wszystkimi ludźmi Włora oddawała swoją kartę, pobierała blankiet i zjeżdżała w dół sektorową windą, zatłoczoną jak po przebudzeniu.

Mask ocknął się gwałtownie, przerażony, że usnął w takim miejscu. Przecież nie mógł sobie na taką nieostrożność pozwalać. Uspokoił się po chwili, zadowolony, że wie już, gdzie ukrył aspanol. Na szczęście nic złego nie spotkało go w czasie snu. Czuł się bardzo dziwnie. Po raz pierwszy znalazł się poza nawiasem. Po raz pierwszy w tak ostrym konflikcie z normami, które wyznawał od urodzenia. Po raz pierwszy tak bardzo samotny. Poczucie, że nie ma obok niego nikogo, z kim mógłby podzielić się swoimi obawami, kogoś, kto zdjąłby z jego barków choć część ciężaru, podziałało na niego paraliżująco. Mało brakowało, a zrezygnowałby z eksperymentu. Resztką woli powstrzymywał się, by nie zerwać się i nie wybiec. Przecież bramy Pałacu Snów były ciągle jeszcze otwarte.

Nagle zapadła cisza. Ryk syren gwałtownie ustał. W jednej sekundzie zamilkło całe miasto i Mask nie miał już odwrotu. Westchnął ciężko i ruszył ku schodom. Wychodząc z

budynku naciągnął na głowę kaptur. Przed bramą rozglądnął się uważnie i skierował się w stronę definitywnie już zamkniętego Pałacu Snów. podbiegając po kilka kroków. Kryjówka mieściła się w kwadracie starych, krętych, uliczek. stanowiących zaplecze Pałacu, który wraz z gigantycznymi schodami wbudowano w stare miasto, wyburzając tylko to, co konieczne. Przez całą drogę nie spotkał ani jednego Niewrażliwego. Mijał zamknięte na glucho budynki i nie miałby nawet gdzie umknąć, gdyby natknął się na patrol. Tylko raz, już całkiem blisko Placu Dobrego Snu zamajaczyły mu w perspektywie ulicy zakapturzone sylwetki. Przyczał się przy ścianie budynku, na szczęście nie zauważyli go, zajęci innymi sprawami i wściekli z powodu lejącego deszczu. Melina okazała się parterowym budynkiem, pochodzącym chyba z czasów Rycerskich Wypraw Religijnych. Jedno okno i drzwi. Zgodnie z umową stalowe płaszczyzny były tylko przymknięte. Mask rozejrzał się po pustych uliczkach. Domy z zatrzęsniętymi oknami wyglądały jak szeregi grobowców. Uchylił ciężkie skrzydło żelaznych drzwi i wszedł w ciemność. Namacał kontakt. Światło zalało niewielki pokój wyposażony w niezbędne sprzęty: stół, dwa fotele i dwa materace z gąbki pod ścianą. Naprzeciwko drzwi wejściowych, w rogu pokoju, znajdowała się w podłodze kwadratowa kłapa z uchwytem. Mask postanowił zejść na dół nie czekając na Passata i zabezpieczyć się tam, na wypadek, gdyby przyszedł z obstawą. Zdjął buty i z obcasów wyjął paczuszki z aspanolem. Ukrył je za akumulatorem, który znalazł na drugim poziomie podziemi. Czuł dużą senność. Do przyścia Passata pozostało około sześciu godzin, postanowił się zdrzemnąć. Nastawił zegarek i włączył aparat odtwarzający zapis. Przyczepił elektrodę za uchem i przymknął oczy. W luki, pozostałe po wymazaniu, poczęły znów sączyć się dane.

58.

Obudził go dzwonek zegarka. Przetarł oczy z niechęcią. Stanowczo nadszedł właściwy moment, by użyć aspanolu. Odryglował klapę i wygasił światła. Nie spodziewał się raczej po Passacie jakiegoś kawału, ale nie mógł ryzykować. Generał nie miał już czasu na przekonywanie Maski, pozostawało mu zniszczyć biologa, oddalając groźbę i przekreślając możliwość rozszyfrowania tajemnicy, lub współpracować z nim do chwili, gdy stanie się niewygodny i wtedy również go zlikwidować. Mask był potrzebny Passatowi by wyjawić tajemnicę środka i udostępnić go w dawce wystarczającej do przeprowadzenia planu. Passat z kolei był potrzebny Maskowi do poznania metody, dzięki której możliwe jest opanowanie kraju i jego obywateli w czasie ich zimowego snu. Biolog wiedział o istnieniu aparatu kontroli snu, za pomocą którego steruje się śpiącymi, przekazuje im wiedzę i wskazówki, nie miał jednak pojęcia, jak ten system wygląda i gdzie się znajduje jego centrum.

Po kilkunastu minutach usłyszał na górze szuranie i stukoty. W pierwszej chwili wydało mu się, że generał przyszedł z kimś i mocniej ścisnął w dłoni skalpel otrzymany od Trzynastki. Okazało się jednak, że Passat po prostu nucił coś pod nosem, zmierzając do klapy wjazdu.

-- Maask! -- rozległo się po chwili wołanie z wyższego poziomu. -- Jesteś tam?!

Kroki zbliżyły się i w kwadratowym wycięciu zamajaczyły skórzane buty, lśniąca ciemną zielenią naturalnego barwnika.

-- Jestem -- odezwał się Mask, mając już pewność, że wszystko poszło dobrze.

Generał stanął obok i poklepał go po ramieniu.

-- No cóż -- powiedział namaszczonego tonem. -- Witaj, sojuszniku. Teraz jesteśmy skazani na siebie.

-- Zdaję robię z tego sprawę -- odparł Mask.

-- To dobrze. Ufam ci, pamiętaj o tym. -- Ja tobie też.

-- Kiedy to... -- Passat zawahał się -- zażyjemy?

-- Na razie zjedzmy coś, bo padnę z głodu. Porozmawiamy przy stole. Musisz mnie chyba wtajemniczyć w swoje plany?

-- Tak -- odparł Passat w zamyśleniu. -- Oczywiście. Więc przez najbliższe dwa tygodnie musimy tu siedzieć jak trusie. Mam nadzieję, że ci .szubrawcy z Oddziałami Prezydenta na , czele nas tu nie znajdą. Budowałem to gniazdko kilka lat, jest połączone z Pałacem. Zacierałem wszelkie ślady, tych, którzy pomagali mi w tym, dawno wysłałem na Wysoki Szczyt. Białogłowi tam na zewnątrz zmobilizują wszystkie siły, żeby nas odszukać. Całe szczęście, że tylko ich mamy na karku. Udało mi się wywieść w pole oba obce wywiady. Niezły szum wywołało twoje odkrycie, Mask. Myślę, że wszyscy będą się starali jak najdłużej utrzymać pogotowie bojowe.

-- Tak długo, jak pozwoli na to temperatura -- myślał głośno Mask. -- To może potrwać i trzy tygodnie.

-- Nie sądzę -- powiedział generał. -- Jak wiesz, dla przeciętnego organizmu obniżenie temperatury do 285°K powoduje automatyczne zaśnięcie. Specjalnie wytrenowani ludzie mogą wytrzymać jeszcze trzy, cztery stopnie mniej, a środki chemiczne obniżają ten próg o około dziesięć stopni. Jak dotąd temperaturą graniczną było 275°. Podczas Piątej Wojny Soutańskiej pod Czerwonym Krongiem przez trzy dni utrzymywała się taka temperatura. Soutańczycy wytrzymali ją i zdobyli wtedy wielkie obszary Ultramaru. Dokładnie studiowałem statystyki i wynika z nich, że głównie nasze postępy wpływają na wydłużenie okresu czuwania. Ale wynika też niezbita fakt, że temperatura na Planecie nieznacznie, lecz stale się podnosi... Zmniejszają się te kolosalne różnice pomiędzy zimą i latem. Tak, jakby orbita z wydłużonej elipsy stawała się

bardziej kolista.

-- Może była kiedyś kolista i teraz wraca do normy po jakimś zachwianiu. -- stwierdził Mask w zamyśleniu.

-- Co? -- zaśmiał się Passat. -- Ty też jesteś Katastrofistą?

-- Skądże! -- zaprzeczył gwałtownie Mask.

-- Zresztą co to ma za znaczenie. Lepiej zjedźmy coś wreszcie.

-- Świetna myśl. Widziałeś zapasy? -- pytał generał zmierzając ku krańcom obszernej piwnicy. -- Nie zabraknie nam niczego.

Posiłek był rzeczywiście obfity. Jedli ze smakiem rzodkwie i sałaty, Passat postarał się nawet o konserwową rzeżuchę. Od czasu do czasu podnosił się od stołu i przykładając do chropowatej ściany słuchawkę, wsłuchiwał się w odgłosy z zewnątrz. Oddziały jednak chyba nie miały w planie na dzisiaj przeczesywania tego zakamarka.

-- Niedługo nadejdą tajfuny -- powiedział Mask, przeżuując długi ogon pora. -- Może nas zmieść z powierzchni.

-- Mamy tu skafandry -- odparł generał, czyszcząc sobie zęby specjalnym drewnkiem.

-- Poza tym już ci przecież mówiłem, że ten budynek jest połączony z Pałacem systemem wentylacyjnym i ogrzewczym; Stamtąd mamy ciepło i świeże powietrze. W mieście jest kilkaset wylotów wentylacyjnych.

-- Nie przypuszczałem, że będziemy dobierać się do Pałacu.

-- A jak sobie wyobrażałeś tę rewoltę? Przecież tylko przez podłączenie się do urządzeń sterujących snem Wszechwiedzących możemy zmienić zapisy wykładów, którym poddawani są zimą i dzięki temu zdobyć władzę. Kilku co ważniejszych trzeba będzie w ogóle zlikwidować. Nie masz chyba żadnych oporów wewnętrznych?

-- No... nie. Nie wiedziałem, że są osobne systemy dla Wszechwiedzących i dla reszty.

-- He, he! -- roześmiał się Passat. -- Taki Jesteś naiwny? Myślałeś, że wszyscy otrzymują jednakową wiedzę, tylko nie wszyscy potrafią ją sobie przyswoić i stąd podział kastowy, tak?

-- Mniej więcej.

-- Może kiedyś tak było -- generał przestał dłużyć w zębach. -- Od dawna już Wszechwiedzący otrzymują większą wiedzę niż inne kasty. Technikom na przykład nie wyklada się skomplikowanych teorii i zagadnień ekonomicznych czy socjalnych. Po co im to? Tylko powoduje zamieszanie. I tak się stawiają, mimo specjalnych zapisów prewencyjnych, które każdej zimy sączy im się do łbów. Rzecz jasna, że takiego programu nie można aplikować Rozumnym i tak dalej, a dla Wszechwiedzących byłby wręcz szkodliwy.

-- Rozumiem. I my teraz zaaplikujemy taki szkodliwy programik Białołowym?

-- Nie tylko taki! -- odparł z triumfem Passat. -- My ich naszym programem zdegradujemy! Obudzą się z głębokim przekonaniem, że niesłusznie zajmowali uprzywilejowane pozycje i dobrowolnie oddadzą nam władzę, a my dokonamy dalszej rewolucji. Ogłosimy równość.

Mask pomyślał, że generał po prostu zamieni rządy grupy na rządy jednostki i, że nie jest to dobra droga. Jeszcze dotąd nie słyszał o szczęśliwej dyktaturze ani o postępowym dyktatorze. Finał był łatwy do przewidzenia. Strach przed utratą władzy zmusiłby Passata do rozwinięcia aparatu ścigania i w prostej linii prowadziłby do bezmiaru cierpień i nieszczęścia, jakie wkrótce spadłyby na głowy szarych obywateli. Po raz pierwszy Mask uświadomił sobie z całą ostrością, jak wielką odpowiedzialność zrzucił los na jego barki. Za kilka dni na Planecie pozostanie tylko ich dwóch, zdolnych do podjęcia decyzji. Oni rozstrzygną o losach świata. Mask czuł, że sytuacja go przerasta, że wymyka mu się z rąk.

-- Nikt przed nami nie miał takiej szansy -- stwierdził generał, jakby czytał w jego

myślach.

-- Jesteś pewien, że tak będzie najlepiej? -- zapytał Mask.

-- Dziwne pytanie -- Passat przyjrzał mu się podejrzliwie. -- Myślałem, że mnie całkowicie rozumiesz i popierasz?

-- Ależ oczywiście -- powiedział gwałtownie Mask, zły, że na moment odkrył karty. -- Tak się tylko zastanawiam. Jak człowiek tak siedzi sam, zamknięty, to różne rzeczy przychodzą mu do głowy. -- Wątpliwości zostaw mnie. Teraz kładźmy się spać. Kiedy zażyjemy aspanol?

-- Myślę, że nie wcześniej j, niż za tydzień. Tyle przetrwamy na pewno.

Pozbierali naczynia ze stołu i ułożyli się do snu. Mask długo nie mógł zasnąć, mimo dużego zmęczenia. Zdawało mu się, że generał rzuci się na niego, gdy tylko zamknie oczy. Przez godzinę wywracał się na materacu, ciężko wdychając, aż w końcu usnął i spał kamiennym snem bez żadnych marzeń.

59.

Tydzień minął jak błyskawica. Podobne do siebie dni urozmaicali różnymi czynnościami przygotowawczymi. Mask wciąż nie miał pewności, czy generał nie zaatakuje go wcześniej. Doszedł jednak do wniosku, że Passat nie poradzi sobie sam w Pałacu Snów i zniszczy go dopiero po wykonaniu planu. Spał więc spokojniej, niż pierwszej nocy i z dnia na dzień dłużej. Siódmego dnia postanowili zażyć aspanol, gdyż budzili się z coraz większym trudem i Mask obawiał się, że któregoś ranka już się nie obudzą. Zażycie środka spowodowało natychmiastowy efekt. Energia wprost ich rozsadzała, niespokojnie krążyli po swojej ciasnej kryjówce. Przestali prawie jeść, a czas dłużył im się niewiarygodnie. Zderzali się ze sobą w wędrówkach wzdłuż ścian i klócili o byle drobiazg. Każdy jednak trzymał język za zębami, by w przyływie złości nie powiedzieć czegoś niepotrzebnego. Wynajdywali sobie tysiące bzdurnych czynności, którymi starali się wypełnić powstały nagle nadmiar czasu. Pod koniec dwutygodniowego zamknięcia te trzy poziomy stały się wprost torturą. Raz w tym czasie słyszeli szalejący na zewnątrz tajfun. Zeszli wtedy do piwnicy, ale budynek na szczęście nie uległ uszkodzeniu. Wiele razy zastanawiali się już, czy nie opuścić kryjówki, lecz bali się, że na zewnątrz wciąż jeszcze mogą się kręcić patrole. W połowie trzeciego tygodnia mieli już dość. Wszystkie zajęcia i pomysły wyczerpały się i nuda cios za ciosem wbijała ich w stan przygnębienia i frustracji. Zaniechali ostrożności i zbadali przejście przewodami wentylacyjnymi. Tunel okazał się na całej długości wolny i bez trudu mogli poluzować kratę blokującą wlot rury do wnętrza Pałacu. Mask umierał z ciekawości, jak teraz jest na zewnątrz, poza murami ich dobrowolnego więzienia. Aspanol jak na razie działał bez przykrych objawów ubocznych. Jedynym skutkiem, poza usunięciem senności, było wybitne zmniejszenie apetytu. Szóstego dnia w trzecim tygodniu pobytu w kryjówce nie wytrzymali już obaj i podjęli decyzję, że dziś wychodzą na zewnątrz.

60.

Mask sprawdził zawory przy podgrzewaczu. Mogli oddychać powietrzem z atmosfery, pobieranym przez dyszę i podgrzewanym po drodze do płuc. Temperatura na zewnątrz była już bardzo niska. Mask przewidywał, że około 265°. Dzisiejsze wyjście, chociaż już piąte z kolei, miało szczególny charakter. Szli na rekonesans do Pałacu Snów. Znaleźli wejście dogodniejsze niż przez wlot wentylacyjny. Kilka przecznic od ich meliny znajdował się włącznik kanalizacji, nieczynnej zimą. Z drżeniem palców dopinali ostatnie klamry przy skafandrach. Teraz akcja powinna rozegrać się błyskawicznie. Passat odsunął rygiel i uchylił drzwi. Odwrócił się do Maski i mrugnął przez szybkę kasku.

-- Nadeszła chwila -- powiedział. Szarpnął zamek i pchnął drzwi. Do pomieszczenia wpadło nieco światła, ale Mask od razu zauważył, że dzisiaj było ono jakieś dziwne. Ulice, wymiecione wiatrem, świeciły pustką. Wyszedł za Passatem, poprawiając pas. Zdawał sobie sprawę, że to już dziś. Spojrzał w górę. Na niebie kłębiły się jakieś dziwne, sinoczarne chmury, gnane wichurą i zmieniające kształty.

-- Nie marudź -- dobiegł go przynaglający głos generała.

Przyspieszył kroku i posuwał się wzdłuż murów. Wiele budynków było zrujnowanych po ostatnim tajfunie. Dopiero teraz jednak miały nadejść naprawdę silne wiatry, po których wiosną trzeba było czasem stawiać na nowo całe kwartały domów.

Mroźne podmuchy dawały się we znaki mimo systemu ogrzewczego. Niebo nieprzyjemnie kłębiło się nad ich głowami, jakby za chwilę miało runąć na ziemię szaleńczym kołowrotem kolejnej zawieruchy. Mask złapał się na tym, że niemal zapomniał o śniegu i o tym, że tak bardzo pragnął go zobaczyć. Ostatnimi czasy ważniejsze problemy zaprzętały jego myśli. Zastanawiał się, jak zlikwidować Passata, nim zdąży narobić szkód. Za zakrętem ich ulicy znajdował się pasaż, którego nie zamykano na zimę. Weszli pod dach i posuwali się wzdłuż szeregów wystawowych okien, teraz odgradzonych od świata grubymi płytami z błękitnego metalu.

-- Szybciej -- ponaglał Passat, nie mogąc się doczekać, kiedy będą na miejscu. Mask instynktownie zwalniał kroku, w obawie przed tym momentem, w którym będzie musiał dokonać czynu sprzecznego z jego naturą. Nie wiedział tylko czy potrafi.

-- Idę, idę -- rzucił niedbałym tonem i przyspieszył.

Z pasażu wyszli prosto na ów kanał. We dwóch odsunęli ciężką klapę. Odślonił się ciemny otwór. Mask zawahał się.

-- O co chodzi? -- zdenerwował się Passat. -- Coś nie w porządku?!

Mask mruknął coś pod nosem i opuścił się do wnętrza kanału. Szedł przygięty, w milczeniu, słysząc w słuchawkach oddech podążającego za nim człowieka. Machinalnie namacał w naszytej na nogawkę skafandra kieszeni swoje cztery taśmy, które powielił w zeszłym tygodniu. Taśmy nie były łatwe do sklejenia, musiał używać kleju skafandrowego. Na szczęście udało mu się go nieco rozcieńczyć. Całą robotę utrzymywał w tajemnicy przed generałem. Spreparowane taśmy objęły się o siebie delikatnie.

-- Gdzieś tu powinno być wyjście z kolektora -- rozległ się głos Passata. -- Patrz uważnie, Mask wgapił się w łączenia rury, lecz myślał o czym innym.

-- Jak patrzysz, łązęgo! -- krzyknął generał wściekłym głosem. -- Przeszedłeś koło wjazdu i nawet nie drgnąłeś!

Wyszli z kanału wprost na właściwy poziom. Passat wyjął niewielką mapkę i

rozprostował ją sobie na kolanach. Byli w okrągłej salce z jednym tylko wejściem. Goła żarówka sączyła nikłe światelko, które z trudem rozpraszało egipskie ciemności, zalegające pod ścianami, Mask zapalił latarkę. Na piersi czuł chłód chirurgicznego noża, jedynego sprzymierzeńca swoich planów. Trzęsły mu się ręce i myślał tylko o jednym: czy potrafi zabić?

-- Musimy iść korytarzem do pierwszego rozwidlenia, potem w prawo i schodami do hali maszynowej. Passat złożył mapę i wepchnął ją do kieszeni. Ruszyli przed siebie. W korytarzu robiło się coraz jaśniej. Płonęło tu więcej żarówek. Prawa odnoga rozwidlenia była już całkiem jasna i nawet pod koniec wyłożona marmurowymi kafelkami. Schody miały może ze sto stopni i prowadziły wprost w oszklone drzwi. Dolatywał stamtąd monotony pomruk i delikatne drżenie. Pchnęli wahadłowe skrzydła. Stał przed nimi istny labirynt urządzeń, pompy, rury, koła zamachowe, zwieracze, prądnice, pulpity i węże przewodów zbiegały się tu w jedność, w serce Pałacu Snów.

-- Na końcu jest sala komputerów. O, tam -- generał wskazał niskie, opancerzone drzwi.

-- Będzie ciężko się tam dostać! -- rzucił Mask, przekrzykując narastający szum. -- Co się dzieje?! Czemu ten hałas rośnie?!

-- Zaraz przestanie -- odpowiedział Passat. -- Kończy się cykl oczyszczania pierwszej partii odpadów. Chodźmy. To w sali komputerów jest aparatura ucząca.

Generał wyjął z kieszeni klucz i podszedł do drzwi. Otworzyły się bez trudu. Mask pomyślał, że teraz nadszedł właściwy moment Są już we wnętrzu, Mask już wie wszystko, co chciał wiedzieć, a Passat stoi odwrócony do niego plecami. Wyszarpnął nóż i uniósł rękę W tej sekundzie generał odwrócił się Mask zamarł z uzbrojoną dłonią wzniesioną wysoko nad głową. Powinien teraz uderzyć, ale nie mógł. Nie potrafił się na to zdobyć.

Przez twarz Passata przebiegł skurcz Mask stał jak zahipnotyzowany Nie mógł ruszyć nawet małym palcem u nogi Stał i patrzył, jak zaciska się generalska pięść i unosi do góry. jak na zwolnionym filmie. Cios był tak mocny, że szybka kasku pękła, rozpryskując się w setki odłamków Mask poleciał do tyłu, gubiąc nóż. Upadł plecami na kolistą, wypolerowaną płytę.

W ostatniej chwili widząc nadjeżdżający kolosalny blok jakiegoś urządzenia, zerwał się na równe nogi. Przez ułamek sekundy nie wiedział, co się stało. Tłok znieruchomiał o kilka centymetrów nad powierzchnią wygładzonego metalu, stanowiącego jego płaszczyznę spoczynkową, po czym ponownie ruszył ze świstem ku górze. Mask trzymając się za pokaleczoną twarz rzucił się na generała. Była to szarża rozpachy, przecież właściwie nie potrafił się nawet bić. Wpakował się w Passata całym ciężarem ciała. Generał uderzył go w twarz i poprawił ciosem w żołądek. Maska zatkało. Zamachał rękami i łapiąc powietrze upadł niedaleko poprzedniego miejsca. Passat stanął nad nim w rozkroku:

-- Chciałem cię zabić później --stwierdził spokojnie. -- Myślałem, że pomożesz mi usunąć tych kilku ludzi, którzy stoją mi na drodze, ale poradzę sobie sam. I tak byś nie potrafił! -- dodał i kopnął Maska. Biolog z rozpachą obserwował opadający tłok. Nie czuł już bólu, nie myślał o niczym, nie rozumował. Wiedział z przeraźliwą jasnością jedno: ten tłok zaraz zrobi z niego miazgę. Teraz już musiał bronić swego życia. Zmobilizował resztkę sił, jaka kołatała się w jego ciele. Zerwał się na równe nogi. Generał wyciągnął ręce, chcąc go pchnąć, lecz Mask uczeplił się tych rąk, wpił się w nie całą mocą. Tracąc równowagę pociągnął Passata za sobą i zrobił krok w bok. Generał zwalił się na metalową płytę w momencie, gdy tłok ponownie był w połowie drogi w dół. Już nie mógł zdążyć. Przeraźliwy charkot i ryk, jaki usłyszał Mask w słuchawkach, omal nie zwalił go z nóg. Zaciskając powieki naparł na opancerzone drzwi i z ulgą zatrzasnął je za sobą. Zerwał z głowy kask. Szarpnęły nim dreszcze. Osunął się pod ścianę, tracąc przytomność.

Ocknął się po kilku minutach. Serce wciąż łomotało mu jak młot, a zwierzęcy ryk generała dudnił w głowie. Siłą woli opanował powracające mdłości i rozejrzał się wokół siebie.

Salę zajmowały komputery i aparatura ucząca. W wielkich, metalowych szafach oznaczonych symbolami powoli kręciły się bębny z taśmami. Mask wyjął z kieszeni spreparowane taśmy z fragmentami zapisu jego pamięci, z informacją o aspanolu. Sklejał je tak, aby wiadomość o wynalazku powtarzała się wiele razy, wpleciona w cykl normalnych informacji z bębna. W ciągu czteromiesięcznego snu .każdy człowiek znajdujący się w Pałacu, wszyscy mieszkańcy Grin Krong i śpiący z pewnością między nimi agenci obcych wywiadów otrzymają pełne dane na temat aspanolu i informacja ta powtórzy się kilkakrotnie częściej od innych. Chciał przekazać na ten temat wszystko co wiedział sam.

Głównym wyłącznikiem wygasił aparaturę i wziął się do pracy. Minęło wiele godzin, nim skończył. Włączył zasilanie i usiadł pod ścianą. Czuł się bardzo zmęczony i chciało mu się spać. Po emocjach i wysiłku, jakiego dokonał, przyszło osłabienie. Starał się nie myśleć o powracającym wciąż obrazie zmiażdżonego ciała swojego niedawnego towarzysza. Bębny obracały się powoli i bezszelestnie, Mask wiedział, że dokonał czegoś więcej, niż początkowo zamierzał. Udało mu się coś, o czym nawet nie marzył do czasu spotkania Passata. Nie musiał już niszczyć aspanolu, ani zatajać przed światem swojego odkrycia. Wykorzystał w pełni szansę, jaką dał mu ten środek. Zdawał sobie sprawę z chaosu, jaki początkowo wywoła jego czyn, był jednak przeświadczony, że tak będzie najlepiej. Teraz każdy człowiek będzie mógł wyprodukować aspanol i użyć go wedle własnej woli. Nie będzie pod tym, względem uprzywilejowanych. Było mu tylko żal, że nie doczeka czasów równości. Nie o taką przecież chodziło wolność, jaką wyobrażał sobie Passat. Technicy, czy rząd Nordseledii. Nie o taki przepych, jaki zapewniała Soutseledia. I Mask pojął, co było złego w tym wszystkim. To nie świat, nie idee, nie rządy służyły ludziom. To ludzi zmuszano, by służyli im. Podniósł się ciężko i wyjął kombinezon. wiszący w ściennej szafie. Przebrał się, założył kask i skierował się do wyjścia. Przechodząc obok zakrwawionej płyty zamknął oczy. I tak za dużo dotarło do jego świadomości. Szybkim krokiem przemierzył maszynownię, schody, korytarz i zagłębił się w kolektorze. Nawet nie zamykał za sobą włączów. Szedł lekko, pogwizdując, w stronę wylotu rury. Uwolnił się wreszcie od gniotącego go od wielu miesięcy problemu i pozbył się lęku. Po kilku metalowych klamrach wspinał się w górę i odrzucił klapę zamykającą właz. Wysunął się na poziom ulicy i nagłym, odruchowym gestem zasłonił oczy. Od ziemi szedł jaskrawy, biały blask. Z ciemnych chmur sypały się miliardy białych płatków, pokrywając miasto gęstym futrem. Powoli odsłaniał oczy, wpatrzony, w niebo sypiące białym pyłem, oniemiały i zachwycony. Czuł, jak rozsadza go niesamowita radość i uczucie nieopanowanego szczęścia. Stał i patrzył nieporuszony, jak posąg. Wiedział. Teraz już wiedział. Niebo dało odpowiedź na odwieczne pytanie mieszkańców Planety. Rzeczywistość przekroczyła wyobrażenia. Mask poznał wreszcie prawdę. Śnieg był biały. Miliardy identycznych, lśniących drobin pokrywały, cichą ziemię. Sypiące się na niego w zupełnej ciszy niepokalane białe płatki przyprawiły go o zawrót głowy. Stał pusty i szczęśliwy, a śnieżne kryształki z cichym szelestem osypywały się po jego skafandrze. Wiedział, że dzięki niemu ludzkość pozna prawdę i czuł, że spełnił swój obowiązek. Teraz mógł już spokojnie zasnąć.

Zanucił pod nosem hymn Grin Krong i uliczką wyścieloną skrzącym, miękkim, śnieżystym dywanem ruszył do swojej kryjówki.

